

082
marta **Eliza**
ORZESZKOWA

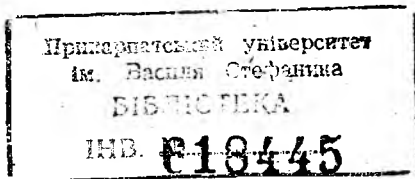


Wydawnictwo Lubelskie

Eliza Orzeszkowa

Marta

WYDAWNICTWO LUBELSKIE



Wstęp

Zycie kobiety to wiecznie gorejący płomień miłości — po-
wiadają jedni.

Zycie kobiety to zaparcie się — twierdzą inni.

Zycie kobiety to macierzyństwo — wołają tamci.

Zycie kobiety to igraszka — żartują inni jeszcze.

Cnota kobiety to ślepa wiara — chórem zgadzają się
wszyscy.

Kobiety wierzą ślepo; kochają, poświęcają się, hodu-
ją dzieci, bawią się... spełniają zatem wszystko, co świat speł-
niać im nakazuje, a jednak świat krzywo jakoś na nie spo-
gląda i od czasu do czasu odzywa się w kształcie wyrzutu
lub napomnienia.

— Złe dzieje się z wami!

Spomiędzy kobiet samych przenikliwsze, rozumniejsze lub
nieszczęśliwsze, wglądając w siebie lub rozglądając się
dokoła, powtarzają:

— Złe dzieje się z nami!

Na wszelkie złe niezbędnym jest środek zaradczy; ci
i owi upatrują go w tym lub w owym, ale choroba nie
ustępuje przed receptą.

Niedawno jeden z najsluszniej poważanych w kraju naszym
pisarzy (pan Zachariasiewicz w powieści pt. „Albina”) po-
dał do wiadomości publicznej, że kobiety fizycznie i moralnie
chorują dlatego, że brak im wielkiej miłości (naturalnie dla
mężczyzny).

Nieba! jakąż to olbrzymia niesprawiedliwość!

Niech różowy bożek Eros zleci nam ku pomocy i zaświad-
czy, iż całe życie nasze nie jest czym innym jak kadzidłem
na cześć jego nieustannie palonym!

¶ Zaledwie odrósłszy od ziemi słyszymy już, że przeznaczeniem naszym będzie kochać jednego z panów stworzenia; podlotki, marzymy o tym panu i władcy każdego wieczora, w którym na niebiosach księżyc świeci lub gwiazdy błyszczą, każdego poranku, w którym śnieżne lilie rozwijają ku słońcu wonne swe kielichy, marzymy i wzdychamy. Wzdychamy do chwili, w której wolno nam będzie, jak liliom ku słońcu, zwrócić się ku temu, który z mgły porannych obłoków lub powodzi księżycowego światła wylania się przed wyobraźnią naszą z postacią Adonisa śpiącego na tajemnicy... Potem... cóż potem? Adonis zstępuje z chmur, wciela się, zamieniamy z nim obrączki i wychodzimy za mąż... Jest to także akt miłości, a chociaż wyżej nadmieniony pisarz w bardzo zresztą pięknych swych powieściach utrzymywać chce, iż zawsze i nieodmiennie jest to tylko akt rachuby, nie zgadzamy się z nim w tej mierze. Akt rachuby w wyjątkowych sferach i okolicznościach, powszechnie bywa to akt miłości. Jakiej miłości? Wcale to już inna a wielce subtelna i długiego mówienia o sobie wymagająca materia, dość przecież, że gdy w białych muślinach wstydliwą twarz słońiąc tiulowymi zwojami idziemy do ołtarza, śliczniutki Eros leci przed nami i wstrząsa nam nad głową pochodnią o różanych płomykach.

Potem? cóż potem? Kochamy znowu... Jeżeli nie tego z panów stworzenia, który podlotkowi objawił się w marzeniu, a dziewczicy obrączkę ślubną na palec włożył — to innego, jeżeli zresztą nie kochamy żadnego, to kochać pragniemy... usychamy, suchot dostajemy, jędzami częstokroć się stajemy z pragnienia kochania...

A z tego wszystkiego co wynika? Jedne z nas, otulone skrzydłami bożka miłości, przelatują wprawdzie przez całe życie uczciwie, cnotliwie i szczęśliwie, inne przecież, liczniejsze, daleko liczniejsze, zakrwawionymi stopami chodzą po ziemi walcząc o chleb, o spokój, o cnotę, łyż lejąc obfite, cierpiąc straszliwie, grzesząc okrutnie, spadając w otchłanie wstydu, umierając z głodu...

Recepta tedy zamykająca się w słowie kochajcie! nie na wszystkie służy choroby.

Może by dodać jej jedną jeszcze ingrediencję, aby skuteczniejszą była.

Jaką?

Powie nam to może karta wydarta z życia kobiety...

Ulica Graniczna jest jedną z dość ożywionych ulic Warszawy. Lat temu parę w bardzo piękny dzień jesienny ulicą tą szło i jechało mnóstwo ludzi, z których każdy śpieszył to do interesów swych, to do przyjemności; nie oglądał się ani na lewo, ani na prawo i wcale a wcale nie zwracał uwagi na to, co działo się w głębi jednego z dziedzińców, ulicy dotykających.

✓ Dziedziniec to był czysty, dość obszerny, z czterech stron otoczony wysokimi murowanymi budowlami. Budowla znajdująca się w głębi była najmniejsza, ale po wielkich oknach, szerokim wejściu i ładnym ganku wejście to przyozdabiającym wnosić można było, że znajdujące się w niej mieszkania były wygodne i ozdobne.

✓ Na ganku stała młoda kobieta w żałobnej sukni z bladą bardzo twarzą. Błada również i w żałobę przyodziana czteroletnia dziewczynka czeptała się rąk jej, które, nie załamane wprawdzie zwisały jednak bezsilnie, nadając postaci kobiety pozór wielkiego smutku i zniechęcenia.

Z czystych, szerokich wschodów prowadzących na wyższe piętro budowli schodzili wciąż ludzie w grubej odzieży i grubym, opylonym obuwiu. Byli tam tragarze niosący najrozmaitsze sprzęty, jakimi tylko napełnionym i przybrany być może mieszkanie, jeśli niezbyt obszerne i wytworne, to przynajmniej ładnie i wygodnie urządzone. Były tam łóżka mahoniowe, kałapy i fotele obite pąsowym wełnianym adamaszkiem, kształtne szafy i komody, parę konsolek nawet z marmurowymi płytami, parę sporych zwierciadeł, dwa wielkie drzewa oleandrowe w doniczkach i datura, na której gałęziach zwieszało się jeszcze kilka niezupełnie okwitłych kielichów białego kwiecia.

• Tragarze wszystkie przedmioty te znosili ze wschodów

i mijając stojącą na ganku kobietę ustawiali je na bruku dziedzińca albo umieszczali na dwóch wozach w bliskości bramy stojących, albo jeszcze wynosili na ulicę. Kobieta stała nieruchomo i wiodła oczami za każdym z wynoszonych sprzętów. Znać było, że przedmioty te, z którymi rozstawała się widocznie, posiadały dla niej nie tylko materialną cenę; żegnała je ona tak, jak się żegna widome znaki, kreślące przed oczami naszymi dzieje znikłej bezpowrotnie przeszłości, jak się żegna niemych świadków utraconego szczęścia. Blade czarnookie dziecko silnie pociągnęło suknię matki.

— Mamol — szepnęła dziewczynka — patrz! biurko ojca!

Tragarze znosili ze wschodów i ustawiali na wozie obszerne biurko męskie, zielonym sukniem obite i ładnie rzeźbioną galeryjką ozdobione. Kobieta w żałobie długim spojrzeniem okryła sprzęt wskazywany jej drobnym paluszkim dziecka.

— Mamol — szeptała dziewczynka — czy widzisz tę wielką czarną plamę na biurku ojca?... Ja pamiętam, jak się to stało... Ojciec siedział przed biurkiem i trzymał mię na kolanach, ty, mamol, przysłaś i chciałaś mię ojcu odebrać. Ojciec śmiał się i nie oddawał mię, ja swawoliłam i rozlałam atrament... Ojciec nie gniewał się. Ojciec był dobry, nigdy nie gniewał się ani na mnie, ani na ciebie...

Dziecko szeptało słowa te kryjąc twarzyczkę w fałdy żałobnej sukni matczynej, całym drobnym ciałkiem swym tuląc się do jej kolan. Znać i nad tym dziecięcym sercem wspomnienia wywierały już moc swoją, ściskając je bólem nieświadomym samego siebie. Z suchych dotąd oczu kobiety spłynęły dwie łzy grube; chwila wywołana przed pamięć jej słowami dziecka, zagubiona niegdyś w milionach chwil podobnych jej, codziennych, uśmiechnęła się teraz ku nieśczęśliwej czarującej goryczą utraconego raj. Być może, iż pomyślała także, że swoboda, wesołość owej chwili opłacona została dziś utratą jednego z ostatnich kęsów chleba, pozostałych jej i jej dziecku, opłaconą zostanie jutro — głodem; plama atramentowa, powstała śród śmiechu dziecka

i pocałunków rodziców, kilkanaście złotych ujęła wartości sprzętu.

Po biurku ukazał się na dziedzińcu ładny kralowski fortepian, ale kobieta w żałobie obojętniej już za nim wzrokiem powiodła. Nie była znać wcale artystką, instrument muzyczny najmniej obudzał w niej żalów i wspomnień, za to ma-lutkie mahoniowe łóżeczko, orzucone nakryciem z kolorowej włóczki wyrabianym, wyniesione z domu i ustawione na wozie, przykuło do siebie spojrzenie matki, napełniło łzami oczy dziecięcia.

— Łóżeczko moje, mamol — zawołała dziewczynka — ludzie ci i łóżeczko moje zabierają, i tę kołderkę, którąś mi sama zrobiła! Ja nie chcę, aby oni to zabierali! Odbierz, mamol, od nich łóżeczko moje i kołderkę.

Za całą odpowiedź kobieta przycisnęła silniej do kolan głowę płaczącego dziecka, oczy jej czarne, piękne, zapadłe nieco, suche były znowu; blade, delikatne usta zwarte i milczące.

Ładne dziecięce łóżeczko owo było już ostatnim z wyniesionych sprzętów. Otworzono na oścież bramę, wozy nala-dowane sprzętami wjechały w ładną ulicę, za nimi odeszli tragarze niosąc na barkach resztę ciężarów, a zza szyb kilku sąsiednich okien poznikały głowy ludzkie, ciekawie dotąd na dziedzińcu wyglądające.

Ze wschodów zstąpiła młoda dziewczyna w okryciu i kapeluszu i stanęła przed kobietą w żałobie.

— Pani — rzekła — załatwiłam już wszystko... zapłaciłam, komu było potrzeba... oto jest reszta pieniędzy...

Mówiąc to młoda dziewczyna podawała kobiecie w żałobie mały zwój asygnat.

Kobieta z wolną zwróciła twarz ku niej.

— Dziękuję ci, Zosiu — rzekła cicho — byłaś dla mnie bardzo dobrą.

— Pani to byłaś zawsze dobrą dla mnie — zawołała dziewczyna — służyłam u pani cztery lata i nigdzie nie było mi i nie będzie już lepiej jak u pani.

Rzekłszy to przeciągnęła po oczach zwilżonych łzami ręką, na której znaczne były ślady igły i żelazka, ale kobieta

pochwyciła rękę tę zgrubiałą i uściśniła ją silnie w swych białych drobnych dłoniach.

— A teraz, Zosiu — rzekła — bądź zdrowa...

— Ja panią odwożę do nowego mieszkania — zawołała dziewczyna — zaraz zawołam dorożki.

W kwadrans po tej rozmowie dwie kobiety i dziecię wysiadły z dorożki przed jedną z kamienic przy ulicy Pivnej stojących.

Kamienica ta była wąska od frontu, ale wysoka, trzy-piętrowa, pozór miała stary i dość smutny.

Mała Jancia szeroko otwartymi oczami patrzyła na ściany i okna budowy.

— Mamo, czy tu mieszkać będziemy?

— Tu, moje dziecko — cichym jak zawsze głosem odparła kobieta w żałobie i zwróciła się do stojącego w bramie stróża:

— Proszę pana o klucz do mieszkania, które dwa dni temu najęłam.

— A! na facjatce zapewne — odparł stróż i dodał: — Niech pani idzie na górę, otworzę zaraz.

Z małego kwadratowego podwórka, z dwóch stron otoczonego ślepy murem ceglastej barwy, a z dwóch innych starymi, drewnianymi drwalniami i spichrzami, kobiety i dziecię weszły na wschody wąskie, ciemne i brudne. Młoda dziewczyna wzięła dziecię w objęcia i poszła przodem, kobieta w żałobie z wolna postępowała za nią.

Izba, której drzwi stróż otworzył, była dość obszerna, ale niska i ciemna, jedno niewielkie okienko, otwierające się nad dachem, źle ją oświetlało, sufit, pochylający się z góry na dół w ukośnej linii, zdawał się uciskać ściany, od których wiał wilgotny zapach wapna, jakim świeżo je znać pobielono.

W kącie obok pieca z prostej cegły był tam niewielki komin do gotowania, naprzeciw pod jedną ze ścian stała niewielka szafka, dalej jeszcze łóżko bez poręczy, kanapka podartym perkalem obita, stół na czarny kolor umalowany i kilka złotych krzeseltek ze słomianą siatką, w części porwaną i wklęsłą.

Kobieta w żałobie zatrzymała się chwilę na progu, orzuciła izbę powolnym spojrzeniem, po czym postąpiwszy kilka kroków opuściła się na kanapkę.

Dziecię stanęło przy matce i nieruchome, blade wodziło dookoła oczami, w których malowały się zdziwienie i przestraszach.

Młoda dziewczyna odprawiła dorożkarza, który wniósł do izby dwa małe tłomoczki, i krzając się zaczęła koło uporządkowania rzeczy z tłomoczków wyjętych.

Nie było ich wiele, porządkowanie więc trwało krótko. Dziewczyna, nie zdejmując okrycia i kapelusza, ułożyła w jednym z tłomoczków parę sukienek dziecinnych i troszkę bielizny, drugi wypróżniony usunęła w kąt izby, łóżko zaśłała dwoma poduszkami i wełnianą kołdrą, u okna zawiesiła białą firankę, w szafie ustawiła kilka talerzy i garnuszków, dzbanek gliniany do wody, takąż miednicę, mosiężny lichtarz i mały samowarek. Uczyniwszy to wszystko wzięła jeszcze zza pieca wiązkę drewek i rozpałała na kominie wesoly ogień.

— Ot, tak — rzekła powstając z klęczek i twarz zarumienioną od rozdmuchiwania płomienia zwracając ku nieruchomej kobiecie — rozpałałam ogień i zaraz tu będzie pani ciepłej i widniej. Drzewo na opał — mówiła dalej — znajdzie pani za piecem, będzie tam jego pewnie na jakie dwa tygodnie, suknie i bielizna w tłomoku, naczynia kuchenne i kredensowe w szafie, świeca wprawiona w lichtarz także w szafie.

Mówiąc to pocziwa sługa zdobywała się widocznie na ton wesoly, ale uśmiech zsuwał się z ust jej, a oczy napływały łzami.

— A teraz — rzekła ciszej, składając ręce — a teraz, pani moja, trzeba mi już iść!

Kobieta w żałobie podniosła głowę.

— Trzeba ci już iść, Zosiu — powtórzyła — to prawda — dodała rzucając spojrzenie za okno — zmierzchać już zaczyna... będzie ci straszno iść wieczorem przez miasto.

— O, nie to, droga pani! — zawołała dziewczyna — ja dla pani poszłabym w noc najciemniejszą na koniec świata...

ale... moi państwo jutro bardzo rano wyjeżdżają z Warszawy i kazali mi przyjść przed zmrokiem. Muszę iść, bo będę im dziś jeszcze potrzebna...

Przy ostatnich wyrazach młoda służąca schyliła się i ująwszy białą rękę kobiety chciała podnieść ją do ust. Ale kobieta podniosła się nagle i oba ramiona zarzuciła na szyję dziewczyny. Obie płakały, dziecię rozplakało się także i obie ma rączkami pochwyciło sukienne okrycie służącej.

— Nie idź, Zosiu! — wołała Jancia — nie idź! tu tak straszno jakoś, tak smutno!

Dziewczyna całowała dawną panią swoją w ramiona i w ręce, przyciskała do piersi płaczące dziecię.

— Muszę, muszę iść! — powtarzała łkając — mam biedną matkę i małe siostry, muszę dla nich pracować...

Kobieta w żałobie podniosła twarz bladą i wyprostowała wiotką kibić.

— I ja także, Zosiu, pracować będę — wyrzekła głosem pewniejszym niż ten, którym przemawiała dotąd — i ja mam dziecię, na które pracować powinienam...

— Niech Pan Bóg cię nie opuszcza i błogosławi, dobra, droga pani moja! — zawołała młoda służąca i raz jeszcze ucałowała rękę matki i zapłakaną twarzyczkę dziecka, nie oglądając się, wybiegła z izby.

Po wyjściu dziewczyny zrobiła się w izbie wielka cisza, przerywana tylko trzaskiem ognia palącego się na kominie i gwarem ulicy głucho i niewyraźnie dochodzącym na wysokie poddasze. Kobieta w żałobie siedziała na kanapce, dziecko płakało zrazu, potem przytuliło się do piersi matki, ucichło i zmęczone usnęło. Kobieta wsparła głowę na dłoni, ramieniem opasała drobną kibić śpiącego na kolanach dziecięcia i nieruchomymi oczami wpatrzyła się w migotliwy blask płomienia. Z odejściem wiernej i przywiązanej sługi odeszła od niej ostatnia twarz ludzka, która była świadkiem jej przeszłości, ostatnia podpora, pozostała jej po zniknięciu wszystkiego, co wprzód służyło jej wsparciem, pomocą i usługą. Pozostała teraz sama, oddana na moc losu, trudy samotnej doli, siłę własnych dłoni i głowy, a z nią razem była tylko ta mała, słaba istotka, która mogła tylko przy

piersi jej szukać spoczynku, od ust żądać pieśczoły, z dłoni jej wyglądać pożywienia. Dom jej niegdyś urządzony dla niej kochającą ręką męża, opuszczony przez nią, przyjmował teraz w ściany nowych mieszkańców; dobry, ukochany człowiek, który dotąd otaczał ją miłością i dostatkiem, od kilku dni spoczywał w mogile...

Wszystko minęło... miłość, dostatek, spokój i pogoda życia, a jedynym śladem znikłej jak sen przeszłości były dla nieszczęśliwej kobiety bolesne wspomnienia i to blade, wątłe dziecię, które teraz, otworzywszy oczy ze snu chwilowego, zarzuciło jej rączką na szyję i drobne usteczka przyciskając do jej twarzy szepnęło:

— Mamo! daj mi jeść!

Teraz jeszcze prośba ta nie miała w sobie nic takiego, co by obudzić mogło obawę lub smutek w sercu matki. Wdowa sięgnęła do kieszeni i wydobyła pugilares zawierający kilka asygnat — cały majątek jej i córki.

Zarzuciła chustkę na ramiona i powiedziawszy dziecku, aby spokojnie na powrót jej czekało, wyszła z izby.

W połowie wschodów spotkała stróża, który wiązkę drzewa niósł do jednego z mieszkań znajdujących się na pierwszym piętrze.

— Kochany panie! — rzekła wdowa uprzejmie i nieco nieśmiało — czy nie mógłbyś pan mi przynieść z jakiego bliskiego sklepiku mleka i bułek dla dziecka?

Stróż nie zatrzymując się słów tych wysłuchał, po czym odwrócił głowę i odparł z zaledwie tajoną niechęcią:

— A kto tam ma czas chodzić po mleko i bułki... Ja tu nie dlatego jestem, abym lokatorom jedzenie przynosił.

Wymawiając ostatnie słowa zniknął za załomem muru. Wdowa zstąpiła niżej.

„Nie chciał mi oddać przysługi — myślała — bo domyśla się, że jestem biedną... Tym, od których spodziewa się otrzymać zapłatę, ciężką wiązkę drzewa poniósł.”

Zeszła aż na dziedziniec i rozejrzała się dokoła.

— A czego to pani tak się ogląda? — zabrzmiał koło niej głos kobiety, chropowaty i niemily.

Wdowa ujrzała stojącą przed niskimi drzwiczkami znaj-

dającymi się w pobliżu bramy kobietę, której twarzy w zmroku nie rozpoznawała, ale której krótka spódnica, wielki płócienny czepiec i gruba chustka krzywo na plecy zarzucona, a także dźwięk głosu i ton mówienia oznajmiały kobietę z ludu. Wdowa domyśliła się w niej żony stróża.

— Moja dobra pani — rzekła — czy nie znajduję tu kogo, kto by mi przyniósł mleka i bułek?

Kobieta namyślała się chwilę.

— A z którego to piętra? — zapytała — coś ci ja pani jeszcze nie znam.

— Dziś zamieszkałam na facjatce...

— A, na facjatce! To po cóż asani gadasz o przynoszeniu ci tam czegoś? nie możesz sama pójść do miasta?

— Zapłaciłabym za fatygę — szepnęła wdowa, ale żona stróża nie słyszała czy udawa, że nie słyszy słów jej, otuliła się lepiej chustką i zniknęła za małymi drzwiczkami.

Wdowa stała przez chwilę nieruchoma, nie wiedząc wiodcnie, co czynić i do kogo się już udać, westchnęła i opuściła ręce: po chwili jednak podniosła głowę i wszedłszy w bramę otworzyła furtkę wiodącą na ulicę.

Wieczór nie był jeszcze późny, ale dość ciemny, rzadkie latarnie źle oświecały ulicę wąską i napelnioną tłumami ludzi; na chodnikach były szerokie miejsca w zupełnych prawie pograżone cieniach. Fala chłodnego jesiennego wiatru wpłynęła w bramę przez otwartą furtkę, rzuciła się w twarz wdowy i zakręciła końcami czarnej jej chustki; turkot dorożek i gwar zmieszanych rozmów ogłuszył ją, cienie zalegające chodniki przeraziły. Cofnęła się kilka kroków w głąb bramy i stała znowu chwilę ze spuszczoną głową, nagle jednak wyprostowała się i postąpiła naprzód. Przypomniała sobie może dziecko swe, które czekało pożywienia, albo uczuła, iż powinna była zdobyć od woli swej i odwagi to, co odtąd zdobywać już jej przyjdzie w każdym dniu, w każdej godzinie. Zarzuciła chustkę na głowę i przestąpiła próg furtki. Nie wiedziała, w której stronie szukać należało sklepiku z wiktuałami. Uszła spory kawał, pilnie przyglądając się wystawom okien sklepowych, minęła parę dystrybucji cygar, jakąś kawiarnię, jakiś sklep z bławatnymi

towarami i wróciła. Nie śmiała dalej zapuszczać się w ulicę ani prosić kogo o objaśnienie. Udała się w inną stronę. Po kwadransie wróciła z kilku bułkami w białej chusteczce. Mleka nie przyniosła: nie było go w sklepiku, w którym znalazła bułki. Nie chciała, nie mogła szukać dłużej, niepokojną była o dziecę, wracała szybko, biegła prawie. Była już kilka kroków od bramy, gdy tuż za sobą usłyszała głos męski nucący piosenkę: „Stój, zaczekaj, moja duszko, skąd drobniutką strzyżesz różką”. Usiłowała w duchu upewnić siebie, że piosenka nie do niej się stosuje, przyspieszyła kroku i już dotykała furtki, gdy głos śpiewający przemienił się w mówiący.

— Dokąd tak pilno? dokąd? Wieczór piękny! może by trochę pospacerować!

Bez tchu, drżąca cała z trwogi i obrazy, młoda wdowa wpadła w bramę i furtkę za sobą zatrzasnęła. W parę minut potem Jancia widząc wchodzącą do izby matkę rzuciła się ku niej tuląc się w jej objęcia.

— Tak długo nie wracałaś, mamo! — zawołała, ale nagle umilkła i wpatrzyła się w matkę. — Mamo, ty znowu płaczesz i znowu wyglądasz tak... tak jak wtedy, gdy ojca wynoszono w trumnie z naszego mieszkania.

Młoda kobieta drżała w istocie całym ciałem, łzy obfite płynęły po rozognionych jej policzkach. To, co przniosła przez kwadrans wycieczki swej na miasto, walka z trwożliwością własną, szybki bieg po śliskiej ulicy wśród tłumy ludzi i zimnych fal wiatru, obelga nade wszystko, doznana od nieznanego wprowadzie człowieka, ale doznana po raz pierwszy w życiu, wstrząsnęły znacząco ją do głębi. Znać było jednak, że postanowiła zwyciężać samą siebie na każdym kroku, bo szybko uspokoiła się, otarła łzy, pocałowała dziecko i rozniecając ogień na kominie rzekła:

— Przyniosłam ci bułek, Janciu, a teraz nastawię samowar i urządzę herbatę.

Wzięła z szafy gliniany dzbanek i zaleciwszy dziecku ostrożność z ogniem, zeszła znowu na dziedziniec ku studni. Wróciła niebawem zdyszana i zmęczona, z ramieniem uginającym się pod ciężarem dzbanka napelnionego wodą: nie

spoczęła jednak ani na chwilę, tylko zaraz wzięła się do nastawiania samowaru. Czynność ta, którą spełniała widocznie po raz pierwszy w życiu, szła jej z trudnością, niemniej przeto w niespełną godzinę herbata była wypita, Jancia rozebraną i uszpanowaną. Równy, cichy oddech dziecka oznajmiał sen spokojny, z bladej twarzyczki zniknęły ślady łez, tak obficie przez dzień cały wylewanych.

Ale młoda matka nie spała; w żałobnej sukni swej, z rozpuszczonymi czarnymi warkoczami, z twarzą opartą na dłoni siedziała nieruchoma naprzeciw dogasającego ogniska i myślała. Zrazu gryząca boleść sfałdowała białe czoło jej w kilka zmarszczek głębokich, oczy zaszyły łzami, pierś podnosiła się ciężkim westchnieniem. Po chwili jednak wstrząsnęła głową, jakby odpędzić chciała oblegające ją tłumy żalów i obaw, powstała, wyprostowała kibić i rzekła z cicha:

— Nowe życie!

Tak, kobieta ta, młoda, piękna, z białymi rękami i wiotką kibicią, wstępowała w nowe dla siebie życie, dzień ten miał być dla niej początkiem nieznanego przyszłości.

Jakąż była jej przeszłość?

Przeszłość Marty Świckiej krótką była ze względu na lata, prostą ze względu na wypadki.

Marta urodziła się w dworku szlacheckim, niezbyt wspaniałym i bogatym, ale ozdobnym i wygodnym.

Posiadłość ojca jej, o kilka mil zaledwie od Warszawy położona, składała się z kilkunastu włók prodzajnej ziemi, kwiecistej, sporą przestrzeń gruntu zajmującej łąki, pięknego brzoźowego gaju, który dostarczał opału w zimie i ponętnych przechadzek w lecie, z obszernego sadu pełnego drzew owocowych i ładnego domku z sześciu frontowymi oknami, wychodzącymi na okrągło wykrojony, gładką murawą zasłany dziedziniec, z zielonymi, wesoło wyglądającymi żaluzjami, z gankiem o czterech słupach, na które pięły się fasole z pasowym kwieciami i powoje o bujnych liliowych kielichach.

Nad kolebką tedy Marty słowiki śpiewały i stare lipy

poważnymi czołami powiewały, róże kwitły i kłosa pszeniczne fale złota toczyły. Pochylała się też nad nią piękna twarz matki i gorącymi pocałunkami okrywała czarnowłosą główkę dziecięcia.

Matka Marty była kobietą piękną i dobrą, ojciec człowiekiem ukształconym i także dobrym. Jedyne dziecię rodziców tych wzrastało wśród miłości ludzi i pieczy otoczenia.

Pierwszą boleścią, która spadła na bezchmurne dotąd życie pięknej, wesołej, hożej dziewczyny, była utrata matki. Marta miała wtedy lat szesnaście, rozpacziała czas jakiś, tęskniła długo, ale młodość balsam gojący położyła na pierwszą ranę jej serca, rumieńce odkwitły na jej twarzy, wesołość, nadzieje i marzenia wróciły.

Inne przecież kłęski nadeszły wkrótce. Ojciec Marty w części nieopatrznością własną, a głównie wskutek zaszytych w kraju zmian ekonomicznych ujrzał się zagrożonym utratą swej posiadłości. Zdrowie jego zachwiało się, przewidywał zarówno upadek swej fortuny, jak bliski koniec życia. Los jednak Marty zdawał się już wtedy zabezpieczonym. Kochała i była kochaną.

Jan Świcki, młody urzędnik zajmujący dość wysoką już posadę w jednym z biur rządowych w Warszawie, pokochał piękną czarnooką pannę i wzbudził w niej wzajemne uczucie szacunku i miłości. Ślub Marty o kilka tygodni zaledwie poprzedził śmierć jej ojca. Zrujnowany szlachcic, który niegdyś marzył może dla jedynaczki swej o świetniejszym losie, z radością składał dłoń jej w rękę niemającego, lecz pracowitego człowieka; myśląc, iż wraz z odejściem Marty od ślubnego ołtarza przyszłość jej otrzymała dostateczną ochronę od cierpień samotności i niebezpieczeństw ubóstwa, umarł spokojnie.

Martę po raz drugi w życiu spotkała się z wielką boleścią, ale tym razem koiła ją nie tylko już sama młodość, ale i miłość żony, a potem matki. Piękne miejsce jej rodzinne zostało dla niej na zawsze straconym, przeszło w ręce ludzi obcych, ale namiętnie kochany i kochający mąż wśród gwaru miejskiego, w miłej, miękkiej, ciepłej, wygodnej gniazdo, w którym

Prимаріальський університет
ім. Василя Стефаника
БІБЛІОТЕКА
ІНВ. № 818445

Śród uciech i obowiązków rodzinnych pięć lat zeszło dla młodej kobiety szczęśliwie i szybko.

Jan Świcki pracował sumiennie i umiejętnie, pobierał znaczną płacę, dość znaczną, aby móc otoczyć kobietę, którą kochał, wszystkim, do czego od kolebki przywykła, co stanowić mogło urok każdej chwili, spokój każdego jutra. Każdego? Nie! Najbliższego tylko. Jan Świcki nie był dość opatrzny, aby myśleć o dalszej przyszłości z najmniejszym choćby uszczerbkiem dla pory obecnej.

Młody, silny, pracowity, liczył na młodość swą, siłę i pracowitość, myśląc, iż skarby te nie wyczerpią się nigdy. Wyczerpały się jednak zbyt prędko. Mąż Marty uległ chorobie ciężkiej i nagłej, z której nie uratowały go rady lekarzy ani starania zrozpaczonej żony. Umarł. Wraz ze śmiercią jego skończyło się nie tylko szczęście domowe Marty, ale usunęła się spod stóp jej podstawa materialnego jej bytu.

☐ Nie na zawsze więc ślubny ołtarz uratował młodą kobietę od cierpień samotności i niebezpieczeństw ubóstwa. Stary jak świat aksjomat opiewający, że nic nie ma stałego na świecie, sprawdził się na niej o tyle, o ile jest prawdziwym. Nie jest on bowiem prawdziwym w zupełności. Wszystko, co z zewnątrz ku człowiekowi przybywa, mija i mieni się dokoła niego pod wpływem tych tysięcznych prądów i zagmatwień, jakimi postępują, w jakie wiążą się społeczne stosunki i ustawy, pod wpływem częstokroć straszniejszym, bo najmniej przewidzieć i obrachować się dającym, ślepego trafu. Ale los człowieka na ziemi byłby w istocie pożałowania godnym, gdyby cała moc, wszystkie bogactwa i rękojmie jego zawierały się w tych tylko żywiołach zewnętrznych, zmiennych i umkliwych jak fale wodne, poddane rozkazom wichrów. Tak nic nie ma stałego na ziemi prócz tego, co człowiek posiada we własnej piersi i głowie: prócz wiedzy, która wskazuje drogi i uczy stąpać po nich, prócz pracy, która rozjaśnia samotność i odzęgnywa nędzę, prócz doświadczenia, które naucza, i wysoko podniesionych uczuć, które od złego chronią. I tu jeszcze stałość względna jest zapewne, łamię je posępna, lecz niezłomna potęga choroby i śmierci. Ale dopóki niewzruszenie i prawidłowo trwa i rozwija się

ten proces ruchu, myśli i uczuć ludzkich, który zwie się życiem, póty człowiek nie rozstaje się z samym sobą, póty sam sobie służy, dopomaga, stale podpira się tym, co zbierać sobie zdołał w przeszłości, co służy mu orężem w walce z zakłóceniami życia, ze zmiennością losu, z okrucieństwem trafu.

☐ Martę zawiodło i opuściło wszystko, co przybywając z zewnątrz przyjaznym jej było dotąd i opiekuńczym. Los, jakiemu uległa, nie był wcale wyjątkowym losem, nie-
szczęście jej nie wzięło źródła z dziwnej jakiejś, niepospolitej przygody, ze zdumiewającej jakiejś, w rocznikach ludzkości rzadko pojawiającej się katastrofy. Ruina i śmierć odgrywały dotąd w życiu jej rolę niszczycielek spokoju i szczęścia. Cóż pospolitszego wszędzie, coż mianowicie w społeczeństwie naszym pospolitszego nad pierwszą? co konieczniejszego, częstszego, bardziej nieuniknionego nad drugą?

Marta spotkała się oko w oko z tym, z czym spotykają się miliony ludzi, miliony kobiet. Któż w życiu swym po wielekroć nie napotkał ludzi płaczących nad wodami Babilonu opływającymi gruzy utraconej fortuny? Kto zrzuca, ile razy w życiu swym patrzył na szatę wdowią, na blade twarze i łzami zmęczone oczy sierot?

Wszystko więc, co towarzyszyło dotąd życiu młodej kobiety, rozstało się z nią, umknęło od niej, ale ona nie rozstała się z samą sobą. ☐ Czym mogła być sama dla siebie samej? co zbierać sobie zdołała w przeszłości? jakie orężę wiedzy, woli, doświadczenia służyć jej mogły w walce z zakłóceniami społecznymi, biedą, trafem, samotnością? W pytaniach tych mieściła się zagadka jej przyszłości, kwestia życia i śmierci jej, i nie tylko jej, ale jeszcze i jej dziecka. ☐

Materialnie młoda matka ta nie posiadała nic albo prawie nic. Paręset złotych, pozostałe ze sprzedaży sprzętów po opłaceniu drobnych długów i kosztów pogrzebu męża, trochę bielizny, dwie suknie — stanowiły cały jej majątek. Klejnotów wielkiej ceny nie miała nigdy; te, które miała, spieniężone przez nią w czasie choroby męża, zapłaciły nadaremne rady lekarskie i również nadaremne leki. Ubogie nawet

sprzęty napelniające nowe jej siedlisko nie były jej własnością. Wynajęła je razem z izbą, płacić obowiązała się z każdym pierwszym dniem każdego miesiąca.

Była to terazniejszość smutna zapewne, naga, ale wyraźnie już określona. Nieokreśloną pozostawała przyszłość. Trzeba ją było zdobyć, stworzyć niemal.

Czy młoda, piękna ta kobieta ze smukłą kibicią, białymi rękami i jedwabistym kruczym włosom, opływającym kształtną głowę, posiadała jaką siłę zdobywczą? czy z przeszłości swej wyniosła cokolwiek, z czego by stworzyć mogła przyszłość? Myślała o tym siedząc na niskim drewnianym stołku przed żarzącymi się węglami ogniska. Oczy jej z wyrazem niewymownej miłości tkwiły w dziecięcej twarzyczce, spokojnie uśpionej wśród bieli poduszki.

— Dla niej — wymówiła po chwili — dla siebie, na chleb, na dach, na spokój pracować będę!

Stała przed oknem. Noc była ciemna, Marta nie widziała nic: ani stromych dachów, które jeżyły się poniżej wysokiego poddasza mnóstwem wschodów i załomów, ani ciemnych zakopconych kominów nad dachami sterczących, ani latarni ulicznych, których mętne blaski nie osiągały wysokości jej okienka. Nie widziała nawet nieba, bo pokryte było chmurami i nie świeciło żadną gwiazdą. Ale gwar wielkiego miasta dochodził uszu jej nieustannie, choć nocny, ogłuszający, choć stłumiony odległością. Pora nie była zbyt późną; na szerokich, wspaniałych ulicach zarówno jak wśród ciasnych i mrocznych uliczek ludzie chodzili jeszcze, jeździli, gonili za przyjemnością, szukali zysku, biegli tam, gdzie wzywała ich ciekawość myśli, rozkosz serca, lub nadzieja zdobyczy.

Marta opuściła czoło na splecione ręce i zamknęła oczy. Wsłuchiwała się w tysiączne głosy, złane w jeden głos olbrzymi i choć niewyraźny, monotony, a jednak pełen gorączkowych wybuchów, nagłych uciszeń się, głuchych wykrzyków i tajemniczych szmerów. Wielkie miasto stanęło przed oczami wyobraźni jej w kształcie olbrzymiego ula, w którym poruszało się, wrzało życiem i gonitwą mnóstwo istot ludzkich. Każda z istot tych posiadała miejsce, na

którym pracowała, i to, na którym spoczywała, cele, do jakich dążyła, narzędzia, jakimi drogę sobie torowała wśród tłumy. Jakim będzie dla niej, dla biednej, w bezbrzeźną samotność straconej kobiety, miejsce pracy i spoczynku? kędy ten cel, do którego podąży ona? skąd wezmą się oręże, które uterują drogę ubogiej i opuszczonej? A także jakimi będą dla niej te istoty ludzkie, które tam tak gwarzą nieustannie, z których oddechu powstaje ten szmer gorączkowy, w którego to podnoszących się, to opadających falach ona teraz słuch swój zatapia? Będą one dla niej sprawiedliwymi lub okrutnymi, litościwymi lub miłosiernymi? Otworzą się przed krokami jej te ściśle zwarte falangi tłoczące się ku szczęściu i dobrobytowi lub zewrą się ściślej jeszcze, aby nowo przybyła nie zwęziła im miejsca, nie ubiegła której z nich w mozolnej gonitwie? Jakie ustawy i obyczaje przyjaznymi jej będą, a jakie wrogimi, i których więcej będzie, pierwszych czy drugich? Nade wszystko zaś, nade wszystko — potrafiż ona sama przewycięzać żywioły wrogie, wyzyskiwać przyjaźne, każdą chwilę, każde uderzenie serca, każdą myśl przelatującą przez głowę? każde drgnienie poruszające fibrami ciała skupić w jedną moc rozumną, wytrwałą, niespożytą, w moc taką, jaka jedynie odegnać zdoła nędzę, zabezpieczyć od poniżenia się godność człowieka, uchronić od bezowocnych bólów, rozpaczy i — śmierci głodowej?

W pytaniach tych skupiła się cała dusza Marty. Wspomnienia rozkoszne i zarazem gryzące, wspomnienia kobiety, która niegdyś, hożym i wesołym będąc dziewczęciem, lekkimi stopami deptała świeżą murawę i barwne kwiecie rodzinnej wioski, potem u boku ukochanego męża pędziła dni szczęśliwe, wolne od trosk i smutków, a teraz we wdowiej szacie stała u małego okienka poddasza, z bladym czołem opuszczonym na załamane dłonie — wspomnienia kobiety, które przez cały dzień miniony otaczały ją rojem widm nęcących po to, aby krwawić i rozdzierać, uleciały teraz od niej przed groźnym, tajemniczym, lecz dotykającym jak rzeczywistość zjawiskiem terazniejszości. Zjawisko to pochłaniało jej myśli, ale nie znać było, aby ją przerażało.

Czy odwagę swą czerpała z miłości macierzyńskiej napętlającej jej serce? czy posiadała w sobie tę dumę, która brzydzi się trwogą? czy... nie znała świata i samej siebie? Nie lękała się. Gdy podniosła twarz, były na niej ślady łez, obficie od dni kilku wylewanych, był na niej wyraz żalu i tęsknoty, ale obawy i zwątpienia nie było.

Nazajutrz po przeniesieniu się swym na poddasze Marta o godzinie dziesiątej z rana była już na mieście.

Pilno jej znać było dojść do celu, paląca jakaś myśl, niespokojna nadzieja — popędzały ją naprzód, bo szła prędko, a zwolniła kroku wtedy dopiero, gdy znalazła się na ulicy Długiej. Tu jednak szła już coraz wolniej, słaby rumieniec wybił się na blade jej policzki, oddech stał się śpieszniejszym, jak bywa zwykle przy zbliżaniu się chwili upragnionej i zarazem strasznej, wzywającej do wysiłku wszystkie władze umysłu i woli, obudzającej nadzieję, nieśmiałość, kto wie? wstyd może mimowolny, z przyzwyczajenia całego życia, z surowej nowości położenia powstały.

Przed bramą jednej z najpokaźniejszych kamienic zatrzymała się, spojrzała na numer domu. Był znać tym samym, który miała w pamięci, bo po jednym dłuższym nieco i głębszym odetchnięciu z wolna zaczęła wstępować na widne i szerokie wschody.

Zaledwie przebyła kilkanaście stopni, ujrzała zstępujące dwie kobiety. Jedna z nich ubrana była starannie, z pewnym nawet wykintem, postawę miała pewną siebie, wyraz twarzy więcej niż spokojny, bo zadowolony. Druga, młodsza, bardzo młoda, w ciemnej wełnianej sukience, wyszarzałym nieco szalu na ramionach, w kapelusiku, który widocznie niejedną już jesień pamiętał, szła z opuszczonymi rękami, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Zaczerwienione nieco powieki, blada cera twarzy i szczupłość kibici nadawały całej postaci młodziutkiej i dość ładnej dziewczyny tej wyraz smutku, słabości i zmęczenia. Dwie te kobiety znały się widać z bliska, bo rozmawiały z sobą poufnie.

— Boże mój, Boże! — mówiła młodsza z cicha i nieco jękliwie — co ja teraz, nieszczęśliwa, pocznę? ostatnia nadzieja mnie zawiodła. Jak powiem matce, że i dziś jesz-

cze nie dostałam lekcji, rozchoruje się gorzej... A tu i jeść w domu tak dobrze, jak nie ma już czego...

— No, no — odrzekła starsza tonem, w którym obok współczucia odzywała się struna silnie uczuwanej wyższości własnej — nie martw się tak bardzo! oto popracuj jeszcze trochę nad muzyką...

— Ach! gdybym ja tak grać mogła jak pani! — zawołała młodsza — ale nie mogę...

— Talentu nie masz, Kochanko! — wymówiła starsza — cóż robić? talentu nie masz!

Zamieniając te wyrazy dwie kobiety miały Martę. Były tak zajęte, jedna zadowoleniem swym, druga swym smutkiem, że najmniejszej nie zwróciły uwagi na kobietę, której żalobna suknia z bliska przesunęła się koło nich. Ale ona stanęła nagle i wiodła za nimi wzrokiem. Były widocznie nauczycielkami, które opuszczały miejsce, do jakiego ona dążyła. Jedna z nich wprawdzie odchodziła z twarzą promieniącą, ale druga ze łzami. Za pół godziny, za kwadrans może, ona także zstępować będzie z tych wschodów, po których teraz wstępuje. Czy radość, czy łzy dostaną się jej w udziale? Serce jej uderzało silnie, gdy poruszyła dzwonek przytwierdzony do drzwi, na których połyskiwała mosiężna blacha z napisem:

BIURO INFORMACJI
DLA NAUCZYCIELI I NAUCZYCIELEK
LUDWIKI ŻMIŃSKIEJ

Z małego przedpokoiku, którego drzwi otworzyły się na odgłos dzwonka, Marta weszła do obszernego pokoju, oświetlonego dwoma wielkimi oknami na ludną ulicę wychodzącymi, ostawionego ładnymi sprzętami, spośród których wyróżniał się i wchodzącemu od razu w oczy wpadał nowiutki, bardzo ozdobny i kosztowny fortepian.

W pokoju znajdowały się trzy osoby, z których jedna powstała na spotkanie Marty. Była to kobieta średniego wieku z włosami niepewnego koloru, gładko przyczesanymi pod kształtnym białym czepeczkiem, z postawą trochę sztywną. Twarz jej, dość regularnych rysów, nie nosiła na

sobie żadnej wyraźnej cechy i tak jak popielata suknią, pozbawiona wszelkich ozdób i rzędem monottonnych guzików spięta na piersi, nie raziła niczym i niczym nie pociągała. Była to postać od stóp do głowy obleczona w wyraz urzędowości; kobieta ta umiała może w innych porach i w innym miejscu uśmiechać się swobodnie, patrzeć z czułością, serdecznym ruchem wyciągnąć dłoń do uścisku, ale tu, w saloniku tym, w którym przyjmowała osoby wzywające jej porady i pomocy, występowała w charakterze urzędowej pośredniczki pomiędzy osobami tymi a społeczeństwem, była taką, jaką zapewne być była powinna, grzeczną i przyzwoitą, ale powściągliwą i ostrożną. Salonik ten miał tylko pozór saloniku; w gruncie był miejscem handlu takim, jakim bywają wszelkie inne miejsca handlu; właścicielka jego ofiarowywała porady swe, wskazówki, stosunki tym, którzy ich od niej żądali, w zamian wzajemnej usługi tłumaczącej się monetą. Był to także czyściec, przez który przechodziły dusze ludzkie, wstępując zeń w niebo zdobytej pracy lub zstępując w piekło przymusowego bezrobocia.

Marta zatrzymała się chwilę przy drzwiach i ogarnęła wzrokiem twarz i postać postępującej na spotkanie jej kobiety. Oczy jej, które wczoraj napełniały się co chwila łzami, dziś suche i połyskliwe, nabrały wyrazu niepospolitej bystrości, przenikliwości niemal. Skupiły się w nich widocznie wszystkie władze myślenia młodej kobiety i usiłowały przez zewnętrzną powłokę przedrzeć się w głębiej istoty, której usta wydać miały sąd o przyszłej niedoli jej lub spokoju. Pierwszy to raz w swym życiu Marta przychodziła do kogoś za interesem; interes zaś ten był jednym z najważniejszych interesów ludzi biednych: potrzeba zarobku.

— Pani dobrodziejka do biura informacyjnego zapewne? — wymówiła gospodyni domu.

— Tak, pani — odrzekła przybywająca i dodała: — Jestem Marta Świcka.

— Chciej pani usiąść i zaczekać chwilę, aż ukończę rozmowę z tymi paniami, które przybyły pierwiej.

Marta usiadła na wskazanym sobie fotelu i teraz dopiero zwróciła uwagę na dwie inne znajdujące się w pokoju osoby.

Osoby te różniły się ze sobą niezmiernie wiekiem, ubiorem i powierzchownością. Jedną z nich była dwudziestoletnia może panna, bardzo ładna, z uśmiechem na różowych ustach, błękitnymi oczami, które patrzyły pogodnie, prawie wesoło, w jedwabnej sukni jasnego koloru i malutkim kapełusiku, pięknie strojącym jasnopłowe włosy. Z nią właśnie rozmawiać musiała Ludwika Zmińska przed wejściem Marty, bo do niej zwróciła się zaraz po przywitaniu przybyłej. Mówiła po angielsku, a z pierwszych zaraz wyrazów odpowiedzi młodej panny odgadnąć w niej można było rodowitą Angielkę. Marta nie rozumiała rozmowy dwóch kobiet, bo nie знаła języka, którym ją prowadzono, widziała tylko, że swobodny uśmiech nie zniknął z ust pięknej Angielki, że twarz jej, postawa i sposób mówienia wyrażały śmiałość osoby przywykłej do powodzenia, pewnej siebie i losu, który ją czeka.

Po krótkiej rozmowie gospodyni domu wzięła ćwiartkę papieru i poczęła zakreślać ją biegłym pismem.

Marta z wyteżoną uwagą ścigającą szczegóły sceny, która bliską łączność miała z własnym jej położeniem, widziała, że Ludwika Zmińska pisała list po francusku, umieściła w nim cyfrę wyrażającą sumę 600 rubli, na kopercie zaś wypisała jedno z hrabiowskich nazwisk krajowych i dodała doń nazwę najpiękniejszej w Warszawie ulicy. Uczyniwszy to wszystko z grzecznym uśmiechem wręczyła pismo Angielce, która powstała, skłoniła się i wyszła z pokoju krokiem lekkim, z głową podniesioną i uśmiechem zadowolenia na ustach.

„Sześćset rubli rocznie — myślała Marta — jakież to bogactwo, mój Boże! jakie to szczęście móc tyle zarobić! Gdyby mi choć połowę sumy tej przyrzeczono, byłabym spokojna o Jancię i o siebie!”

Myśląc tak młoda kobieta z zajęciem i mimowolnym politowaniem spoglądała na osobę, z którą po odejściu Angielki gospodyni domu rozmowę rozpoczęła.

Była to kobieta mogąca mieć około lat sześćdziesięciu, drobna, chuda, ze zwiędłą twarzą, okrytą mnóstwem zmarszczek, z zupełnie prawie białymi włosami, w dwa gładkie pasma przyczesanymi pod kapeluszem czarnym, zmiętym i bardzo dawną modę pamiętającym. Czarna wełniana suknia i jedwabna starożytna mantylka zwisały na chudym ciele staruszki, ręce jej, przezroczyste, białe i drobne, niespokojnym ruchem mięły wciąż i obracały w kościstych palcach leżącą na kolanach białą, płócienną chustkę. Podobnaż niespokojność malowała się w błękitnych znać niegdyś, lecz teraz spłowiątych i pozbawionych blasku jej źrenicach, które to podnosiły się na twarz gospodyni domu, to okrywały się zaczerwienionymi powiekami, to przebiegały z przedmiotu na przedmiot, odzwierciedlając tym niejako niepokój i bolesne targanie się steranego umysłu, szukającego dla siebie jakiegoś niby punktu oparcia, jakiegoś przytułku i ukojenia.

— Czy pani byłaś już kiedy nauczycielką? — wymówiła po francusku Ludwika Zmińska zwracając się do staruszki.

Biedna kobieta poruszyła się na krześle, przebiegła oczami wzdłuż i wszerz przeciwległą ścianę, konwulsyjnym ruchem zacisnęła palce wkoło zwiniętej w kłęb chustki i zaczęła z cicha:

— Non, madame, c'est le premier fois que je... je...

Urwała: szukała widocznie obcych wyrazów, którymi by wypowiedzieć mogła myśl swoją, ale one umykały zmęczonej jej pamięci.

— J'avais... — zaczęła po chwili — j'avais la fortune... mon fils avait le malheur de la perdre...

Gospodyni domu zimna i wyprostowana siedziała na kanapie. Błędy językowe popełniane przez staruszkę, trudna i przykro brzmiąca jej wymowa nie wywołały na usta jej uśmiechu, tak jak znękanie jej i bolesny niepokój nie zdawały się budzić w niej współczucia.

— To smutno — rzekła — i pani tego jednego tylko masz syna?

— Nie mam go już! — zawołała po polsku stara kobieta,

lecz nagle przypominając sobie obowiązek wykazania umiejętności obcej mowy, dodała:

— Il est mourru par désespoir!

Spłowiełe źrenice staruszki nie zwilżyły się łzami ani zaświeciły najmniejszym blaskiem, gdy wymawiała ostatnie wyrazy, ale blade, wąskie usta jej drgnęły wśród roju otaczających je zmarszczek i pierś wklęsła zdrząła pod staroświecką mantylką.

— Pani posiadasz muzykę? — zapytała gospodyni domu po polsku, jakby z kilku słów zamienionych dostatecznie już oświadczoną została z francuskim ukształceniem staruszki.

— Grywałam kiedyś, ale... bardzo już dawno... nie wiem doprawdy, czy mogłabym już teraz...

— A więc może niemiecki język...

Za całą odpowiedź staruszka przecząco wstrząsnęła głową.

— A więc czegoż pani dobrodziejka nauczać może?

Pytanie to zadany było tonem grzecznym wprawdzie, ale zarazem tak suchym i zimnym, że znaczyło tyleż, ile wyraźna odprawa. Stara kobieta przecież nie zrozumiała lub wysiliła się na niezrozumienie. Francuski język był znać tą z umiejętności jej, na którą rachowała najwięcej — przez którą spodziewała się otrzymać kęs chleba, mający uchronić od nędzy ostatnie dni steranego jej życia. Czując, że grunt usuwa się pod jej stopami, że właścicielka biura informacyjnego zamierza ukończyć rozmowę z nią nie udzieliwszy jej żadnej informacji, pochwyciła tę jedyną, ostatnią według niej deskę zbawienia i coraz silniej mnać płócienną chustkę w drżących palcach, pośpiesznie zaczęła:

— La géographie, la historie, les commencements de l'arithmétique.

Umilkła nagle i osłupiały wzrok utkwiała w przeciwległej ścianie, bo Ludwika Zmińska powstała.

— Przykro mi to bardzo — zaczęła z wolna gospodyni domu — ale nie mam obecnie na widoku żadnego miejsca, które by dla pani odpowiednim być mogło...

Skończyła i stała z rękami założonymi na surowym sta-

niku popielatej sukni, oczekując wyraźnie pożegnania. Ale starszka siedziała jak przykuta do miejsca, ruchliwe dotąd ręce jej i oczy zniechęcały, blade usta za to roztworzyły się i drgały nerwowo.

— Żadnego! — wyszeptwała po chwili. — Żadnego! — powtórzyła i sztywna, niezależną jakby od niej samej mocą poruszona, z wolna podniosła się z krzesła.

Nie odchodziła jednak. Teraz dopiero powieki jej nabrzmiwały, blade żrenice zaszyły szklistą powłoką. Oparła trzęsącą się dłoń na poręczu krzesła i rzekła z cicha:

— Może potem... może kiedykolwiek potem... będzie jakie miejsce...

— Nie, pani, przyrzekać nie mogę — jednostajnie zawsze grzecznie i sztywnie odrzekła gospodyni domu.

Przez parę sekund zupełne milczenie panowało w pokoju. Nagle po zmarszczonych policzkach starej kobiety popłynęły dwa strumienie bujnych, obfitych łez. Nie wydała jednak żadnego głosu, nie wymówiła ani jednego słowa, skłoniła się gospodyni domu i szybko opuściła pokój. Wstydziła się może łez swych i pragnęła ukryć je co najprędzej albo może do miejsca innego, lecz podobnego temu, jakie opuszczała, śpieszyła z nową nadzieją po nowy zawód...

Teraz Marta została sam na sam z kobietą, która rozstrzygać miała kwestię spełnienia lub upadku najdroższych dla niej nadziei, najusilniejszych pragnień. Nie czuła się przełęczoną, tylko głęboko smutną.

Sceny, które od kilku chwil przesuwwały się przed jej oczami, wywarły na umyśle jej silne wrażenie, tym silniejsze, że całkiem nowe. Nie była przyzwyczajoną do widoku ludzi szukających zarobku, upędzających się za kęsem chleba, nie odgadywała, nie przeczuwała nigdy, aby gonitwa ta zawierała tyle w sobie niepokojów, udręczeń, zawodów. Praca zjawiała się w wyobraźni Marty, ilekroć dotąd myślała o niej, w postaci czegoś, po co nachylić się tylko trzeba, aby osiągnąć przedmiot upragniony. Tu, na pierwszej zaraz stacji nieznaney tej drogi, zaczynała domyślać się rzeczy strasznych, niemniej jednak nie drżała, upewniała siebie w myśli, że ją, kobietę młodą i zdrową, starannie kiedyś

wychowywaną przez najlepszych rodziców, ją towarzyszkę człowieka rozsądnego i umysłową pracą zarabiającego sobie na życie, spotkać nie może los podobny temu, jaki spotkał tę biedną, smutną dziewczynę, którą spotkała na wschodach, i tę stokroć nieszczęśliwszą jeszcze starszuskę, która odeszła przed chwilą z dwoma strumieniami łez opływającymi zmarszczone policzki.

Ludwika Zmińska zaczęła od pytania, od którego zwyczajnie znać zaczynała rozmowy ze zjawiającymi się kandydatkami na nauczycielskie posady:

— Pani trudniłaś się już nauczycielstwem?

— Nie, pani; jestem wdową po urzędniku zmarłym przed kilku dniami. Teraz dopiero po raz pierwszy pragnę rozpocząć zawód nauczycielki.

— A! więc posiadasz pani może świadectwo ukończenia którego z wyższych naukowych zakładów?

— Nie, pani; wychowałam się w domu.

Słowa te dwie kobiety zamieniły z sobą po francusku. Marta wyrażała się w języku tym poprawnie i z łatwością, wymowa jej nie była jak najdoskonalszą, ale nie raziła żadnymi osobliwymi uchybieniami.

— Jakichże przedmiotów pani możesz i zyczysz sobie udzielać?

Marta nie zaraz odpowiedziała. Rzecz dziwna, przyszła tu z zamiarem wyjednanania dla siebie miejsca nauczycielki, ale nie wiedziała dobrze, czego właściwie nauczać mogła i chciała. Nie była przyzwyczajoną do rachowania się z posiadanymi zasobami umysłu, wiedziała tylko o tym, że to, co umiała, było zupełnie wystarczającym dla kobiety, zostającej w tych położeniach, w jakich ona zostawała, dla córki szlacheckiej, dla żony urzędnika. Nie czas jednak był namyślać się długo; pamięci Marty nasunęły się naturalnie te przedmioty, nad którymi w dzieciństwie pracowała najwięcej, które stanowiły tło ukształcenia jej i jej rówieśnic.

— Mogłabym dawać lekcje muzyki i francuskiego języka — rzekła.

— Co do drugiego — odparła gospodyni domu — uważam, iż pani posiadasz wymowę francuską dość biegłą i popraw-

ną, a chociaż nie jest ona jeszcze wszystkim, czego potrzeba dla możliwości nauczania, to jednak pewną jestem, iż pani i gramatyka, i pisownia, i może nieco piśmiennictwo francuskie obcymi nie są. Co do muzyki... racz pani przebaczyć... ale muszę znać stopień artystycznego jej wykształcenia, ażeby znaleźć sposób odpowiedniego dlań zużytkowania.

Na blade policzki Marty wystąpiły rumieńce. Wychowała się w domu, nie zdawała nigdy egzaminów żadnych przed nikim, nie produkowała się nawet przed światem, bo w kilka miesięcy po ślubie, zamknąwszy kupiony jej przez męża fortepian, otwierała go zaledwie parę razy, i to wtedy zawsze, kiedy gry jej słuchały tylko cztery ściany ładnego jej saloniku i drobniutkie uszki Janci, skaczącej na kolanach piastunki w takt muzyki matczynej. A jednak żądanie właścicielki informacyjnego biura nie miało w sobie nic takiego, co by obrażać powinno, zasadzało się na tym prawidło prostym i powszechnie w świecie pracującym przyjętym, że aby powiedzieć coś o cenie i właściwościach przedmiotu, trzeba go naprzód obejrzeć, zważyć i tak dopasować, kędy on okaże się potrzebnym i stosownym. Rozumiała to Marta, podniosła się z fotela i zdjąwszy rękawiczki przystąpiła do fortepianu. Tu stała chwilę z oczami spuszczoneymi na klawiaturę. Przypomniała sobie paniński swój repertuar muzyczny i wahała się pomiędzy kompozycjami, które darzyły ją niegdyś pochwałą nauczycielki i uściskami rodziców. Usiadła i rozmawiała jeszcze wciąż ze swoją pamięcią, gdy drzwi otworzyły się z łoskotem, a od progu ozwał się głos kobiety, ostry i przenikający:

— Eh bien, mam! La comtesse arrive-t-ella a Varsovie?

Ze słowami tymi wpadła raczej, niż weszła do pokoju kobieta żwawa, przystojna, ciemnej płci, średniego wzrostu, w oryginalnym płaszczku z pasowym kapiszonem, jaskrawo odbijającym przy głębokiej czerności włosów i śniadości cery. Czarne połyskliwe oczy przybyłej obiegły szybko pokój i spotkały się z postacią kobiety siedzącej przy fortepianie.

— Ah, vous avez du monde, madame! — zawołała — continuez, continuez, je puis attendre!

Mówiąc to rzuciła się w fotel, oparła głowę o tylną poręcz, skrzyżowała nogi, przez co ukazała bardzo zgrabne stopy obute w ładne buciki, i zakładając ręce na piersi, ciekawo, przenikliwy wzrok utkwiała w twarzy Marty.

Na policzkach młodej wdowy wzmogły się rumieńce, nowy świadek popisowej gry jej nie ujmował przykości jej położenia. Ale Ludwika Zmińska zwróciła ku niej głowę z tym szczególnym zajęciem i wyrazem twarzy, które zdają się mówić: „Czekamy!”

Marta zaczęła grać. Grała la Priere d'une Vierge. W porze, w której uczyła się muzyki, młode panny grywały powszechnie la Priere d'une Vierge, tę tkliwą kompozycję, której tony w całość pełną melancholii zlewały się z wnioskującymi przez okna księżycowymi promieniami i ulatającymi z piersi dziewczymi westchnieniami. Ale salonik informacyjnego biura oświetlony był jasnym, trzeźwym blaskiem dziennym, westchnienia kobiety grającej la Priere d'une Vierge nie były takimi westchnieniami, które lecą „w nadziemskie krainy” lub na ów łąn zielony, kędy pędzi „konik wrony”, ale takimi, które tłumione, spychane na dno piersi, wciąż się jednak podnoszą, wlewając w ucho kobiety-matki prosty, ziemski, pospolity, trywialny, a jednak tragiczny, groźny, natarczywy, rozdzierający wykrzyk:

„Chleba! zarobku!”

Wąskie brwi Ludwiki Zmińskiej zsunęły się bardzo nieznacznie, przez co jednak fizjonomia jej stała się więcej jeszcze chłodną i surową, jak była wprzód; po śniadej twarzy Francuzki rozpartej w fotelu mknęły roje figlarnych uśmiechów. Marta czuła sama, że gra źle. Nie rozumiała już dziś tej wążanki czułych tonów, która niegdyś wydawała się jej melodią anielską; palce jej utraciły wprawę i plątały się po klawiszach, nie zawsze na właściwe trafiając, myliła się w pasażach, cisnęła zbytecznie pedał, opuszczała całe takty, zatrzymywała się i szukała po klawiaturze drogi, którą zgubiła.

— Mais c'est une petite horreur qu'elle joue la! — za-

wołała Francuzka półgłosem wprawdzie, ale wykrzyk jej usłyszała i Marta.

— Chut! mademoiselle Delphine! — szepnęła gospodyni domu.

Marta uderzyła ostatni akord tkliwej kompozycji i zaraz, nie podnosząc oczu ni rąk znad klawiszów, zaczęła grać Nocturne Zientarskiego. Czuła, jak niepomysłne dla niej wrażenie gra jej wywierała na kobietę trzymającą w swoim ręku najdroższe jej nadzieje; czuła, że niezręcznie dotykając klawiszów wypuszcza zarazem z dłoni jedno z nielicznych narzędzi zarobku, na jakie liczyła, że każdy fałszywy ton, spod palców jej wychodzący, rwie i przecina jedną z nielicznych nici, na których zawisł byt jej i jej dziecka.

„Muszę zagrać lepiej!” — powiedziała sobie w myśli i bez chwili namysłu zaczęła grać smętny Nocturne. A jednak nie grała lepiej niż wprzód, grała nawet gorzej, kompozycja była trudniejsza, w rękach odzwyczajonych od gry uczuwać zaczęła ból i zeszywnienie.

— Elle touche taux'mame! he! he! comme elle touche faux! — zawołała znowu Francuzka strzelając śmiejącymi się oczami i zgrabne stopy opierając na pobliskim fotelu.

— Chut, je vous en prie, mademoiselle Delphine! — powtórzyła gospodyni domu z lekkim niezadowoleniem wzruszając ramionami.

Małta wstała od fortepianu. Rumieńce jej, lekkie wprzód, przemieniły się teraz w purpurowe plamy, oczy błyszczały połyskiem silnego wzruszenia. Stało się z dłoni jej wypadło jedno z narzędzi, na jakie rachowała, jedna z nici mogących prowadzić ją ku zarobkowi urwała się stanowczo. Wiedziała już teraz, że lekcji muzyki otrzymać nie może; nie spuściła oczu i pewnym krokiem przystąpiła do stołu, przy którym siedziały dwie obecne w pokoju kobiety.

— Nie miałam nigdy talentu do muzyki — zaczęła głosem dość cichym, ale nie stłumionym i nie drżącym — uczyłam się jej przecież przez lat dziewięć, ale do czego się nie ma zdolności, to zapomina się łatwo. Przy tym przez pięć lat po zamążpójściu nie grywałam wcale.

Mówiła to z lekkim uśmiechem. Utkwione w nią spojrze-

nia bystrych oczu Francuzki ciążyły jej dotkliwie, lękała się urzeć w nich litość lub szyderstwo. Ale Francuzka nie zrozumiawszy słów Marty, wymówionych po polsku, ziewnęła szeroko i głośno.

— Eh bien! mame! — zwróciła się do gospodyni domu — skończ pani ze mną; mam do powiedzenia kilka słów tylko. Kiedy hrabina przyjedzie?

— Za dni kilka.

— Pisałaś pani do niej o warunkach, jakie położyłam?

— Tak, i pani hrabina przyjęła je.

— Więc moje czterysta rubli są pewnymi?

— Najzupełniej.

— I małą siostrzenicę moją będę mogła mieć przy sobie?

— Tak.

— I będę miała osobny pokój, osobną sługę, konie do przejażdżki, kiedy zechcę, i dwa miesiące wakacji?

— Na wszystkie warunki te zgodziła się pani hrabina.

— To dobrze — powstając rzekła Francuzka — za kilka dni przyjdę dowiedzieć się znowu o przyjeździe pani hrabiny. Jeżeli jednak za tydzień nie przyjedzie lub nie przyśle po mnie, zerwę umowę. Czekać dłużej nie chcę i nie potrzebuję. Mogę mieć miejsc podobnych dziesięć. Bonjour, madame.

Kiwnęła głową gospodyni domu, Marcie i odeszła. U progu nasunęła na głowę pasowy kapiszon i otwierając drzwi zanuciła fałszywie francuską piosenkę. Marta po raz pierwszy w życiu uczuła coś na kształt zazdrości. Słuchając rozmowy francuskiej guwernantki z właścicielką biura myślała:

„Czterysta rubli i pozwolenie zatrzymania przy sobie małej siostrzenicy, osobny pokój, sługa, konie, długie wakacje! Boże mój! ileż to warunków, jakże szczęśliwą, świetną jest pozycja tej kobiety, która jednak nie wydaje się ani bardzo ukształconą, ani wielce pociągającą! Gdyby mi przyrzeczono czterysta rubli rocznie i pozwolono mieć Jancię przy sobie...”

— Pani! — ozwała się głośno — rada byłabym otrzymać stałą jaką posadę.

Zmińska namyślała się chwilę.

— Nie jest to zupełnie niepodobnym, ale nie jest także

i łatwym, a do tego wątpię, aby dla pani było korzystnym. Spodziewam się, iż pani uznasz, że w stosunkach z osobami udającymi się do mnie otwartość jest moim obowiązkiem. Z francuszczyzną pani niezłą, ale niezupełnie paryską, z małym, żadnym prawie kształceniem muzycznym mogłabyś pani zostać nauczycielką tylko na początki.

— Co znaczy? — z bijącym sercem zapytała Marta.

— Co znaczy, że otrzymywałabyś pani 600, 800, najwyżej 1000 złotych rocznie.

Marta nie namyślała się ani chwili.

— Zgodziłabym się na tę zapłatę — rzekła — gdyby przyjęto mnie wraz z małą moją córeczką.

Oczy Ludwiki Zmińskiej, wyrażające przed chwilą nadzieję budzący namysł, ochłodziły.

— Al! — wymówiła — pani nie jesteś więc sama, masz dziecko...

— Czteroletnią dziewczynkę, łagodną, spokojną, która nikomu nie wyrządziłaby nigdy przykrości żadnej...

— Wierzę — rzekła Zmińska — a jednak nie mogę udzielić pani najmniejszej nadziei otrzymania miejsca wraz z dzieckiem.

Marta patrzyła na mówiącą ze zdziwieniem.

— Pani — wymówiła po chwili — osobę, która tylko co stąd odeszła, przyjęto przecież wraz z małą jej krewną... i tyłu... tyłu innymi warunkami. Czy jest ona tak wysoce wykształconą?

— Nie — odpowiedziała Zmińska — wykształcenie jej nie przechodzi granic mierności; ale jest ona cudzoziemką.

Po ustach surowej właścicielki biura po raz pierwszy w ciągu rozmowy przewinął się uśmiech, a zimne jej oczy spojrzały w twarz Marty z wyrazem, który zdawał się mówić.

„Jak to! nie wiedziałaś więc o tym? Skądże przybywasz?” Marta przybywała z rodzinnej wioski, kędy róże kwitły i słowiki śpiewały, z ładnego mieszkania przy ulicy Granicznej położonego, kędy były cztery ściany ustrojone, ogrzane, dokoła świat przed oczami jej zasłaniające; przybyła ona z krainy, w której panują naprzód naiwność

i nieświadomość dziewicy, potem wesołość i nieświadomość młodej mężatki, przybywała ona z tego kręgu żywiołów ludzkich, w którym niewiasta spuszcza oczy, a więc nic nie widzi, nie zapytuje o nic, a więc o niczym nie wie... Nie wiedziała lub mimochodem, przelotnie zaledwie zasłyszała była coś o tym, że co wolno Jowiszowi, tego nie wolno wołowi. Oczy Ludwiki Zmińskiej zimne, ale rozumne, z błędzącą w żrenicach ironią w tej chwili na nią spoglądające, mówiły jej:

„Tamtą kobietą w pąsowym kapiszonie, ostro mówiącą, głośno wykrzykującą, stopy na krzesło zakładająca, jest Jowiszem, ty, biedna istota, trywialnie urodzona na tej samej ziemi, na której rodzą się wszystkie matki wszystkich naszych dzieci, jesteś wołem”.

— Gdybyś się pani rozstać mogła ze swą córeczką, gdybyś umieściła ją gdziekolwiek, bardzo być może, iż znalazłabyś dla siebie miejsce z tysiącem złotych rocznie.

— Nigdy! — splatając ręce zawołała Marta — nigdy nie rozstanę się z moim dzieckiem, nie oddam go w ręce obce... Jest ono wszystkim, co pozostało mi na ziemi...

Wykrzyk ten przemocą wydarł się z piersi matki, ale Marta pojęła szybko niestosowność jego i bezużyteczność. Uczyniła nad sobą wysilenie i spokojnie mówić zaczęła:

— Skoro więc nie mogę mieć nadziei otrzymania posady stałej, racz pani dostarczyć mi lekcji prywatnych...

— Lekcji francuskiego języka? — wtrąciła gospodyni domu.

— Tak, pani, i innych przedmiotów także, jak na przykład jeografii, historii powszechnej, historii literatury polskiej... Uczylałam się kiedyś tego wszystkiego, potem czytywałam, niezbyt wiele wprawdzie, zawsze jednak trochę czytywałam. Pracując nad sobą dopełniłabym moich wiadomości...

— Na nic by się to pani nie przydało — przerwała Zmińska.

— Jak to, pani?

— Tak, bo ani ja, ani żadna z właścicielek biur informa-

cyjnych nie mogłybyśmy sumiennie przyrzekać pani lekcji wspomnianych przez panią nauk...

Marta szeroko otwartymi oczami spoglądała na mówiącą kobietę; ta po krótkiej chwili przestanku dodała:

— Ponieważ zajmują się nimi wyłącznie prawie mężczyźni.

— Mężczyźni — wyjąkała Marta — dlaczego wyłącznie mężczyźni?

Żmińska podniosła na młodą kobietę oczy, które mówiły znowu:

„Skądże przybywasz?”

Głośno zaś rzekła:

— Dlatego zapewne, że mężczyźni są mężczyznami.

Marta przybywała z krainy błogiej nieświadomości niewieściej, zamyśliła się więc przez chwilę nad wyrazami właścicielki biura. Po raz pierwszy w życiu zawikłania i zagadnienia społeczne jawiły się przed jej oczami, mętne, niewyraźne; splątane ich zarysy, wywierając na nią bezwiedne, dolegliwe wrażenie, nie nauczały jej przecież niczego.

— Pani — odezwała się po chwili — zdaje mi się, iż zrozumiałam, dlaczego mężczyźni więcej pożądanymi są, gdy idzie o nauczanie; posiadają oni wykształcenie wyższe, gruntowniejsze niż kobiety... Tak, ale wzgląd ten może mieć miejsce tam tylko, gdzie nauczanie przybiera szerokie już rozmiary, gdzie wiedza nauczyciela powinna być tak obszerną i gruntowną, aby odpowiedzieć mogła potrzebom dojrzewającego już umysłu ucznia. Ale ja, pani, nie roszczę tak wysokich pretensji. Chciałabym nauczać początków historii, jeografii, historii piśmiennictwa naszego...

— Początków tych uczą zazwyczaj także mężczyźni... — przerwała Żmińska.

— Wtedy zapewne, kiedy idzie o dawanie lekcji chłopcom — wtrąciła Marta.

— I dziewczętom także — dokończyła właścicielka informacyjnego biura.

Marta zamyśliła się znowu.

— A więc — rzekła po chwili — cóż w dziedzinie nauczycielstwa pozostaje kobietom?...

— Języki, talenta...

Oczy Marty zaświeciły nadzieją. Ostatni wyraz Żmińskiej przypomniał jej jedno jeszcze narzędzie zdobywcze, o którym dotąd nie myślała.

— Talenta — wymówiła z pośpiechem — a więc nie tylko przecież muzyka... Ja uczyłam się rysować... chwalono nawet kiedyś moje rysunki.

Na twarzy Żmińskiej osiadł znowu wyraz obiecującego namysłu.

— Zapewne — rzekła — umiejętność rysunku może się pani na coś przydać, daleko mniej jednak, niżby się przydała biegłość w muzyce...

— Dlaczego, pani?

— Dlatego, zapewne, że rysunek jest cichy, a muzyka głośna... — W każdym razie — dodała Żmińska — przynieś mi pani próby swego rysunku. Jeżeli jesteś w nim bardzo biegła, jeżeli potrafisz wyrysować coś, co by oznajmiało talent wielki i wysoko ukształcony, będę mogła znaleźć dla pani jedną lub dwie lekcje...

— Bardzo biegłą w rysunku nie jestem — odparła Marta — nie zdaje mi się też, aby talent mój do rysowania był wielkim, ukształcenie zaś, jakie w nim posiadałam, nie może wcale nazwać się wysokim. Znam przecież rysunek o tyle, abym początkowych prawideł jego nauczać mogła.

— W takim razie nie przyrzekam pani początkowych lekcji i rysunku — spokojnie, krzyżując ręce na piersi rzekła Żmińska.

Ale dłonie Marty splatały się coraz silniej pod wpływem coraz przykrzejszego uczucia.

— Dlaczego, pani? — szepnęła młoda kobieta.

— Dlatego, że udzielają ich mężczyźni — odrzekła właścicielka biura.

Marta pochyliła głowę na piersi i tym razem przesiedziała przez dwie minuty w głębokim pogrążona zamysleniu.

— Przebacz, pani — wymówiła po chwili, podnosząc

twarz, na której malował się wyraz dręczącego niepokoju — przebacz, pani, że tak długo zajmuję ją tą rozmową. Jestem kobietą niedoświadczoną, za mało może dotąd zwracałam uwagi na stosunki ludzkie i na porządek spraw, które nie tyczyły się mnie osobiście. Nie rozumiem wszystkiego, o czym mi pani powiadasz, rozsądek mój, a zdawało mi się, że go mam, sprzecza się z tymi licznymi niemożliwościami, jakie mi pani wskazujesz, bo nie dostrzega, jakie mogłyby być ich przyczyny. Otrzymanie pracy, jak największej ilości pracy, jest dla mnie więcej niż kwestią życia i śmierci, bo kwestią życia, a potem i wychowania mego dziecka... Myśli moje wikłają się... pragnęłabym słusznie sądzić o rzeczach, zrozumieć... ale... nie mogę... nie rozumiem...

Gdy Marta mówiła te słowa, właścicielka biura patrzyła na nią zrazu obojętnie, potem bacznie i ze skupioną uwagą, potem jeszcze chłodne oczy jej rozgrzały się cieplejszym światłem. Spuściła szybko wzrok i chwilę milczała, po surowym czole jej przesunęło się parę ruchomych zmarszczek, smutny uśmiech owinął na chwilę obojętne zwykle usta. Urzędowa powłoka, którą okrywała się właścicielka informacyjnego biura, nie opadła z niej całkiem, ale stała się przezroczysta; można było teraz dostrzec zza niej kobietę, która przypominała sobie niejedną kartę z własnego życia, niejednen obraz z życia innych kobiet. Podniosła z wolna głowę i spotkała spojrzeniem utkwione w nią, głębokie w tej chwili, błyszczące i niespokojne oczy Marty.

— Nie pani pierwsza — zaczęła głosem mniej suchym, niż dotąd mówiła — nie pani pierwsza przemawiasz do mnie w ten sposób. Od lat ośmiu, to jest od czasu, w którym stanęłam na czele zakładu tego, przychodzą tu wciąż kobiety różnych wieków, stanów, uzdolnień, rozmawiają ze mną i mówią: „Nie rozumiemy!” Ja rozumiem to, czego one nie rozumieją, gdyż wiele widziałam i nie mniej doświadczyłam sama. Tłumaczenia jednak rzeczy dla niedoświadczonych, ciemnych i niezrozumiałych nie podejmuję się, wytłumaczają je każdemu dostatecznie walki niezbędne, zawody nieuniknione, fakty jasne jak dzień i zarazem ponure jak noc.

Gorzka jakaś ironia przebrzmiewała w głosie niemłodej kobiety o surowych rysach, gdy wymawiała te wyrazy. Oczy jej spoczywały wciąż na bladej już teraz twarzy Marty. Było w ich głębi nieco tego współczucia, z jakim człowiek dojrzały, znający dobrze ciemne strony życia, spogląda na naiwne dziecię, które całe je ma jeszcze przed sobą. Marta milczała. Powiedziała przed chwilą prawdę: myśli wikłają się w jej głowie, nie mogąc żadnym wyrazem objąć tego, co przedstawiło się nagle jej wyobraźni, obległo jej rozwagę. Jedną tylko rzecz spostrzegła jasno i wyraźnie: spostrzegła, że praca nie jest wcale przedmiotem takim, po który człowiek, po który mianowicie kobieta schylić by się tylko potrzebowała, aby go pojąć. I jeszcze jedną rzecz widziała jasno i wyraźnie: białą twarzyczkę Janci i wielkie, czarne oczy dziecięcia, których wzrok bódł serce jej jak nieustanne, natarciwe przypomnienie jakiejś wielkiej, gwałtownej, nieodegnanej potrzeby...

— Daremnie pani łamiesz się z myślami swymi — ciągnęła po chwili Ludwika Żmińska — nic one ci nie powiedzą, bo nie żyłaś dotąd wśród świata rzeczywistego, miałaś swój świat marzeń panieńskich naprzód, uczuć rodzinnych potem, co było poza tym, to cię nie obchodziło. Nie znasz świata, choć przeżyłaś na nim lat dwadzieścia kilka, tak jak nie umiesz grać, choć uczyłaś się muzyki lat dziewięć. Otóż fakty, które ze wszech stron panią otoczą i własnym życiem twym rządzić będą, nauczą cię świata, ludzi, społeczeństwa. Co do mnie, to tylko powiedzieć chcę, mogę i powinnam. W społeczeństwie naszym, pani, taka tylko kobieta zdobyć sobie może zarobek dla życia dostateczny i los swój od wielkich cierpień i nędz ochronić, która posiada wysokie udoskonalenie w jakiejkolwiek umiejętności lub prawdziwy jaki i energiczny talent. Wszelkie początkowe wiadomości i mierne uzdolnienia nie zdobywają nic wcale albo, co najwięcej, zdobywają suchy i twardy kęs chleba, rozmoczony chyba w łzach i okraszony — upokorzeniami. Środka tu nie ma, kobieta musi w jakimkolwiek dziale pracy być doskonałą, doskonałością tą wyrobić sobie imię, rozgłos, a więc wziętość. Jednym, dwoma stopniami stojąc niżej

w umiejętności, talencie, wszystko ma przeciwko sobie — za sobą nie ma nic.

Marta słów tych słuchała z chciwością, ale im dłużej słuchała, tym więcej stawało się widocznym, że i do jej głowy takie napływają myśli, na usta tłoczą się wyrazy.

— Pani! — wymówiła — czyliż wszyscy mężczyźni także muszą osiąść doskonałość jakąś, aby zdobyć sobie byt wolny od wielkich cierpień i nędzy?

Żmińska zaśmiała się z cicha.

— Sąż — rzekła — doskonałymi w jakiegokolwiek umiejętności kanceliści kopiujący po biurach cudze pisma, sklepowi i subiekci, metrowie uczący początków jeografii, historii, rysunków itd.?

— A więc — zawołała Marta z niezwykłym sobie uniesieniem — a więc przebac, pani, że raz jeszcze powtórzę: dlaczego, dlaczego pole pracy, otwarte dla jednych od początku do końca, mierzy się innym na piędzie i cale? Dlaczego brat mój, gdybym go miała, mógłby udzielać lekcji rysunku, tyleż co ja mając talentu i uzdolnienia, a ja nie mogę? Dlaczego mógłby kopiować po biurach cudze pisma, a ja nie mogę? Dlaczego jemu pozwolonym by było użytkować dla siebie i swoich wszystko, wszystko, cokolwiek by posiadał w zasobach swego umysłu, a ja nic więcej użytkować nie mogę jak grę na fortepianie, do której nie mam zdolności, i znajomości obcych języków, którą posiadam w niskim stopniu?

Marta mówiła to ustami drżącymi, oczy i policzki jej zapalały. Nie była świetną damą, na aksamitnej sofie salonu snującą dowcipną gawędkę o równouprawnieniu kobiet, ani teoretykiem w czterech ścianach gabinetu, wążącym i mierzącym mózg męski i kobiecy w celu wynalezienia pomiędzy nimi podobieństw i różnic. Pytania, cisnące się na jej usta, były pytaniami, które targały serce matki, rozpalaly głowę kobiety ubogiej, wysuwały się przed nią jak puklerz zasłaniający od — śmierci głodowej!

Żmińska wzruszyła lekko ramionami i rzekła z wolna:

— Powtórzyłaś pani wiele razy: dlaczego? Nie formułując kategorycznie odpowiedzi, powiem pani, iż dlatego za-

pewne najbardziej i przede wszystkim, że mężczyźni są głowami domów, ojcami rodzin.

Marta patrzyła w mówiącą kobietę jak w tęczę.

Silne połyski oczu jej, wywołane przed chwilą cierpliwością myśli i gwałtem uczuć, kryły się za dwoma łzami, które wypłynęły spod powiek i oszklify źrenice. Ręce jej splotły się jakby mimo woli.

— Pani — wymówiła — i ja także jestem matką.

*Ludwika Żmińska powstała. W przedpokoju ozwał się dzwonek zwiastujący przybycie nowej jakiejś osoby, właścicielka biura zmierzała do ukończenia rozmowy z młodą wdową.

— Uczynię wszystko, co będę mogła, aby wynaleźć dla pani odpowiednie zajęcie: nie spodziewaj się pani jednak otrzymać je prędko. W ogóle w dziedzinie nauczycielstwa ofiara pracy przewyższa o wiele jej żądania. Nauczycielki z bardzo wysokim językowym i artystycznym uzdolnieniem byłyby pożądanymi i otrzymują świetne stosunkowo posady, takich jest przecież najmniej, za mało nawet w stosunku do potrzeby; co do początkowego zaś nauczania, zajmuje się nim lub zajmować pragnie takie mnóstwo kobiet, że nadmierna ta konkurencja nie tylko sprowadza do niesłychanie niskiej cyfry cenę pracy, ale utrudnia, dla większości uniemożliwia zdobycie tej ostatniej! Powtarzam jednak, że uczynię wszystko, co będę mogła, aby znaleźć dla pani lekcje. Idzie tu zresztą tak dobrze o interes pani, jak o mój własny. Za dni kilka, za tydzień, chciej pani przyjść tu znowu, a może znajdziesz już jaką wiadomość.

Mówiąc te słowa, właścicielka biura od stóp do głowy okryta już była urzędowym chłodem i sztywnością, w pokoju bowiem ukazała się nowa postać kobieca.

Marta odeszła. Zstępowała ze wschodów powoli. Nie płakała tak, jak owa młoda dziewczyna, która przed godziną tę samą przebywała drogę, ale była głęboko zamyślona. Wyszedłszy dopiero na ulicę oderwała wzrok od ziemi i przyspieszyła kroku. Miała jeszcze dnia tego wiele do uczy-nienia.

W kamienicy sąsiadującej z tą, w której było jej miesz-

kanie, znajdowała się garkuchnia. Marta weszła do zakładu tego i prosiła o przynoszenie jej obiadów. Przez wzgląd na bliskość miejsca i z warunkiem małej dopłaty zgodzono się przysyłać jej obiady na poddasze przez małego posługacza. Żądano tylko opłaty z góry, która wynosić miała dziesięć złotych tygodniowo, sumę wielką dla Marty, której majątek cały wynosił niespełna złotych dwieście.

Otwierając pugilaresik, który majątek ten mieścił w sobie, Marta uczuła pewien nieokreślony, ale dotkliwy niepokój. Uczucie to zwiększyło się w niej jeszcze, gdy wstąpiwszy do mieszkania rządcy domu wręczyła mu dwadzieścia pięć złotych miesięcznej opłaty za wynajmowanie izdebki i znajdujących się w niej sprzętów. Wprzód jeszcze kupiła w sklepiku z wiktuałami trochę cukru, herbaty, kilka bułek, małą lampkę i trochę nafty. Wszystko to razem o czwartą część zmniejszyło jej majątek.

Jancia, zamknięta przez cały ranek w izdebce, wydała okrzyk radości, usłyszawszy klucz obracający się w zamku. Rzuciła się na szyję wchodzącej matki i twarz jej okryła pocałunkami.

Wrażenie chwili jest jedyną mocą silnie działającą na organizację dziecięcą. Przyszłość nie istnieje dla ich myśli, przeszłość zaciera się szybko w ich pamięci. Dzień wczorajszy jest już dla dziecka odległą przeszłością, to, co było, działa się lub stało przed kilku dniami, znika i rozlewa się przed ich oczami w mgłę zapomnienia. Jancia była wesołą.

Wąski promień słońca, wnikający do izby na poddaszu przez małe okienko, radował ją, kominiek z okopconą gębą zastanawiał i zaciekawiał, zawierała znajomość z nowymi sprzętami, śmiała się z dwóch krzeseł, u których jedna noga krótszą była od trzech innych, i porównywała je do kalek staruszków, widywanych przez nią na ulicach miasta. Samotność, wśród jakiej przepędziła cały ranek, utworzyła w główce jej zapasik myśli, które jęczyczek spragniony mówienia z pośpiechem i głośnym szczebiotem wypowiadał przed matką.

Po raz pierwszy wesołość dziecięcia ciężkie wrażenie wywarła na umyśle Marty. Wczoraj, gdy Jancia lepiej jeszcze pamiętała o znikłej sprzed oczu jej postaci ojca, kiedy zasmucona utratą ścian, wśród których żyła dotąd, i wszystkich pięknych rzeczy, do których widoku nawykła, z płaczem odmawiała pożywienia, wielkie czarne swe oczy podnosiła na twarz matki z wyrazem bolesnego błagania i bezświadomego przerażenia, Marta oddałaby wszystko, co pozostało jej jeszcze, aby wywołać uśmiech na drobne jej usteczka, rumieniec zdrowia na poblądle policzki. Dziś srebrny śmiech dziecka napełnił ją nieokreśloną, ale ciężką trwożą. Cóż więc zmieniło się w jej położeniu? Była samotną jak wczoraj, ubogą jak wczoraj, ale pomiędzy wczoraj i dziś stał ów ranek probierczy, w którym po raz pierwszy, wszedłszy w świat nieznaną, ściślej niż kiedykolwiek porachowała się sama z sobą. Wczoraj była pewną, że nim doba upłynie, będzie już posiadała w ręku możliwość pracowania i obrachowania się ze spodziewanym zarobkiem, mającym pewne określone zarysy nadać jej przyszłości. Doba upłynęła, a przyszłość pozostała nieokreśloną. Kazano jej czekać, nie oznaczając nawet czasu oczekiwania, czekać na coś, co w każdym razie będzie musiało być bardzo drobnym.

„Jakże byłam niedoświadczoną myśląc, iż oczekiwać nie będę potrzebowała, jakże byłam nierozumną, spodziewając się od siebie samej rzeczy wielkich!”

Tak myślała Marta stojąc wieczorem u okna, za którym wisiało czarne niebo jesienne i wielkie miasto gwarzyło nieustannie.

„Co za natłok! wszystkie stany, wieki, narodowości cisną się tam, kędy ja iść zamierzałam! Czy utworzę sobie drogę wśród tego tłumu i czym utworzę, skoro tak małe posiadam narzędzia do walki! A jeśli nie wpuszczą mię wcale na drogę tę, jeżeli upłynie tydzień, dwa, miesiąc, a ja nie znajdę zarobku?”

Na myśl tę zimny dreszcz przebiegł po ciele Marty. Odwróciła głowę szybko i ogarnęła uspioną główkę Janci takim wzrokiem, jakby się o nią nagle przełękała, jakby

nagle ujrzała wiszące nad nią groźne jakieś niebezpieczeństwo.

Brzydki to był szary, dżdżysty, błotnisty dzień listopadowy, w którym Marta bardzo pośpiesznym krokiem dążyła z ulicy Długiej na Piwną, z biura informacyjnego do domu. Obłoki płakały, ale twarz młodej kobiety jaśniała. Ludzie osłaniali się przed deszczem parasolami, przed chłodem płaszczami, ale ona nie osłaniając się niczym, obojętna na dokuczliwość natury, tak jak obojętną byłaby zapewne w tej chwili na jej pieszczoty, biegła lekko po zbloconych chodnikach, z głową podniesioną, ze wzrokiem błyszczącym.

Nigdy jeszcze, odkąd na wysokim zamieszkała poddaszu, przebycie wąskich, brudnych, ciemnych, trzypiętrowych wschodów nie przyszło jej z taką łatwością; uśmiechała się wydostając z kieszeni klucz ciężki i zardzewiały, z uśmiechem przestąpiła, przeskoczyła niemal próg izby, przykłękała, otworzyła ramiona i milcząc przycisnęła mocno do piersi czarnookie dziecko, które z krzykiem radości rzuciło się na jej spotkanie. Przyłgnęła ustami do czoła dziewczynki.

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu, Janciu! — szepnęła, chciała coś więcej powiedzieć, nie mogła; dwie łzy spłynęły na uśmiechnione jej usta.

— Czego ty, mamó, śmiejesz się? Czego ty płaczesz? — zaszczębiotała Jancia, drobnymi rączkami muskając rozpalone policzki matki.

Marta nie odpowiedziała; zerwała się z ziemi i spojrzała w czarną głębię komina. Teraz dopiero uczuła, że była zmokniętą, że w izbie było zimno.

— Możemy dziś sobie ogień rozpałić na kominku — rzekła, biorąc zza pieca jedyną znajdującą się tam wiązkę drzewa.

Jancia poskoczyła z radości.

— Ogień! ogień! — wołała — ja lubię ogień, mamol! Tak dawno nie zapalałaś już go na kominkul

Kiedy złote promienie strzeliły do góry, gorącym blaskiem napemniły czarną głębię komina i falę przyjemnego ciepła rozlały po izbie, Marta usiadła przed ogniem i wzięła dziecko na swe kolana.

— Janciu! — rzekła pochylając się ku bladej twarzyczce — jesteś małą jeszcze dzieciną, ale powinnaś zrozumieć już to, co ci powiem.

Mama twoja była bardzo, bardzo biedną, bardzo smutną. Wydała wszystkie swoje pieniądze i za kilka dni nie miałaby już za co kupić ani obiadu dla ciebie i dla siebie, ani drewek do zapalenia w piecu. Dziś dano mamie twojej robotę, za którą jej zapłacą... Dlatego przychodząc mówiłam ci, abyś podziękowała Bogu, dlatego rozpałiłam ten piękny ogień, aby nam było dziś ciepło i wesoło...

Marta otrzymała w istocie robotę. Po miesiącu oczekiwania, po kilkunastu bezowocnych wycieczkach do informacyjnego biura Ludwika Żmińska oświadczyła młodej kobiecie, iż otrzymała dla niej lekcje francuskiego języka. Zarobek ów, pół rubla codziennie wnosząc mający, wydał się Marcie otworzoną przed nią kopalnią bogactw. W tej samej izbie, w której mieszkała teraz, również oszczędnie, oszczędniej może niż dotąd opędzając swe potrzeby, z zasobem tym żyć mogła z dzieckiem. Żyć mogła! Dwa te wyrazy znaczyły wiele dla kobiety, która w przeddzień jeszcze otrzymania pomyślnej tej wiadomości dowiadywała się, gdzie i komu sprzedać można zbywającą cząstkę odzieży.

Do tego jeszcze pierwszy błysk pomyślności oświecił perspektywę z lepszą przyszłością u końca.

— Jeżeli — rzekła Żmińska — w domu, do którego cię wprowadzam, zdobędziesz sobie imię nauczycielki sumiennej i umiejętnej, bardzo być może, iż lekcje jej zażądanymi będą przez wielu innych. Wtedy otrzymasz pani prawo nie tylko wyboru, ale wymagania warunków zyskowniejszych nad te, które ci teraz ofiarowanymi zostały.

Były to słowa, którymi Ludwika Żmińska zakończyła rozmowę z młodą wdową. W głowie Marty uwieźły głęboko dwa wyrazy: „sumienną i umiejętną”.

Pierwszy z dwóch tych warunków nie budził w niej

najlżejszej obawy ni wątpliwości, drugi, nie wiedziała sama, dlaczego odpychała od siebie; pragnęła o nim zapomnieć, niby o czymś, co zmać jej mogło pierwszą od dawna chwilę uspokojenia.

O oznaczonej godzinie Marta wchodziła do jednego z mieszkań przy ulicy Świętojerskiej położonych. W pięknym, smakownie i dość kosztownie urządzonej saloniku spotkała ją kobieta młoda jeszcze, bardzo ładna, bardzo ładnie ubrana, prawdziwy typ warszawianki, z układem żywym i pełnym wdzięku, z twarzą oświetloną wyrazem bystrego pojęcia, z mową prędką, ożywioną i wytworną. Była to żona jednego z głośniejszych literatów miejscowych, pani Maria Rudzińska. Tuż za nią wbiegła do saloniku dwunastoletnia dziewczynka, śmiejąca się, błyskająca pojętnymi oczami, powiewająca króciutką, ozdobną, według ostatniej mody sporządzoną sukienką i ciągnąca za sobą długi pąsowy sznur, z którym przed chwilą odbywała zapewne po wygodnym i obszernym mieszkaniu swych rodziców gimnastyczne ćwiczenia.

— Panią Martę Świąką zapewne mam przyjemność widzieć — przemówiła gospodyni domu wyciągając jedną rękę ku przybywającej, drugą wskazując jej jeden z foteli przy kanapie stojących. — Pani Żmińska mówiła mi wczoraj wiele o pani, szczerze więc cieszę się, że ją poznaję. Przedstawiam pani moją córkę a przyszłą jej uczennicę. Jadwisiu! Ta pani jest tak dobra, że chce dawać ci lekcje francuskiego języka, pamiętaj, abyś nie sprawiała jej najmniejszego zmartwienia i uczyła się tak dobrze jak przy pani Dupont!

Dziewczynka ze smukłą i giętką kibiścią, z fizjonomią pełną swobody i pojętności, bez najmniejszego zmieszania ukloniła się przyszłej nauczycielce swej bardzo zgrabnie.

W tej samej chwili w przedpokoju ozwał się dzwonek: do salonu jednak nikt nie wszedł, tylko po kilkunastu sekundach portiera, całkiem prawie przysłaniająca drzwi sąsiedniego pokoju, poruszyła się i w szczelinie, utworzonej pomiędzy ciężkimi fałdami pąsowej materii, ukazała się para czarnych jak węgiel, ognistych oczu, należących wi-

docznie do twarzy męskiej, bo ponad nią widać też było kawałek śniadego czoła, z gęstą, czarną, krótko przyszczyżoną fryzurą, a poniżej ukazywał się rozek czarnej sterczącej bródki. Wszystko to jednak zaledwie było widoczne wśród gęstych załomów materii, a pozostało zupełnie niewidzialnym dla osób rozmawiających w salonie, profilem do drzwi zwróconych.

Gospodyni domu ciągnęła dalej rozmowę swą z Martą.

— Ostatnia nauczycielka córki mojej, panna Dupont, uczyła bardzo dobrze i Jadzia czyniła przy niej znaczne postępy. Mąż mój przecież sądził i mnie o tym przekonał, że niezupełnie dobrze było z naszej strony dawać sposobność pracowania cudzoziemce wtedy, gdy naokoło nas tyle znajduje się najzacniejszych kobiet miejscowych, tak usilnie poszukujących pracy i z taką trudnością ją znajdujących. Do wszystkich zresztą nauczycieli, którzy kształcą umysł naszej córki, tak ja, jak mąż mój zanosimy jedyną prośbę, aby nauczanie było gruntowne, szerokie, wyczerpujące, aby obejmowało wszystkie gałęzie danego przedmiotu, tak iżby dziecko nasze mogło kiedyś władać nim i mieć go w pełnym swym posiadaniu.

Marta skłoniła się w milczeniu i powstała.

— Jeżeli pani od dziś już rozpocząć raczysz lekcje... — rzekła gospodyni domu powstając także i uprzejmym gestem wskazując drzwi z portierą, zza której wraz z powstaniem dwóch kobiet zniknęła para oczu, wąsyki i bródka — oto jest gabinet przeznaczony do nauki dla mojej córki.

Gabinet skromniej był urządzonej niż salon, panowały w nim przecież dobry smak i wygoda. Pod jedną ze ścian stał duży stół zielonym sukniem okryty, pełen książek, zeszytów i przyborów do pisania. Jadzia czuła się tu już u siebie i podnosząc ładne oczy na twarz przyszłej nauczycielki, z poważną miną przybliżyła do stołu wygodny fotel i położyła przed nim kilka książek i sporą ilość grubych zeszytów.

Marta jednak nie zaraz usiadła. Twarz jej, która po upłynionym świeżo miesiącu oczekiwania chudsza i bledsza była niż przedtem, okryła się w tej chwili wyrazem głę-

bokiego zamyślenia, powieki w dół opadły; ręce którymi objęła krawędź stołu, drżały nieco. Stała tak parę minut, z nieruchomą twarzą i postawą. Można by rzec, że rozmyślała nad tylko co usłyszonymi słowami matki swej uczennicy albo sama sobie zadawała pytanie jakiegoś, odpowiedzi na nie szukając w rozumie swym lub sumieniu. Gdy podniosła wzrok, spotkała się oczami z utkwionym w nią spojrzeniem gospodyni domu. Spojrzenie to opłynęło przez chwilę od stóp do głowy smukłą, delikatną, wytwornie piękną postać nowej nauczycielki. Zatrzymało się przydłużej na szerokiej białej taśmie, żałobną pręgą okalającą czarną jej suknię, i spoczywało teraz na bladej, zamyślanej jej twarzy z wyrazem współczucia i trochę ciekawości.

— Pani nosisz żałobę — zniżonym, łagodnym głosem wymówiła Maria Rudzińska — po matce może lub po ojcu...

— Po mężu — wyrzekła Marta z cicha, a powieki jej znowu w dół opadły z wolna i ciężko.

— Pani więc jesteś wdową! — zawołała Maria, a w głosie jej brzmiał ten żal, ta trwoga, jakich kobieta szczęśliwa w małżeństwie doświadcza, ilekroć słyszy, że ktoś podobne szczęście utracił, a więc że i jej własne wiekiustym zapewne nie jest — i może... może pani masz dzieci?

Tym razem Marta podniosła wzrok, w którym żywe zadrgały światła.

— Mam córkę, pani! — odrzekła, a jakby wyraz ten uderzył ją nagłym jakimś nakazującym przypomnieniem, usiadła na podanym jej przed chwilą fotelu i rękami, które jeszcze drżały trochę, zaczęła jedną po drugiej otwierać złożone przed nią książki.

Z książek tych Marta dorozumiewać się mogła, że dwunastoletnia Jadzia wiele już uczyła się i daleko zaszła w nauce; o wysokiej znajomości języka, jaką posiadała przeszła nauczycielka dziewczynki, świadczyło tu i ówdzie rozsypane po zeszytach pismo biegle, przełamujące z widoczną łatwością największe trudności językowe, wnikaące w grunt i subtelne odcienie przedmiotu. Marta powiodła

dłonią po oczach, jakby wzrok sobie rozjaśnić lub myśl jakąś natrętą odpędzić od siebie chciała, i zamykając kajety i książki, zadała uczennicy swej kilka pytań. Maria Rudzińska tymczasem odeszła ku oknu i wzięwszy do rąk drobną jakąś robotkę, gotowała się usiąść z nią przy małym stolczku, gdy portiera rozchyliła się nieco i ozwał się zza niej głos męski i dźwięczny:

— Kuzynko Maryniu! proszę tu na chwilę!

Maria cicho przebyła pokój, przyjazne spojrzenie raz jeszcze zatrzymała na twarzy nowej nauczycielki swej córki i z cicha zamknęła za sobą drzwi za portierą ukryte, z gabinetu do salonu wiodące.

Na środku salonu stał młody, dwudziestosześcioletni może mężczyzna, szczupły, zgrabny, według ostatniej mody ubrany, ze śniadą, ściągłą twarzą, kruczymi włosami i jak węgiel czarnymi oczami. Powierzchność człowieka tego miłą była, a nawet na pierwszy rzut oka zajmującą. Uderzała w niej przede wszystkim niezmierna pełność życia swobodnego, wesołego, niecierpliwie jakby rwącego się i kapryśnie wybujałego. Pełność ta życia po bliższej uwadze wydawała się nawet jego nadmiarem. Żrenice młodego człowieka pałały, migotały, wkoło ust na wpół okrytych czarnym wąsikiem wiły się roje uśmiezków to przymilających się, to figlarnych, to żartobliwych, cała fizjonomia w jednej sekundzie, jednym mgnieniu oka, mieniła się wyrazem dowcipu, żartu. Był to widocznie człowiek wiekuiestej wesołości, wiekuiestego śmiechu, a zarazem widać było, że był to człowiek wesołego, o nic nie dbającego życia. To ostatnie objawiało się w zmęczonej nieco cerze jego twarzy, którą uwydatniały z przeciwieństwem młodość całej postaci, ognisty połysk źrenic, dziecinna niemal pustota uśmiechów.

W chwili gdy Maria Rudzińska wchodziła do salonu, postawa młodego człowieka tego była co najmniej osobliwa. Stał on twarzą zwrócony do zamkniętych przez gospodynię domu drzwi gabinetu, z postacią w tył nieco odgiętą, rękami wzniesionymi w górę, ze wzrokiem utkwionym w suficie. Teatralnej postawie tej towarzyszył wyraz twarzy, ozna-

... również teatralnie i wielce komicznie wyglądające zachwycenie.

— Olesiu! — napominającym tonem wymówiła Maria — cóż to znowu za niedorzeczność?

— Bogini! — półgłosem, nie zmieniając postawy ni wyrazu twarzy, wymówił młody człowiek. — Bogini! — powtórzył i wzdychając na sposób bohaterów komedii, opuścił w dół głowę i ręce.

Maria nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Wzruszyła jednak ramionami i z robotą w rękę siadając na sofie rzekła tonem lekkiej wymówki:

— Zapomniałaś przywitać się ze mną, Olesiu!

Na te słowa młody człowiek poskoczył i kilka pocałunków złożył na rękę gospodyni domu.

— Przebacz, Maryniu, przebacz! — mówił tym samym wciąż co pierwiej patetycznym tonem — byłem tak zachwycony! och!

Usiadł na krześle obok młodej kobiety i przycisnąwszy dłoń do serca podniósł znowu wzrok na sufit. Maria patrzała na niego tak, jak się patrzy na rozsawolone dziecko.

— Jakież znowu dziwactwo zajęchało ci do głowy? — spytała po chwili, siłąc się widocznie na powagę, lecz nie mogąc w zupełności ukryć uśmiechu. — Czy to w drodze do mego domu spotkałeś tę nową jakąś boginię, która cię w taki zachwyt pogrążyła? Boję się doprawdy bardzo, aby na cały już dzień nie pozbawiła cię ona rozsądku.

— Okrutna jesteś, Maryniu, z tym twoim rozsądkiem — z nowym westchnieniem wymówił młody człowiek — w twoim to właśnie domu ujrzałem tę piękność...

Przy ostatnim wyrazie z przesadzonym gestem wskazał na drzwi gabinetu. Maria wydawała się na wpół rozśmieszoną, na wpół zdziwioną.

— Jak to? — rzekła — więc to o nowej nauczycielce Jadzi mówisz?

— Tak, kuzynko — przybierając nagle poważną minę odparł młody człowiek — mianuję ją królową wszystkich bogiń moich...

— Ale gdzieżeś ją widział, wietrzniku?

— Przychodząc do ciebie dowiedziałem się w przedpokoju, że jesteś zajęta rozmową z nową nauczycielką swojej córki. Nie chciałem ci przeszkadzać i wszedłszy drzwiami od kuchni zajrzałem przez portierę... Żart na stronę jednak — mówił dalej — cóż to za piękna osoba! jakie oczy! co za włosy! wzrost królewski!

— Olesiu! — z lekką niechęcią przerwała gospodyni domu — jest to widocznie nieszczęśliwa jakaś kobieta: nosi żałobę po mężu...

— Młoda wdówka! — podnosząc znowu oczy w górę, zawołał młody człowiek — nie wiesz może o tym, kuzynko, że nie ma na ziemi miłszych istot jak młode wdówki... naturalnie wtedy, gdy są ładne... twarz blada, oczy sentymentalne... [Uwielbiam blade twarze i sentymentalne oczy u kobiet]

— Bredzisz! — wyrzekła Maria wzruszając ramionami. — Gdybyś nie był moim ciotecznym rodzonym bratem i gdybym nie wiedziała, że pomimo całej twej pustoty jesteś w gruncie dobrym chłopcem, mogłabym zniechęcić cię doprawdy za to dziwne lekceważenie kobiet...

— Lekceważenie! — zawołał młody człowiek — ależ, kuzynko, ja uwielbiam kobiety! Są to boginie serca mego i życia...

— Boginie, które liczysz na tuziny.

— Im więcej człowiek ma przedmiotów miłości, kuzynko, tym więcej kocha... Są to egzercycje, a tylko przez egzercycje serce nabiera tej siły, tego ognia, który...

— Dostyc już tego, Olesiu — z żywą już i widoczną niechęcią przerwała gospodyni domu — wiesz dobrze, jak martwi mię kierunek umysłu twego i serca...

— Kuzynko! Kuzyniu! Kuzyneczko! Amen! na Boga, powiedz już amen! — zawołał młody człowiek odsuwając się wraz z krzesłem, na którym siedział, i składając ręce jak do pacierza — pięknym usteczkom kobiecym nic mniej nie przystoi jak kazanie...

— Gdybym była prawdziwie dobrą siostrą, mówiłabym ci je od rana do wieczora...

— I nic byś dobrego nie uczyniła, siostruniu. Kazanie

powinno być krótkim, przepis wyjęty z praw moralnych, filozoficznych, artystycznych. Oto lepiej opowiedz mi cokolwiek o tej czarnookiej nimfie, która zaprawdę warta jest lepszego losu niż ślęczenie nad twoją Jadzią.

— Oto lepiej — żywo podjęła gospodyni domu — powiedz mi, dlaczego w tej porze dnia jesteś tutaj?

— I gdzież mam być, jeśli nie u stópek twoich, droga kuzynko?

— W biurze — krótko odpowiedziała Maria Rudzińska. Młody człowiek westchnął, ręce załamał i głowę na piersi opuścił.

— W biurze! — szepnął — o, Maryniu! jakże jesteś okrutną! Czyliż jestem śledziem? powiedz mi, czy naprawdę podobny jestem do śledzia?

Wymawiając te pytania człowiek wiekuistego śmiechu podniósł głowę i patrzył na gospodynię domu tak szeroko rozwartymi oczami; z tak komicznym wyrazem żalu, obrazy i zdumienia, że Maria nie mogła wstrzymać się od głośnego prawie śmiechu.

Wkrótce jednak powaga zastąpiła u niej chwilowe rozweselenie.

— Nie jesteś śledziem — wyrzekła patrząc na robotę, którą trzymała w ręku, z obawy zapewne, aby nie zaśmiać się znowu — nie jesteś śledziem, ale jesteś...

— Nie jestem śledziem! — zawołał młody człowiek, jakby po wielkim przerażeniu oddychając głęboko — dzięki Bogu, nie jestem śledziem! Ponieważ zaś nim nie jestem, rzecz prosta, iż nie mogę po całych dniach dusić się w biurze jak śledź w becze.

— Ale jesteś człowiekiem i powinienes raz już przecie poważniej zastanowić się nad życiem i jego zadaniami. Możnaż tak zawsze bąki tylko zbijać i za boginiami się upędząć? Żal mi doprawdy twego dobrego serca, które masz, i twych zdolności, których ci także nie brak. Jeszcze lat parę takiego życia, a staniesz się jednym z tych ludzi bez celu, bez zajęcia, bez przyszłości, których i tak już u nas za wiele...

Urwała i z wyrazem prawdziwego smutku spuściła twarz

ku robocie. Młody człowiek wyprostował się i wymówił z uroczystością:

— Amen! Kazanie długie było, nie można mu przecież odmówić pewnej esencji moralnej, w której skąpane serce moje, jak w łzach umoczona gąbka, pada do stóp twoich, droga kuzynko!

— Olesiu! — rzekła powstając gospodyni domu — jesteś dziś nierozsądniejszym jeszcze jak zwykle... Nie mogę dłużej rozmawiać z tobą! idź do biura, a ja pójdę do kuchni!

— Siostruniu Maryniu! do kuchni! fi donc c'est mauvais genre! Żona literata do kuchni! Mąż jej pisze może o poetyczności obowiązującej niewiastę, a ona idzie do kuchni.

Mówiąc to wstał i z wyciągniętymi rękami patrzył na odchodzącą kobietę.

— Siostro! — zawołał raz jeszcze — Mario! ach, nie opuszczaj mię!

Maria nie odwróciła się i była już przy drzwiach od przedpokoju. Wtedy młody człowiek poskoczył ku niej i pochwycił jej rękę.

— Czy rozgniewałaś się na mnie, Maryniu? Czy naprawdę rozgniewałaś się na mnie? No, wstydź się! daj pokój! czyż chciałem cię obrazić? Czyż nie wiesz, że cię kocham jak rodzeniuteńką, najdroższą siostrę? Maryńku! no, spójrzże na mnie! Cóżem winien, że młody! Poprawię się, zobaczysz, niech tylko wprzód postarzęję trochę!

Mówiąc to wszystko, całował ręce młodej kobiety, a fizjonomia jego mieniła się takim wyrazem połączonych lub szybko po sobie następujących — żalu, pustoty, smutku, czułości, przymilenia, że patrząc na nią można było śmiać się lub odejść wzruszając ramionami, ale gniewać się na to dorosłe dziecko nie było sposobu. Toteż Maria Rudzińska opierając się chwilę pieszczotom i przeprosinom brata skończyła na uśmiechu.

— Ileż bym dała za to, abyś mógł zmienić się, Olesiu...

— Ileż bym dał za to, abym mógł zmienić się, Maryniu! ale... natura nie sługa, wilka do lasu... ciągnie...

Mówiąc ostatni wyraz skurczył się na kształt dziecka nieśmiało wyrażającego swe żądanie i wskazujący palec wyciągnął ku drzwiom od gabinetu.

— Czy znowu? — rzekła Maria kładąc dłoń na klamce.

— Ani słowa już więcej nie powiem o czarnookiej tej bogini, którą, jak widzę, niby anioł stróż osłaniasz skrzydłami pobożnej opieki! — zawołał Oleś pochwytyjąc znowu rękę kuzynki — ale przedstawiś mi ją, siostruniu? Nieprawdaż, że przedstawiś?

— Ani myślę o tym — odparła Maria.

— Moja droga! moja miła! moja jedyna! przedstaw mi ją, gdy tu wejdzie! Powiedz: oto jest brat mój, wzór wszystkich przymiotów i doskonałości, chłopak poczciwy...

— I zarazem wielkie nic dobrego!

Z ostatnimi słowami Maria wyszła z salonu. Oleś stał chwilę przy drzwiach, jakby niepewny, czy ma zostać, czy pójść za siostrą, po czym okręcił się na pięcie, stanął przed lustrem, poprawił krawata i fryzury, zanucił piosenkę, przestał nucić, na palcach podszedł ku drzwiom od gabinetu i uchyliwszy portierę ucho przyłożył do drzwi.

Za drzwiami słychać było głos małej Jadzi mówiący:

— L'imparfait du subjonctif! zapomniałam, jak mam pisać trzecią osobę. Z jakiego czasu, pani, tworzy się l'imparfait du subjonctif?

Odpowiedź nie zaraz nastąpiła. Słychać było przewracanie kartek książki. Nauczycielka szukała znać w książce odpowiedzi, jaką zmuszona była dać swej uczennicy.

— Du passe défini de l'indicatif — wymówiła po chwili Marta.

Oleś wyprostował się, wzniosł oczy w górę i powtórzył z cicha.

— De l' in-di-ca-tif! co za anielski głosik!

W gabinecie panowała znowu cisza. Uczennica zajęta widać była pisaniem i po chwili dopiero ozwała się:

— Bateau! nie wiem, pani, jak się pisze bateau. E a u czy a u?

Odpowiedzi nie było, nauczycielka milczała.

— O! — szepnął Oleś — ciężko coś idzie mojej bogini!

nie wie podobno, co odpowiedzieć na pytanie tej małej mądrali, a może marzy... ach!

Na palcach odszedł od drzwi i stanął przy oknie, za ledwie jednak spojrzął przez szyby na dość ludną i ruchliwą ulicę, zawołał:

— Co widzę! panna Malwina tak rano już na mieście? Biegnę, leczę, pędzę!

Mówiąc to, pędził w istocie ku drzwiom i z wielkim impetem otwierając je, spotkał się oko w oko z Marią, która do salonu wracała.

— Dlaboga — rzekła gospodyni domu cofając się do przedpokoju — dokądże tak pędzisz? Czy do biura?

— Zobaczyłem przez okno pannę Malwinę — śpiesznie wkładając paltot odpowiedział młody człowiek — poszła ku placowi Krasińskich, zapewne do sklepów po sprawunki. Muszę przecież być tam z nią koniecznie...

— Czy obawiasz się, aby panna Malwina nie wydała w sklepach za wiele pieniędzy, jeśli opiekować się nią nie będziesz?...

✓ — Głupstwo pieniądze! ale kawałeczek serca swego zgubić może po drodze. Do widzenia, Maryniu... kłaniaj się ode mnie czarującej bogini...

Ostatnie słowa wymawiał już na wschodach.

W niespełną godzinę potem Marta wchodziła do izby swej na poddaszu. Opuszczając ją miała twarz ożywioną, krok lekki, z uśmiechem przyciskała do piersi i całowała w czoło małą córkę, nauczając ją, jak w czasie nieobecności jej bawić się ma ze swą lalką i dwoma kalekimi krzesłami, służącymi lalce za łóżko i kołyskę; wróciła powolnym krokiem, ze spuszczonej oczami i wyrazem ciężkiego zamyślenia na twarzy. Powitalnym wykrzykiem i uściskom dziecka odpowiedziała przelotnym za ledwie, milczącym pocałunkiem. Jancia popatrzyła na matkę swymi wielkimi, pojętnymi oczami.

— Mamol — rzekła otaczając szyję matki drobnym ramieniem — czy nie dali ci roboty? Nie śmiesz się już, nie całujesz mię, jesteś znowu taką, jaką byłaś wtedy... wtedy, kiedy ci nie dawano roboty.

Dwie te istoty różnych wieków tak zeszyły się ze sobą wśród biedy i osamotnienia, że dziecko w wyrazu twarzy i siły pocałunku odgadywało smutki i niepokoje kobiety. Tym razem jednak Jancia pytała daremnie, matka jej wsparła czoło na dłoni i w tak głębokie zapadła zamyslenie, iż nie słyszała nawet jej głosu. Po chwili jednak Marta powstała.

— Nie — rzekła z cicha — tak być nie może! Nauczę się, muszę nauczyć się, muszę umieć! Trzeba mi książek — dodała i po chwilowym namyśle otworzyła mały tłomoczek, wydobyla zeń jakiś przedmiot, owinęła go chustką i wyszła na miasto. Wróciła przynosząc ze sobą trzy książki. Była to gramatyka francuska, chrestomatia i przeznaczona do użytku szkół historia francuskiego piśmiennictwa.

Wieczorem w izdebce na poddaszu paliła się mała lampka, a przy niej nad rozwartą książką siedziała Marta. Oparła czoło na dłoniach i pożerała oczami karty książki. Zawile prawidła gramatyczne, tysiączne zagadnienia jednej z najtrudniejszych w świecie pisowni plątały się przed oczami jej jak pasma powikłanych nici, jak labirynt wskazówek i faktów naukowych nieznanymi całkiem lub tak dobrze jak nieznanymi, bo zapomnianymi. Marta skupiła całą moc swego pojęcia, wszystkie siły swej pamięci, aby w ciągu jednego wieczoru, jednej nocy, zrozumieć, zapamiętać, przywłaszczyć sobie to, czego zrozumienie wymaga pracy lat kilku, pracy powolnej, cierpliwej, systematycznej, logicznie prowadzonego, stopniowo zaokrąglanego kursu. Biedna kobieta myślała, że wyczerpane, gorączkowe wysilenie wynagrodzić zdoła umysłowi lata zastoju, że drobna chwila obecna zaważy na szali z przeszłością całą i przeważy ją, że pragnienie niezmiernie jednoznaczny w życiu z możliwością. Łudziła się. Długo ludzić się jednak nie mogła. Wysilenia jej trawiły się w gorączce, nużyły ciało i ducha, samym swym naprężeniem uniemożliwiały postęp wszelki, chwila obecna, na wskrość przejęta dolegliwym niepokojem, niewyraźną jeszcze, lecz gryzącą gorycz sączyła w serce kobiety, która, opuszczona przez wszystko na ziemi, zaczynała pojmować, iż zawiodła się na samej sobie, że najmniej była przy-

jazną dla studiów, które, aby obfite przyniosły owoce, jak ptak dla rozwoju skrzydeł swych powietrza, potrzebują spokoju. Najsilniejsze pragnienie, najgorętsza aspiracja ducha, najgwałtowniejszą porywy woli nie mogły sprawić, aby umysł nieświadomy przejrzał od razu tajemnice nauki, aby władze pojęcia i pamięci nie wyćwiczone gięły się jak delikatne struny, jak błyskawice zakreślały szybkie kręgi, jak wośk rozmiękczony w probierczym ogniu wsiąkały w siebie to, czym je pojono.

Łudzić się długo Marta nie mogła, ale głusząc w sobie rozbiór wszelki, całą siłą umysłu swego i woli upierała się przy myśli: „Naucz się!” — tak jak rozbitek walczący z falami morza całą siłą obu rąk swoich upiera się przy jedynej desce, której wsparcie wlewa mu do głowy myśl: „Utrzymam się na powierzchni!”

Teraz, jak wprzódy, w ciągu długich jesiennych nocy na kształt szumiących wichrów huczały i nieskończoną gamą wzdymały się i opadały tajemnicze gwary wielkiego miasta, ale Marta już ich nie słuchała, słuchać lękała się, bo przemawiały ją tą nieokreśloną zgrozą, która ogarnia istotę ludzką uczuwającą bezpomocne zapadanie w żywioł potężny, nieznaną, przepaścisty.

Teraz, o północnej godzinie, chodziła po izbie oświetlonej bładawym płomykiem lampki, z jaskrawymi rumieńcami na policzkach, z opuszczonymi na plecy czarnymi warkoczami, rękami splecionymi z nerwową siłą, z ustami szepczącymi wciąż, szepczącymi wyrazy obce zaczerpnięte z tej książki, która rozwarta pod promieniem lampy, jeżyła się jak kolcami rzędami tysiącznych końcówek, znaków, cyfr oznaczających prawidła, nawiasów — wyjątki. Książką tą było owe dzieło Chapsala i Noëla, nauczające mnogich tajemnic subtelnej mowy Franków. Wyrazy powtarzane ustami Marty od zmroku do północy, częstokroć od północy do białego świtania, były to owe nudne deklinacje i koniugacje, nad którymi na kuli ziemskiej poziewają codziennie tysiące dzieci.

Ale Marta nie poziewała. Brzmienia suche i monotonne, ściany szkół napełniające echemi nudy, w ustach jej posia-

dały znaczenie tragiczne. Łamała się z nimi i z sobą, z pojęciem swym niewprawnym, z pamięcią nie wyćwiczoną, z myślą ulatującą gdzie indziej, z niecierpliwością wprawiającą ciało w nerwowe drżenie. Łamała się ze wszystkim, co było wkoło niej, nade wszystko z tym, co było w niej samej, a z tej walki upornej nie wynosiła nic lub prawie nic.

Postępowała z wolna, bardzo z wolna, dzień jutrzejszy niszczył i w otchłań zapomnienia pogrążał częstokroć to, co z ciężkim mozołem zdobyć zdołała wczoraj; wiedza przybliżała się i cofała, dawała okrucieństwa pożytku, a zabierała ogromy siły i czasu. Marta załamywała ręce, jak posąg nieruchomy ze skamieniałą twarzą przesiadywała nad książką godziny całe; wstawała, gorączkowym krokiem przebiegała izbę, piła zimną wodę, zanurzała w niej czoło i oczy i uczyła się znowu, aby nazajutrz obudziwszy się powiedzieć sobie: „Nie umiem jeszcze nic!”

„Czasul czasul — wołała niekiedy w myśli swej młoda kobieta obrachowując, ile wierszy wyuczyć się może co dzień lub stronic co tydzień. — Gdybym miała przed sobą dwa lata, rok, choćby kilka miesięcy czasul...”

Ale czas, tak hojny dla niej kiedyś w chwili beczynności i spoczynku, gnał ją teraz postrachem głodu, chłodu, wstydu, nędzy. Pragnęła ną wyłączną własność swą osiąść choćby rok jeden, a jutro nie należało już do niej. Jutro już powinna była umieć wszystko, czego zaledwie rok, szereg lat nauczyć może; powinna była, musiała, jeśli nie chciała, aby z dłoni jej wypadło narzędzie zarobku. Pora, w której kobieta ta rozpoczynała walkę o byt swój i swego dziecka, nie była już dla niej porą do nauki sposobną, a jednak ona uczyła się...

Miesiąc upływał od dnia, w którym młoda wdowa po raz pierwszy wchodziła do ładnego mieszkania przy Świętojerskiej ulicy. Pani tego mieszkania witała ją zawsze uprzejmie, przemawiała do niej przyjaźnie, nawet serdecznie, ale do serdeczności przyłączał się coraz widoczniejszy odcień milczącego politowania, zakłopotania, nawet niekiedy przymusu powstrzymującego na ustach trudne do wymówienia wyrazy. Mała Jadzia względem nauczycielki

swej zachowywała nieprzerwanie grzeczność dobrze wychowanego dziecka, ale z ruchliwych, pełnych życia jej oczów strzelał od czasu do czasu żartobliwy promyczek, na świeżych ustach przebiegł uśmiezek figlarny szybko wprawdzie stłumiony, niemniej przecież zdradzający wewnętrzne zadowolenie lub zdumienie uczennicy, podchwytującej smutną tajemnicę nieświadomości swej nauczycielki, mówiącej sobie w duchu: „Ależ ja więcej umiem od niej!”

Nadszedł dzień, w którym Marta otrzymać miała od matki swej uczennicy zapłatę za całomiesięczną swą pracę. Maria Rudzińska siedziała w saloniku z robotą w ręku, którą jednak w zamyśleniu opuściła na kolano. Pogodne zwykle czoło szczęśliwej kobiety dnia tego zachmurzone było nieco, piękne oczy jej z wyrzutem smutku tkwiły w zamkniętych i portierą okrytych drzwiach gabinetu.

— Czy można wiedzieć, co drogą siostrę moją wprawiło dziś w tak ponure usposobienie? — ozwał się przy oknie głos męski.

Maria zwróciła wzrok w stronę mówiącego.

— Jestem w istocie bardzo zmartwioną, Olesiu, i proszę cię, abyś miał wzgląd na to moje usposobienie i nie niecierpliwił mię żadnymi żartami...

— O! o! o! o! — wymówił młody człowiek składając gazetę, którą dotąd twarz sobie przysłaniał — co za uroczystość mowy! Cóż się stało? Czy artykułu nakreślonego utalentowanym piórem szwagra mego do druku nie przyjęto? Czy małej Jadzi koniec noska zabolął? Czy melszpejs z jabłek nie dopiekl się dostatecznie? Czy...

Młody człowiek zadawał pytania te ze zwykłą sobie komiczną emfazą w głosie, nagle jednak przestał mówić, powstał, zbliżywszy się do siostry usiadł przy niej i przez chwilę popatrzył jej w twarz z dłuższą i baczniejszą uwagą, niż można się było spodziewać po tak ruchliwej i roztrzepanej istocie.

— Nie — wyrzekł po chwili — to nie artykuł i nosek Jadziny, i nie melszpejs. Jesteś, Maryniu, zmartwiona naprawdę i czymś ważnym... Co to takiego?

Ostatnie wyrazy wymówił z prawdziwą czułością w głosie. Wziął przy tym rękę siostry i przycisnął ją do ust.

— No — rzekł patrząc jej w oczy — co to takiego, co cię tak martwi? powiedz...

W tej chwili człowiek ten wiekuistego śmiechu wyglądał na chłopaka dobrego i szczerze do siostry swej przywiązanego. Toteż Maria przyjaźnie nań spojrzała.

— Wiem, że masz dobre serce, Olesiu, i że smutek mój martwi cię szczerze. Rada bym ci powiedzieć go, ale lękam się wywołać twe żarty.

Oleś wyprostował się i dłoń do serca przyłożył.

— Mów śmiało, siostrzole! — wyrzekł — słuchać cię będę z powagą księdza siedzącego w konfesjonale i z uczuciem brata, dla którego ty nieraz byłaś dobrym aniołem spowiednikiem... Słuchać cię będę z gotowością na wszystko... jeśli ci się zachciało drzewka śpiewającego lub ptaszka gadającego, pójdę po nie za góry i morza... Jeżeli Jadziunię nóżka lub buzia zabolą, zwołam wnet wszystkich doktorów, jacy tylko w Warszawie śpią i jedzą... Jeśli cię kto obraził... wyzwę na pojedynek lub... lub kijem obłożę, a że to wszystko zrobię i wykonam, przysięgam na wszystkie piękne oczy wszystkich moich bogiń... na pamięć lat dziecinnych z tobą, Mario, spędzonych, na okurzone ściany mego biura i na komórki serca mego, w którym jedna z twoją, siostrzole, krew płynie!

Kiedy młody człowiek mówił to wszystko, kameleonowa natura jego okrywała mu twarz i postać tak rozlicznymi i szybko mieniającymi się barwami pustej trzpiotowatości, serdecznego uczucia, przesadnej emfazy i rzeczywistej gotowości do poświęceń, że Maria czuła widocznie ochotę i do gniewu, i do śmiechu, i do uściskania ręki temu wietrznikowi, który jednak przypominał jej lata dziecinne wspólnie z nim spędzone i jedną krew w ich żyłach płynącą.

— Nie jest to zresztą rzecz tak nadzwyczajnie ważna — rzekła po chwili wahania się — nic takiego, co by wpłynąć mogło na los mój lub bliskich mi osób. Ale żal mi strasznie

tej biednej kobiety, która w tej chwili jest tam, za tymi drzwiami...

— A! więc o czarnooką boginię chodzi? No! chwala Bogu! Odetchnąłem swobodniej... Myślałem już doprawdy, że jakie nieszczęście...

— Jest to w istocie nieszczęście, tylko nie nas tyczące się, ale jej...

— Nieszczęście, doprawdy? No, to chyba i ja pożałuję już trochę interesującej tej wdówki. Ale cóż jej stać się mogło? Czy nieboszczyk mąż przyśnił się? czy...

— Daj pokój z żartami, Olesiu! Jest to, jak widzę, nieszczęśliwsza kobieta, niż zrazu sądziłam... biedna, a podobno nic nie umie...

Oleś szeroko oczy roztworzył.

— Nic nie umie! i to całe nieszczęście! cha! cha! cha! beau malheur, ma foi! Taka młoda i ładna...

Umilkł nagle, bo pałowa portiera uchyliła się i do salonu weszła Marta. Weszła, postąpiła parę kroków i stanęła z ręką opartą o poręcz fotelu. Była w tej chwili bardzo piękną. Ciężka jakaś walka, ostatnia może chwila długi w piersi jej toczącej się walki okryła blade policzki jej żywym rumieńcem, przed minutą lub dwiema w przystępie wielkiej jakiejś boleści zapuścić musiała ręce w czarną gęstwinę swych włosów, bo dwa ich pasma krucze i kędzierzawe opadały teraz na czoło jej, głęboką bladością posepnie niemal odbijające od rumieńców opływających policzki. Gdy stanęła z pochyloną nieco głową i na wpeł spuszczonej oczami, postawa jej nie wyrażała ani wahania się, ani znękania, tylko głęboki ostateczny namysł.

Dość było jednego na nią spojrzenia, aby odgadnąć, że ważyła się ona w tej chwili na coś, co posiadało dla niej wagę ogromną, na krok jakiś, którego uczynić nie mogła bez wielkiego wysilenia, bez skupienia wszystkich władz swej woli. Podniosła na koniec głowę i postąpiła ku gospo-dyńni domu.

— Lekcją już ukończona? — ozwała się Maria, która przy wejściu młodej wdowy powstała i siliła się na uśmiech swobodny.

— Tak, pani — znizonym nieco, ale pewnym głosem odpowiedziała Marta — skończyłam dzisiejszą lekcję z panną Jadwigą i przyszedłam, aby oznajmić pani, że była ona ostatnią. Nie mogę dłużej uczyć córki pani...

Na twarzy Marii Rudzińskiej malowały się: zdziwienie, smutek i zmieszanie. Ostatnie było najsilniejszym. Serce dobrej kobiety nie pozwoliło jej wobec dobrowolnego tego zrzeczenia się wymówić słowo, o wymówieniu jednak którego myślała sama od dawna.

— Pani nie będziesz już uczyła córki mojej? — wymówiła jąkając się — dlaczego, pani?

— Dlatego — z wolna i cicho odrzekła Marta — dlatego, że nie umiem uczyć.

Mówiąc to spuściła oczy; rumieniec okrywający jej policzki podniósł się na czoło i okrył twarz całą wyrazem pogłębiającego wstydu.

— Omyliłam się na samej sobie — mówiła dalej. — Zostając ubogą pojęłam, że pracować powinienam... Widziałam, słyszałam, że ubogie lub zubożałe kobiety po większej części zostają nauczycielkami... myślałam więc, że i ja także w zawodzie tym znajdę dla siebie pracę i chleb... Powiedziano mi, że jednego tylko francuskiego języka nauczać jestem zdolną, sądziłam w istocie, że język ten posiadam, bo mówię nim dość poprawnie i z łatwością. Teraz przekonałam się, że dobre mówienie nie stanowi jeszcze całej znajomości języka, że nigdy nie uczyła się gruntownie, a tę trochę wiadomości, którą nabyłam w dzieciństwie, zapomniałam... Były to oderwane, pobieżne, niedokładnie zrozumiane wiadomości, nic więc dziwnego, że wyszły mi z pamięci. Cudzoziemka, która dotąd udzielała lekcji córce pani, była doskonałą nauczycielką... panna Jadwiga daleko więcej umie ode mnie...

Umilkła na chwilę, jakby potrzebowała na nowo zebrać swe siły.

— Zarobek jest dla mnie, zapewne, rzeczą bardzo ważną — rzekła — niemniej jednak, gdy przekonałam się, że nie mogę nauczyć się prędko wszystkiego, co umieć mi trzeba, pomyślałam, iż nie powinienam postępować wbrew memu su-

mieniu... Wszak zawierając ze mną umowę powiedziałaś mi pani, iż przede wszystkim i wyłącznie prawie żądasz od nauczycielki swej córki, aby nauczanie jej było szerokie i gruntowne, obejmowało wszystkie gałęzie przedmiotu... Ja o nauczaniu takim marzyć nawet nie mogę... Przy tym pani byłaś dla mnie tak dobrą, że oprócz nieuczciwości byłabym jeszcze niewdzięczną, gdybym...

Tu Maria nie pozwoliła już nieszczęśliwej kobiecie mówić dłużej. Pochwyciła obie jej ręce i ściskając je mocno w swych dłoniach rzekła:

— Kochana, droga pani! nie mogę, zapewne, zaprzeczyć temu, co mówisz o sobie samej, ale wierzę, że bardzo, bardzo mi smutno rozstawać się z panią. Może przynajmniej mogę ci być w czym użyteczną... mam znajomości, stosunki...

— Pani — rzekła Marta podnosząc oczy — jedynym pragnieniem moim jest otrzymać możliwość pracowania...

— Ale jakże, nad czym pracować byś pani chciała i mogła? — z pośpiechem zapytała pani domu.

Marta milczała długo.

— Nie wiem — odrzekła w końcu cichym głosem — nie wiem, co umiem, czy umiem dobrze cokolwiek?

Przy ostatnich wyrazach powieki jej w dół opadły, w głosie zdrzało głębokie upokorzenie.

— Może byś pani życzyła sobie udzielać lekcji muzyki? Jedna z moich krewnych poszukuje teraz właśnie kogoś, kto by lekcje muzyki dawał jej córce.

Marta przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie, pani — rzekła — w muzyce dziesięć razy jeszcze słabszą jestem niż we francuskim języku.

Maria zamyśliła się. Nie wypuszczała jednak ręki Marty ze swych dłoni, jakby obawiała się, aby kobieta ta nie odeszła od niej bez otrzymania rady i pomocy.

— Może — ozwała się po chwili — może pani pracowałaś choć trochę nad naukami przyrodniczymi? Mąż mój wychowuje młodego chłopaka, któremu trudno idzie w szkołach, dla przygotowania go więc, dla korepetycji...

— Pani — przerwała Marta — wiadomości moje z dzie-

dziny nauk przyrodniczych tak są pobieżne, że zupełnie prawie żadne...

Zawahała się nieco i po chwili dodała:

— Umieję trochę rysować. Jeśli pani zna kogo, kto by potrzebował lekcji rysunku...

Maria po chwili namysłu przecząco potrząsnęła głową.

— Z tym — rzekła — najtrudniej... mało osób uczy się rysunku, a do tego jeszcze nauczają go przeważnie mężczyźni... Taki już zwyczaj.

— A więc — zaczęła Marta ściskając rękę gospodyni domu — pozostaje mi tylko pożegnać panią i podziękować jej za okazaną mi dobroć i uprzejmość.

Maria sięgnęła ręką po zgrabną kopertkę, w której widać było parę asygnat, ale w tej chwili ktoś z boku dotknął jej rękaw. Był to wesoły Oles, który przez cały czas rozmowy stał z dala w postawie bardzo skromnej i z wyrazem twarzy wcale niewesołym. Oczy jego na wpół z zachwyceniem, na wpół ze szczerym politowaniem tkwiły w twarzy młodej wdowy, która na obecność jego nie zwracała najmniejszej uwagi. Być może, iż wchodząc do salonu widziała go, ale cóż obchodzić ją mógł jeden człowiek więcej, mający być świadkiem upokarzającego jej wyznania, skoro najstraszniejszym a nierozłącznym z nią świadkiem jego była ona sama? Cóż obchodzić ją mogło przypuszczenie, iż czyżjes patrzeć na nią w chwili, w której wzrok jej własny zapadał z przestachem w głębię własnej jej nieudolności, w głębszą jeszcze otchłań czekającej ją doli? Marta tedy nie zwracała uwagi na obecność młodego człowieka, Maria zapomniała o niej i czując, że ją ktoś z lekka pociąga za rękaw, odwróciła twarz z trochę zdziwienia. Zdziwiła się bardziej jeszcze na widok fizjonomii Olesia. Ruchliwe oczy jego były teraz pełne smutku, usta okrążone zwykle pustym uśmiechem ułożyły się w zarys łagodny, a nawet trochę jakby poważny.

— Maryniul — rzekł z cicha młody człowiek — mąż twój pracuje przy jednym z pism ilustrowanych, może by tam potrzebowano kogoś, kto umie rysować...

— Masz słuszność — zawołała — zapytam o to męża!

— Ale trzeba to zrobić zaraz! — zawołał Oles ze zwykłą już sobie żywością — dziś właśnie sesja w redakcji...

— I mój mąż jest na sesji...

— Na sesji najłatwiej by o tym dowiedzieć się można...

— Napiszę zaraz do mego męża...

— Ale co tam to pisanie! to za długo, pójdę i wywołam Adama z sesji...

— Idź, idź, Olesiu...

— Idę, lecę, pędzę! — zawołał młody człowiek, pochwyił kapelusz i z nadzwyczajnym pośpiechem nakładając go na głowę przed progiem jeszcze, zapominając o pożegnaniu się z dwoma kobietami wypadł do przedpokoju. Tam narzucił palto na plecy i wołając raz jeszcze: — Biegnę, pędzę, lecę! — biegł w istocie, pędził i leciał ze wschodów tak samo, jak czynił to przed miesiącem, kiedy szło mu o dogonienie ujranej przez okno młodej piękności. Maria nie myliła się przypisując ciotecznemu bratu swemu dobroć serca, toteż z rodzajem zadowolenia przeprowadziła go oczami do progu, po czym zwróciła się wnet znowu ku Marcie. Młoda wdowa stała nieruchoma, z gorętszym jeszcze niż wprzód rumieńcem na twarzy. Nie mogła nie widzieć, że obudziła litość nie tylko w tej kobiecie, która przed chwilą ścisnęła jej dłonie, ale i w owym młodym człowieku, nie znającym jej prawie, zaledwie bowiem parę razy mimochodem przez nią widzianym. Po raz to pierwszy w życiu swym była przedmiotem litości ludzkiej, wywołała ją niemal sama, uchylić się od niej, odrzucić ją, nagłona gwałtowną potrzebą, nie mogła, a jednak uczucie to okazywane jej, dobre samo przez się, przytłaczającym ciężarem spadło na głowę jej i w dół ją chyliło... Nie była zadowoloną z siebie, ze swej rozmowy z Marią, która u ludzi całkiem jej obcych wywołała oznaki litości nad nią... Przebiegała jej przez głowę myśl, iż powinna była być silniejszą, skrytszą, powściągliwszą, doświadczała takiego poczucia, jakby w tej chwili ubyla część godności jej osobistej, człowieczej, jakby po raz pierwszy wyciągała dłoń po jałmużnę. Kiedy siostra i brat zamieniali ze sobą żywe wyrazy, ją mające na celu, kiedy młody człowiek wybiegał z pokoju, aby kędyś

do nieznanym, nigdy przez nią nie widzianym ludzi nieść prośbę w jej imieniu, powstało w niej niezmierne pragnienie odejść, odejść natychmiast, za chwilę litości zapłacić słowem podziękii, ale jałmużny nie przyjąć i powiedzieć:

„Mam nadzieję, że sama poradzę sobie”.

Pragnienie to było silne, zatamowało głos w piersi młodej kobiety, fala krwi rzuciła jej się do głowy, a jednak nie uległa mu, nie odeszła, stała nieruchoma z głową pochyloną i splecionymi rękami. W najdalszej głębi jej istoty rozlegał się szepcący:

„Nie mam nadziei, abym sobie poradzić mogła. Nie mogę ufać sobie!”

Było to rodzące się poczucie nieudolności własnej. Pod wpływem uczucia tego rósł w niej wstyd nieokreślony, lecz dolegliwy. „Gdybym była sama na świecie!... — myślała. — Gdybym nie miała dziecka!”

— Chciej mi pani powiedzieć — przemówiła Maria — jakim sposobem oznajmić jej będę mogła o wyniku starań, jakie ja i mąż mój czynić będziemy w celu pozyskania dla niej zajęcia... Zostawisz mi pani może swój adres?

Marta myślała chwilę.

— Jeżeli pani pozwoli — odrzekła — przyjdę tu sama zasięgnąć wiadomości.

Chciała zrazu dać swój adres, ale przemknęła jej przez głowę myśl, że młoda, szczęśliwa kobieta zapomnieć o niej może. Zawstydziła ją litość, jakiej była przedmiotem, ale bardziej jeszcze przestraszyło przypuszczenie, że nadzieja zarobku, która błysnęła przed jej oczami, zniknie znowu i zostawi ją w okropnej niepewności, nieokreśloności położenia.

Zarobek! jakież to prozaiczny, trywialny, czysto ziemski wyraz! — zawołacie może, czytelnicy. Gdyby na miejscu jego była tu jaka pałająca miłość, sercowa tęsknota, wzniosłe marzenie, uczucia i myśli młodej kobiety obracałyby się we właściwszym dla nich kręgu moralnych zjawisk, obudzałyby sympatii więcej, współczucie silniejsze! Być to może, nie wiem. Co pewne, to że Marta myślała albo przeczuwała, że jedyną rękąjmią życia i zdrowia jedyne go na ziemi przed-

miotu jej miłości, dziecięcia jej, ukojenia tęsknoty, której pełnymi były samotne kąty ubogiej jej izby, nie już wzniosłości, ale czystości i uczciwości jej marzeń i myśli, była praca — przynosząca zarobek. Marta myślała się może; przyszłość dopiero udowodnić miała prawdziwość lub błędność tego jej mniemania.

‘Po kilku jeszcze zamienionych wyrazach Marta Świcka zegnała gospodynię domu. Maria sięgnęła znowu po kopertę z liliowymi brzeżkami.

— Pani — rzekła z trochę nieśmiałości — oto jest dług, który względem niej zaciągnęłam za całomiesięczne nauczanie mej córki.

Marta nie wyciągnęła ręki.

— Nic mi się nie należy — rzekła — bo ja niczego wcale córki pani nie nauczyłam.

‘Maria Rudzińska chciała nalegać, ale Marta pochwyciła jej rękę, ucisnęła ją silnie w swych dłoniach i śpiesznie opuściła pokój. Dlaczego uchodziła tak śpiesznie? Pragnęła może umknąć po raz pierwszy w życiu doświadczanej złej pokusie? Czuła, że pieniądze, które jej ofiarowywano, nie należały do niej, że nie zarobiła na nie niczym, chyba bezowocnymi dobrymi chęciami, że gdyby je przyjęła, popełniłaby postępek nieuczciwy. Toteż nie wzięła ich, ale gdy o szarej godzinie, dla oszczędności nie rozniecając w izbie lampy, przy niepewnym świetle dnia dogorywającego otworzyła swój pugilaresik i przeliczyła znajdujące się w nim sztuki drobnej monety; gdy pomyślała, że oprócz pieniędzy tych, starczyć mogących zaledwie na dni parę, żadnych już innych nie ma, a te są resztkami sumy otrzymanej ze sprzedaży jednej z dwóch posiadanych przez nią sukien; kiedy mała Jancia, tuląc się do jej kolan, poskarżyła się na zimno panujące w izbie i poprosiła o zapalenie ognia na kominie, a ona odmówić jej tego musiała, bo zasób drewek był bardzo już szczupłym, a o zwiększeniu go i marzyć teraz nie mogła; kiedy na koniec ogarnęły ją ciemności nocne powiększające smutek, niepokój zamieniające w trwogę, przed oczami jej tajemną jakąś siłą wyobraźni wywołana przesunęła się zgrabna kopertka ozdobiona liliowymi brzeż-

kami, z trzema pięciorublowymi asygnatami wewnątrz. Marta zerwała się z siedzenia i zapaliła lampę. Widmo nie zapracowanych pieniędzy znikło wraz z ciemnością, ale w umyśle Marty pozostało po nim głuchoe przerażenie.

— Mogłoby to być — zawołała — abym żałowała tego, iż nie popełniłam nieuczciwości?

Głęboko zawstydzająca myśl ta wzbudziła w niej reakcję ducha, nowe wyprężenie upadłej na chwilę energii.

— Zdaje mi się — rzekła sobie, że daremnie niepokoję się tak bardzo. Wszak obiecano mi nowe zajęcie... Rysowałam przecież kiedyś niezłe, znajdowano we mnie dość wielką nawet zdolność do rysunku... Zadanie to, jeśli mi je tylko do spełnienia dadzą, spełnię już chyba dobrze! Mój Boże! jakże gorliwie starać się będę, aby tym razem już praca nie wymknęła się z rąk moich. A że dostarczą mi jej ludzie obcy przez litość, przez współczucie? cóż stąd? nie powinno mi to upokarzać! Jestem jeszcze za dumną! Słyszałam wprawdzie nieraz, że ubóstwo z dumą chodzić w parze mogą, ale muszą to być tylko teorie; przekonuję się, że jest inaczej!

Ostatnia myśl ta ponowiła się w głowie Marty, gdy nazajutrz z rana schodziła na dół i nieśmiało pukała do drzwi mieszkania rządcy.

Rządca domu przyjął ją w pokoju dobrze ogrzanym i wygodnie urządzonym.

— Pani! — rzekła Marta — za dwa dni nadejdzie termin, w którym obowiązana jestem uiszczać opłatę za najem mieszkania i sprzętów.

— Tak, pani — tonem twierdzenia i zarazem pytania odpowiedział rządcą.

— Przyszedłam, aby oznajmić panu, że nie będę jeszcze w stanie opłatę tę uiszczyć...

Wyraz twarzy rządcy objawił na te słowa pewne, dość widoczne niezadowolenie. Nie był to jednak człowiek zbyt surowy, fizjonomię miał uczciwą, łagodną i noszącą ślady długich lat przebytych i wielu trosk doświadczonych. Spojrzał uważnie na twarz młodej kobiety i po chwili namysłu odpowiedział:

— Bardzo to przykro jest... ale cóż robić? Lokal, który pani wynajmujesz, jest niewielki i sądzę, że właściciel domu nie zechce odmawiać go pani przy pierwszej nieakuratności w opłacie. Jeżeli by jednak powtórzyła się ona...

— Pani! — z żywością przerwała Marta — mam obiecane robotę, która, jak sądzę, dostarczy mi środków do życia.

Rządca skłonił się w milczeniu. Marta sploniona i ze spuszczonej oczami wyszła na ulicę. Niebawem wróciła do izby swej, przynosząc w chustce rozmaite zakupione na mieście przedmioty. Nie mogła już brać obiadów z garkuchni, wyrzucała sobie nawet, że brała je dotąd, ponieważ wydała na nie więcej, niż wydać mogła. O sobie mało myślała; wobec trosk, które ją obiegły, i celu, ku któremu dążyła, ilość i rodzaj żywności mającej podtrzymać jej życie nie mogły w myślach jej wielkiego zajmować miejsca. Sądziła, że szklanką mleka i parą bułek dziennie zdoła przez czas jakiś dostatecznie podtrzymać swe siły. Ale mała Jancia, drżąc nieraz od chłodu w izbie źle ogrzanej, potrzebowała koniecznie raz na dzień przynajmniej ciepłego pokarmu.

Toteż młodą wdowę za pozostałe jej kilka złotych zaopatrzyła się w trochę masła, kaszy i mały garnuszek.

„Zamiast z rana, palić w piecu teraz będę w południe — myślała — i zarazem zgotuję co dzień dla Janci trochę gorącej strawy!”

Nie mogła też oswoić się z myślą, że dziecko jej zaprzestanie jeść mięso. I tak już było ono blade, wątłe, zmęczone licznymi niewygodami, których dawniej nie znało. Ale mięso świeże kosztuje dużo, dla sporządzenia zeń potrawy trzeba też sporo drzewa spalić. Marta kupiła więc funt wędzonej szynki. Gdy załatwiała wszystkie te sprawunki, przechodziły jej na myśl tanie kuchnie. Słyszała o nich kiedyś, wtedy gdy była jeszcze żoną urzędnika pobierającego znaczną płacę i sama hojną ręką przyczyniała się do składek na rzecz dobroczynnych instytucji urządzanych. Oprócz tego jednak, że kuchnia tania w obecnym jej położeniu mogłaby dla niej być jeszcze za drogą, Marta czuła

instynktowny, nieprzewyciężony wstręt do uciekania się pod skrzydła jakiegokolwiek filantropijnej instytucji.

„Istnieje to dla starców — myślała — dla chorych, kalek, dla dzieci zresztą pozbawionych opieki lub ludzi ostatecznie niedołączonych czy zniedołączniałych moralnie i umysłowo. Jestem młodą i zdrową, wielu jeszcze rzeczy robić nie próbowałam, które może robić potrafię, a że nie udało mi się znaleźć zarobku w jednym zawodzie, mamże dlatego uciekać się do dobroczynności publicznej?”

„Nigdy!” — zawołała w duchu i otworzywszy znowu swój pugilaresik przeliczyła pozostałą w nim po załatwieniu sprawunków drobną monetę. Znajdowało się tam jeszcze około trzech złotych.

„Wystarczy to jeszcze przez tydzień na mleko i bułki dla mnie i dla Janci — myślała — tymczasem dobrzy ci ludzie znajdują dla mnie pewno robotę...”

Znajomi Marty przy Świętojerskiej ulicy mieszkający byli w istocie ludźmi bardzo dobrymi i szczerze zajmowali się przyniesieniem pomocy ubogiej kobiecie, która wzbudziła w nich współczucie połączone z szacunkiem.

Pocziwym tym usiłowaniam dopomagało wielce szczęśliwe położenie, jakie zajmował mąż Marii Rudzińskiej względem jednego z pism warszawskich ilustrowanych, najzamożniejszych i najwięcej rąk zatrudnić mogących. Był on współpracownikiem pisma tego dawnym, zasłużonym i wysoko szacowanym. Głos jego tak u wydawcy jak na sesjach redakcyjnych znaczył wiele, wstawienie się za kims, słowo prośby przez niego wymówione lekceważonym być nie mogło. Do tego jeszcze Adam Rudziński był pisarzem wyjątkowo poświęcającym się badaniom kwestii społecznych, a pomiędzy nimi i położeniem w społeczeństwie kobiet ubogich. Martę widział on kilka razy w swym domu, gdy udzielała lekcji jego córce, a zajmująca powierzchowność młodej kobiety, żalobna jej suknia, pełen godności układ w połączeniu ze szlachetnym postępkim jej, o którym w słowach pełnych zapału opowiedziała mu Maria, wzmogły gorliwość jego usiłowań.

Skutek usiłowań tych pomyślny był i prędko.

Jedna więcej para rąk nie okazała się zbyt cenną dla pisma, które potrzebowało szerokiego współdziałania, i szło już tylko o stopień uzdolnienia nowej robotnicy, mający wyrokować o przyjęciu lub odrzuceniu jej prośby.

Jakkolwiek jednak starania Adama Rudzińskiego względnie do natury okoliczności otrzymały skutek bardzo prędko, względnie do położenia Marty czas trwania ich był bardzo długim. Od dnia, w którym dobrowolnie zrzekła się zawodu nauczycielskiego, upłynął tydzień, szczupłe pieniądze zasoby młodej kobiety wyczerpały się całkiem prawie, oprócz tego przymusowa bezczynność ciążyła jej straszliwie, sen odbierała i sumienie niepokoiła. Marta wyszedłszy pewnego ranka na miasto udała się na ulicę Długą i zapukała do biura informacyjnego. Ludwika Zmińska przyjęła ją daleko zimniej i urzędowiej niż wprzód.

— Słyszałam — rzekła — że pani nie udzielasz już lekcji w domu państwa Rudzińskich. To szkoda, wielka szkoda, jak dla pani, tak dla mnie, od zdania bowiem takich domów zależy po większej części opinia podobnych mojemu zakładów.

Marta oblała się rumieńcem; rozumiała wymówkę mieszczącą się w słowach właścicielki biura. Szybko jednak podniosła głowę i z wyrazem otwartości rzekła:

— Przebacz mi, pani, że naraziłam ją na zawód...

— Zawód osobiście mnie sprawiony bardzo tu małą posiadłby wagę — przerwała Zmińska — ale jeżeli ludzie zawodzą się na moim słowie, zakład mój cierpi na tym bardzo...

— Omyliłam panią — ciągnęła Marta — dlatego, że omyliłam się na samej sobie. Panna Rudzińska była uczennicą zbyt daleko już dla mnie posuniętą w nauce. Sądzę przecież, iż gdyby szło o właściwe początki, zdołałabym odpowiedzieć może zadaniu. Z tą myślą przyszedłam raz jeszcze do pani. Czy nie mogę otrzymać lekcji początków?

Postawa Ludwika Zmińskiej była bardzo zimna.

— Osób poszukujących początkowych lekcji jest daleko więcej niż takich, które pobierać je potrzebują — odrzekła po chwili z odrobiną ironii w głosie. — Konkurencja ogrom-

na, ceny więc bardzo niskie. Czterdzieści groszy, dwa złote najwyżej za godzinę...

— Przysłałabym na wszelką opłatę — wymówiła Marta.

— Zapewne, przysłać trzeba, skoro inaczej być nie może. Ja jednak nic pani nie przyrzekam. Zobaczą, postaram się... W każdym razie wszystkie wiadome mi miejsca są dziś zajęte i przyjdzie pani długo czekać.

Gdy właścicielka biura wymawiała te słowa, Marta bacznie na nią patrzyła. Oczy jej, smutne, zamyślane, lecz spokojne, szukały może na twarzy niemłodej kobiety tego blasku rozrzewnienia i zyczliwości, jaki zjawił się na niej, gdy była tu po raz pierwszy, ale Żmińska była tym razem niewzruszoną, chłodną i urzędową. Marcie przyszedł na myśl słowa przed dwoma miesiącami z ust jej usłyszane:

„Kobieta wtedy tylko utorować sobie może drogę pracy, zdobyć byt niezależny i położenie szacunek nakazujące, jeśli posiada wyłączny jakiś talent lub doskonałą jaką umiejętność.”

Marta żadnego z warunków tych nie posiadała; właścicielka informacyjnego biura, raz już zawiódłszy się na niej, poznawszy szczupły zasób jej wiadomości, małą doniosłość jej uzdolnienia, uważała ją widocznie za klientkę bardziej natrętną i kompromitującą niż jakąkolwiek korzyść zakładowi jej obiecującą. Tam zaś, gdzie zjawiało się codziennie kilka lub kilkanaście osób w tym samym położeniu, w jakim ona była, zostających, z tymi samymi prośbami na ustach, z takim samym niedostatecznym zasobem w głowie, o trwałym współczuciu ze strony osoby, która je przyjmowała, i mowy być nie mogło.

Marta pojęła, że kariera jej w zawodzie nauczycielskim stanowczo skończoną została, że gdziekolwiek z żądaniem swym udałaby się teraz, przejrano by naprzód towar wiedzy przez nią przynoszony, a przekonawszy się o podrzędnym jego gatunku odprawiono by ją z niczym lub zepchnięto w szeregi czekające długo na zarobki maleńkie. Ona poprzestałaby zapewne na zarobku małym, ale czekać długo nie mogła.

Z ulicy Długiej idąc na Świętojerską Marta jedną tylko myśl miała w głowie:

„Jakże nierozsądną byłam; jak nie znałam świata i siebie samej wtedy, gdym owego pierwszego wieczoru po zamieszkaniu w nędznej izbie myślała, że trzeba mi tylko pójść oświadczyć się z chęcią pracowania, aby zostać przyjętą w szeregi pracujących. Oto idę teraz z ulicy w ulicę, od jednego domu do innego i szukam... A jednak... gdybym umiała!...”

Maria Rudzińska spotkała przychodzącą do niej z wesołą twarzą, uściśnęła gorąco jej ręce i uprzedzając pytanie rzekła:

— Pismo, którego mąż mój jest współpracownikiem, a po części i współredaktorem, potrzebowało właśnie osoby umiejącej rysować. Oto jest szkic narysowany przez znanego u nas rysownika, którego skopiowanie pani powierzonym zostało. Co do opłaty, zależy już ona będzie całkiem od zalet pracy pani; ta, którą wykonasz teraz, ma być próbą stanowiącą o zamówieniach dalszych.

Blady promień grudniowego słońca, przebijając się przez las gzymsów i zasłony murów, ozlacał małe okienko poddasza i ślizgał się po czarnej powierzchni stołu, nad którym siedziała Marta z oczami utkwionymi w leżący przed nią rysunek. Było tam tylko parę drzew rozłożystych, kilka gęstych krzewów, w cieniu ich siedząca piękna postać kobiety i para uśmiechniętych główek dziecięcych, wychylających się zza uplotów gałęzi. Na najdalszym planie w niepewnych już, ale wdzięcznych zarysach ukazywał się domek wiejski z werandą oplecioną bluszczem i wybiegająca zza niego droga, której szlak kręty i mgłą przysłoniony rozplątywał się i niknął w oddaleniu. Była to kompozycja prosta, jedną ze scen codziennego wiejskiego życia przedstawiająca, ale wykonana biegłą i natchnioną ręką utalentowanego rysownika, stanowiła piękne, acz drobne dzieło sztuki. Od wiejskiego domku, czterema swymi prostymi oknami wdzięcznie spoglądającego na widza, i smukłej postaci kobiecej, w pełnej rozkosznego zaniedbania postawie siedzącej pod cieniem drzewa, do figlarnych twarzątek dziecięcych, prze-

glądających zza uplotu różanych gałęzi, i krętego szlaku drogi, rozplywającego się wśród mgły i przestrzeni, wszystko tu nosiło na sobie piętno szczęśliwie pochwyconej i dobrze uwydatnionej charakterystyki, zachwycało oko, budziło wyobraźnię, skłaniało myśl do porównań i odgadywań. Wyborna poprawność i przedziwna lekkość rysunku szła tu w parze z poetycznością pomysłu, uwydatniając i podnosząc jego zalety. Natchnienie i znajomość techniki zarówno dopisały artyście w chwili, gdy lekką a zarazem pewną siebie ręką rzucał na papier tę wiązkę linii, z której powstała całość pełna głębokiego uczucia, prostego wdzięku i cichej harmonii.

Techniczne zalety rysunku nie od razu przecież przykwały do siebie uwagę Marty; siłą wspomnień i tragicznością kontrastu pochwyliła ją naprzód myśl kompozycji. Z wiejskiego domu, z drzew cienistych i krzewów gałęzistych, z twarzy młodej matki, ścigającej wzrokiem falujące za przeczystą gęstwiną ruchy dwóch drobnych postaci dziecięcych, trysnęły ku młodej kobiecie wspomnienia zalewające pierś jej falą uczucia bolącą i razem rozkoszną. I ona także żyła kiedyś w takiej cichej, kwiecistej, cienistej ustroni, deptała lekką stopą puszystą murawę, zrywała róże z chylących się ku niej gałęzi krzewów i z drobnymi rękami pełnymi wonnego kwiecica biegła ku takiej werandzie, takim jak tu bluszczem ocienionej, wśród czterech okien rozgrzanych upalnym słońcem rozwieszającej namiot zielony, pod chłodną i orzeźwiającą osłonę gotowy przyjąć ukochane dziecko domu!

I za jej także chylącymi stopami posuwało się niegdyś troskliwe spojrzenie matki, i ku niej także trwożny głos macierzyński wołał, aby nie wybiegały poza dom daleko, na tę drogę, która pełna kamieni i wąwozów, zawad i niebezpieczeństw kręto wiła się i przepadała wśród tajemniczych wzgórz i niedojrzanych przestrzeni. Daremne wołanie! daremne drżenie macierzyńskiego serca!

Przyszła czas, w którym dziecko wiejskiego domu wyszło na ową drogę zza ścian jego wybiegającą krętym, kamiennym szlakiem i poszło w świat pomiędzy tajemnicze wzgó-

rza, w nieznanne przestrzenie, pomiędzy zawady i niebezpieczeństwa i zaszło tu, gdzie u szczytu wysokiej miejskiej budowy wznosiły się cztery ściany ciasne, nagie, zimne, duszne, samotne... Był to kontrast przeszłości z teraźniejszością. Marta oderwała oczy od rysunku, powiodła spojrzeniem wokół izby, zatrzymała je na bladym dziecięciu, które owinięte od chłodu wełnianą chustką matki drżało jednak i na kształt znękanej ptaszyny tuliło główkę do jej kolan... W uchu kobiety dźwięczał znany, dobrze zapamiętany śpiew małego ptaszka, tego samego, zda się, ptaszka, który na rysunku muskał rozpiętymi skrzydłami szczyt różanego krzewu, a z tym echem oddalonego wspomnienia łączył się ciężki, drżący od zimna oddech dziecka... Po nici wspomnienia przypłynęła ku niej piękna twarz matki, potem łagodne oblicze ojca, potem jeszcze ujrzała zawieszzone przed sobą w powietrzu ciemne oczy młodzieńca, które wpatrzone w nią z głębokim wyrazem mówiły jej: „Kocham!”, w czasie gdy usta jego wymawiały: „Zostań moją żoną!” Wszystkie te rysy drogie jej nad życie, pomroką śmierci pochłonięte na zawsze, wszystkie miejsca, w których rozwijała się bezchmurna sielanka dzieciństwa jej i pierwszej młodości, wszystkie światła pogasłe, uroki rozwiane, radości zatrute i połamane podpory drgnęły życiem, przybrały dawne kształty i barwy, skupiły się w jeden obraz i zawisły przed nią, niby w ramy przerażającej brzydoty i nagości, oprawione w puste, szare, zimne kąty samotnej izby.

Marta nie patrzyła już na rysunek; utkwione w pustą przestrzeń nieruchome jej źrenice zaszły szklistą powłoką, która jednak nie topiła się w łzy, pierś jej oddychała szybko i ciężko, ale łkań nie wydawała. Płacz gwałtowny rozrywał widocznie wnętrze tej kobiety, ale ona walczyła z nim, walczyła z sercem swym, usiłując stłumić przyspieszone jego bicie, i z rozgorzałą swą głową, odtrącając od niej roje wspomnień i falę marzenia. Był w niej tajemny głos jakiś, który wołał, iż z każdą łzą, która wypłynie z jej oka, z każdym łkaniem, które wstrząśnie pierśią, z każdą sekundą, spędzoną w tej strasznej męczarni ducha płaczącego nad grobami nadziei swych i miłości, ujdzie cząstka sił

jej i woli, ubędzie odrobina energii, cierpliwości i wytrwałości. A jej tych sił, tej woli, tej wytrwałości trzeba było tyle! tyle! Południe życia jej stało się dla niej tak surowym i wymagającym, jak pieszczotliwym i pobłażliwym był jego poranek. Jancia podniosła ku matce bladą twarzyczkę.

— Mamo — ozwała się jęklwym głosem — jak tu dziś zimno! Rozpał ogień na kominku!

Za całą odpowiedź Marta schyliła się, wzięła dziewczynkę w objęcia, przycisnęła mocno do piersi drobne jej ciało, do czoła jej przyłgnęła ustami i tak została przez chwilę nieruchoma... Nagle powstała, ściślej owinęła Jancię welnianym szalem, posadziła ją na niskim stołeczku, przykłęka przed nią, uśmiechnęła się, pocałowała ją w blade usteczka i zupełnie prawie swobodnym głosem rzekła:

— Jeżeli Jancia spokojnie bawić się będzie swoją lalką, jutro lub pojutrze skończę robotę, drewek kupię i rozpałę dla Janci taki śliczny, ciepły ogień. Czy dobrze, Janciu? czy dobrze, moje dziecko kochane?

Uśmiechnęła się mówiąc to i rozgrzewała w swych dłoniach zziębnięte ręce dziewczynki. Jancia uśmiechnęła się także, usta jej dwoma pocałunkami zamknęły na chwilę wpatrzone w nią oczy matki, sięgnęła po lalkę swoją, po parę drobnych drewnianych zabawek i przestała patrzeć w okopconą, pustą i chłodem wiejącą głębię komina. Cisza zupełna panowała znowu w izbie. Marta siedziała za stołem i przyglądała się robocie wybornego rysownika.

Teraz zwyciężone i odepchnięte rozkazem woli wspomnienia i żale legły na dnie jej piersi, nie umarłe, lecz milczące, twarz jej wyrażała spokojne skupienie wszystkich władz umysłu i tylko oczy jaśniały żywym połyskiem zapą, z jakim przystępowała do tej nowej próby sił swych i uzdolnień. Teraz nie w pomyśle artysty, nie w rzewnej uczciwości i poetyczności obrazka zatonej uwaga Marty, ale w technice wykonania, w tej technice, która, biegła w znawstwie, bogata w środki, sięgała do gruntu istoty sztuki i zarazem z lekkością ptaszcącego pióra ślizgała się po jej powierzchni, małymi sposobami tworzyła rzeczy piękne, wcielała pomysł w każdą, by najsubtelniejszą li-

nijkę, postugiwać się umiała każdą cząstką płaskiej powierzchni, którą dowolnie jakby orzucała smugami światła i cieniów. Marta nie rysowała nigdy z natury, ale kopiowała niegdyś małe krajobrazy, drzewa, kwiaty, twarze ludzkie. Doskonałość więc leżącego przed nią rysunku zachwyciła ją, ale nie zniechęciła.

„Nie jestem zapewne taką artystką jak ten, który narysował ten śliczny obrazek — myślała — ale skopiować robotę czyjaś potrafię chyba... potrafić muszę.”

Myśląc tak, otworzyła podługowate pudełko, w którym mieściły się przyrządy do rysowania. Maria Rudzińska, wiedzona dobrocią serca i delikatnością uczuć, odgadła nową potrzebę, w jakiej znajdzie się uboga kobieta, i wręczyła jej to pudełko wraz ze wzorem, z którego kopia wykonaną być miała. Ołówek Marty posuwał się po gładkim papierze; czuła, że ręka jej była lekką, że myśl jej spajała się ściśle z myślą artysty, że oko jej dostrzegało bez trudności najzawiększe zgięcia linii, najsubtelniejsze różnice i przelewania się światła z cieniami. Serce jej uderzało coraz silniej i radośniej, oddech stawał się coraz łatwiejszym, rumieniec występował na blade policzki, oczy rozplomieniały się pogodą i płonęły zapałem. Pocieszycielka strapionych, towarzysząca samotnych, piastunka burzami życia miotanych, praca, wstąpiła na ubogie poddasze i przywiodła ze sobą — spokój. Daremnie promień słońca pieścący z rana nagie ściany izby zniknął za wysokimi dachami domostw, daremnie wielkie miasto toczyło w dole głuche swe, tajemnicze, nieustanne gwary, Marta nie widziała nic i nic nie słyszała.

Podnosiła czasem oczy od roboty, aby popatrzeć na cicho w kącie izby bawiące się dziecię, przemawiała doń słów parę i znowu pogrążała się w swym zajęciu. Niekiedy brwi jej zsuwały się, wyraz głębokiego namysłu osiadał na czole. Trudności i zagadnienia sztuki zjawiały się wtedy przed nią i stawiały jej twarde, urągliwe czoło. Ale ona łamała się z nimi i zdawało się jej, że przelamywała je szczęśliwie. Gdy podnosiła głowę i przypatrywała się swej robocie, miała uśmiech na ustach, który zniknął, gdy porówny-

wać ją zaczynała z robotą mistrza. W umyśle jej rodziły się znać wątpliwości i obawy, ale ona usuwała je od siebie jak coś zbyt natrętnego, zbyt dla niej ciężkiego, dla serca dolegliwego. Pracowała z wielkim skupieniem umysłu, z niezmiernym wytężeniem woli, z porywającym zapałem wyobraźni rozkochanej w przedmiocie swej pracy; pracowała z całego rozumu, z całej duszy i z całych sił swoich i przestała pracować wtedy dopiero, gdy do izby napływać poczęły pierwsze cienie wieczornego zmroku. Wtedy zawołała do siebie Jancię, posadziła ją na kolanach i patrząc w dziecięcą twarzyczkę, uśmiechnęła się do niej znowu. Ale teraz uśmiech jej był innym niż z rana, nie wymuszonym przemocą na ściśniętym boleścią sercu, nie sprzeczący się z pośepnym wyrazem oczu. Wykwitał on sam przez się i bez wysiłku z piersi młodej matki, ukojonej pracą, rozgranej nadzieją.

„Marta opowiadała małej córeczce swej jedną z owych bajek, których treść upleciona ze zjawisk cudownych, z barw tęczyowych, ze śpiewów ptaszęcych i skrzydeł anielskich tak bardzo pochłania umysły i zachwyca wyobraźnię dziecięcę; ale gdy usta jej snuły dla biednego, ucztę podobnej od dawna spragnionego uszka długie nici fantastycznych opowieści, głowę jej napępiała myśl jedna, powtarzająca się wciąż niby przygrywka mieszcząca w sobie temat pieśni życia: „Gdybym potrafiła... jeżeli potrafię... jeżeli umiem!...”

„Czy potrafiłam? czy umiem?” — myślała Marta w parę dni potem wstępując na wschody mieszkania Rudzińskich.

Wewnętrzne pytania te młodej kobiety nie otrzymały tym razem stanowczej odpowiedzi. Wkrótce jednak nastąpić ona miała; dzień jutrzejszy bowiem był dniem przeznaczonym na sesję redakcyjną, na której ludzie kompetentni wydać mieli sąd o mierze artystycznych uzdolnień Marty i wartości dokonanej przez nią roboty.

— Przyjdź pani pojutrze z rana — rzekła Maria Rudzińska. — Mąż mój przyniesie dla niej z jutrzejszej sesji pewną już wiadomość.

Marta przybyła w oznaczonej porze. Właścicielka ładnego

saloniku spotkała ją ze zwykłą uprzejmością i ukazała jej fotel stojący przy stole, na którym leżała przed dwoma dniami ukończona robota Marty i przy którym siedział mężczyzna średniego wieku z twarzą rozumną, szlachetną i łagodną. Był to Adam Rudziński; powstał na powitanie Marty, z pełnym uszanowania ruchem podał jej rękę, a gdy usiadła, usiadł także, spuścił oczy i milczał chwilę.

Maria usunęła się w głąb salonu i widocznie zasmuconą twarzą oparłszy na rękę siedziała też ze spuszczoneymi oczami w milczeniu. Przez kilkanaście sekund ciężka cisza panowała w salonie. Każdej z trzech obecnych osób pierwsze słowo mającej toczyć się rozmowy trudnym znać było do wymówienia. Adam Rudziński pierwszy przerwał milczenie.

— Smutno mi bardzo — rzekł — iż jestem pośłem przynoszącym pani niezbyt zapewne miłe wiadomości. Nie było przecież w mocy mojej uczynić innymi, niż są...

Umilkł i patrzył na Martę oczami, w których malowała się szlachetna otwartość połączona ze szczerym współczuciem. Przerwał na chwilę mowę swoją dlatego może, aby dać czas młodej kobiecie do zebrania sił, do przygotowania się na przyjęcie ciosu, który miał ją spotkać. Marta zbladła trochę i spuściła nagle oczy, ze skupioną uwagą wpatrzone dotąd w twarz przemawiającego do niej mężczyzny. Z ust jej nie wyszedł przecież wykrzyk żaden ani z piersi westchnienie. Adam Rudziński z postawy i wyrazu twarzy młodej kobiety odgadł, że umiała powściągać się i mogła być mężna. Po chwili tedy mówił dalej:

— W sprawie, która obecnie panią zajmuje, sam osobiście kompetentnym sędzią nie jestem i powtórzę tu tylko słowa, które zlecono mi przed panią powtórzyć. Uczynię to zaś z pewną otwartością dlatego, ażeby oszczędzić pani nowych zawodów i rozczarowań, i dlatego także, iż materialnie i moralnie nic szkodliwszym nie jest dla człowieka, jak nieznanie własnych zasobów, z którymi przychodzi się do wrót społecznego życia, jak częste mylenie się na samym sobie: Z roboty, którą pani wykonałaś, widocznie się okazuje, że uczyłaś się pani rysunku i posiadasz istotne zdolności, ale... uczyłaś się go pani za mało, za pobieżnie, za powierzchow-

nie, przez co zdolności jej niedostatecznie wyćwiczone, w wymagania sztuki nie wtajemniczone, należytego stopnia rozwoju i siły nie dosięgają. Sztuka wszelka posiada dwie strony: jedną, która wypływa z samej natury poświęcającego się jej człowieka, z przyrodzonego mu talentu, i drugą, z którą nikt już nie rodzi się, którą nabyć można tylko pracą, nauką. Z talentu powstaje zapewne natchnienie, ale natchnieniem, raz już istniejącym, rządzi umiejętność. Umiejętność techniczna nie ożywiona talentem prawdziwego dzieła sztuki stworzyć nie może i posługuje co najwięcej rzemieślniczym robotom. Ale nawzajem talent, choćby najwyższy, pozbawiony umiejętności technicznej, jest siłą pierwotną, ślepą, nierozwiniętą i zarazem nieokiełznaną, zdolną co najwięcej tworzyć rzeczy kalekie, chaotyczne i niekompletne. Pani posiadasz do rysunku talent, talent dość nawet wysoki, skoro odgadnąć go można w robocie pani pomimo więcej niż wadliwej techniki jej wykonania. Ale...

— Adamie! — ozwał się w tej chwili głos gospodyni domu. Maria Rudzińska powstała i zbliżając się do stołu, przy którym toczyła się rozmowa, patrzyła na męża z wyrazem prośby w oczach, na słuchającą go kobietę z żalem i trwogą. Marta zrozumiała obawę dobrej kobiety. Podniosła głowę i rzekła pewnym głosem:

— Pani! ja pragnę usłyszeć całą, całą prawdę. Z krótkich dotąd doświadczeń moich przekonałam się o wielkiej słuszności tego, co mąż jej powiedział przed chwilą: nic materialnie i moralnie szkodliwszym nie jest dla człowieka, jak nieznanie własnych zasobów, z którymi przychodzi się do wrót społecznego życia, jak częste mylenie się na samym sobie.

Maria usiadła przy stole. Marta zwróciła wzrok na Adama Rudzińskiego, który mówił dalej:

— Sztuka posiada różne stopnie, znajomość jej ludzie nabywają dla różnych celów. Dość niski nawet stopień artystycznego wykształcenia dostatecznym jest, aby dostarczyć posiadającemu go człowiekowi pewną sumę przyjemności, którą upiększa, urozmaica on chwile życia sobie i otaczającym. Pobieżna ta znajomość sztuki, ovladanie drobną

częścią wiadomości o niej i środków ku jej wcieleniu służących nazywa się dyletantyzmem artystycznym, posiada pewne dodatnie znaczenie w salonach, a choćby w salonikach, zgadza się z bytem zamożnym, co najmniej dostatnym, zaprawiając go pewną dozą wdzięku, poezji, świąteczności wrażeń i zajęć. Dyletantyzm ten jednak, jakkolwiek nie pozbawiony całkowicie stron szlachetnych i pożytecznych, jakkolwiek dość szerokie miejsce zajmujący w duchowej ekonomice ludzkości, nie może być niczym innym jak dodatkiem, przyozdobieniem życia, wdzięcznym wzorkiem rzuconym na osnowę istnienia dla ubarwienia jej i urozmaicenia. Budować na nim byt fizyczny, owijać wokoło niego przędzę ducha tak długą, jak długim jest życie ludzkie — niepodobna i nie godzi się. Niepodobna, gdyż z przyczyny niekompletnej wynikać nie może skutek kompletny; nie godzi się, gdyż to, co oddaje światu drobną i wielce cząstkową przysługę, nie posiada prawa rościć do świata pretensji o przysługę wzajemną, tak ważną i zupełną, jaką jest byt fizyczny i spokój moralny. Ponad dyletantyzmem artystycznym dopiero, w wysokościach, o których częstokroć ten najlżejszego nie ma wyobrażenia, istnieje — artyzm, siła potężna, kompletna z rozwiniętego do ostatecznych granic, prawidłowo ukształtowanego, przyrodzonego talentu i gruntownej, szerokiej wiedzy złożona. Dyletantyzm jest zabawką życia — artyzm tylko może być dlań opoką. Może on być dla życia opoką fizyczny byt, zarówno jak moralny podpierającą. Ale w dziedzinie sztuki, jak nauki, jak rzemiosła, ten otrzymuje najwięcej, kto w dzieła swe, społeczności ofiarowywane, wkłada największy kapitał czasu, pracy, umiejętności i wprawy. Tu, jak gdzie indziej, istnieje konkurencja, żądanie i ofiara stają naprzeciw siebie, przyglądają się sobie i wazą się wzajemnie; tu, jak gdzie indziej, stopień dobrobytu robotnika zostaje w prostym stosunku ze stopniem doskonałości wyrobów. W dziedzinie sztuki, tak jak w każdej innej dziedzinie ofiarującej pole dla pracy ludzkiej, człowiek zdobyć może dostateczne, niekiedy świetne warunki bytu, zdobyć je przecież może wtedy tylko

jesli posiada talent nie tylko przyrodzony, ale wykształcony, jeśli nie jest dyletantem tylko, ale artystą.

Wypowiedziawszy to wszystko Adam Rudziński powstał i z szanowaniem skłaniając się przed Martą, dodał:

— Przebac, pani, że mówiłem tak długo. Nie mogłem jednak rozmowy mej z nią zawrzeć w kilku słowach. Lękałem się, abyś pani nie przypuściła, iż ci, którzy moimi usty odrzucają jej pracę, powodują się kaprysem lub uprzedzeniem jakim, które by w tym razie było niemal występkiem. Rysunek pani nie odpowiada potrzebom pisma, któremu miał służyć. Nie jest on dość poprawnym ani dość dokładnym, nie powtarza dostatecznie myśli i charakterystyki pierwotnego. Twarz młodej matki, na przykład, rysowaną była przez panią z widocznym uczuciem i zamiłowaniem, a jednak jakże rysy jej wydają się mglistymi w porównaniu z wyrazistością, którą im nadał umiejętny i wprawny rysownik. Jakże wskutek mglistości tej wiele ubyło wyrazowi tych oczu, ścigających poruszenia ukochanych im istot, charakterowi tej głowy, podanej nieco naprzód, z gotowością niby wydania ostrzegającego lub pieszczotliwego wykrzyku. Drzewo to, tak bogato na wzorze rozwijające gałęziastą swą gęstwinię, wygląda tu ubogo i chorobliwie; droga wybiegająca z za domu, którą artysta umyślnie orzucił mgłą tajemniczości, na rysunku pani całkiem prawie osłonięta zbyt grubymi pociągami ołówka staje się dla oka patrzącego zagadkowym prawie, niezrozumiałym czarnym szlakiem. Zrozumiałaś pani pomysł artysty, wniknęłaś weń i polubiłaś go; jest to widocznym, niemniej przecież widoczne przy każdym szczególe, przy każdym pociągnięciu ołówka łamałaś się pani z techniką sztuki i nie przełamałaś trudności, jakie ci ona stawiała; nie przeniknęłaś jej zagadnień, ponieważ w ręku swym nie posiadałaś dostatecznych środków umiejętności, wprawy... Oto jest cała prawda, którą wypowiadam z podwójnym smutkiem. Jako znajomy pani, żałuję, że pani nie otrzymała pożądaney ci pracy; jako człowiekowi, smutno mi, żeś pani nie kształciła dostatecznie swego talentu. Posiadasz pani niezaprzeszony talent; szkoda,

że nie uczyłaś się więcej, gruntowniej, obszerniej, że uczyć się teraz już jej podobno nie sposób...

Marta powstała, z wolna opuściła splecione ręce i wy-mówiła z cicha:

— Tak, uczyć się teraz już mi nie sposób... Nie mam na to czasu — dodała po chwili, po czym umilkła i stała chwilę ze spuszczonej oczami w milczeniu. Adam Rudziński patrzył na nią z wielkim zajęciem, z trochę podziwu nawet. Spodziewał się, obawiał się może łez, jęków, wyrzutów, mdleń i spazmów, natomiast usłyszał kilka zaledwie słów, wyrażających żal nad niemożnością uczenia się, nad brakiem czasu do uczenia się koniecznego.

Wiotka, delikatna, z wyniosłą postacią i piękną twarzą, kobieta ta posiadać musiała wiele energii, skoro potrafiła bez łzy, bez westchnienia wysłuchać surowego wyroku, skazującego na śmierć drogą jej nadzieję, przyjąć na barki swe ten niewymowny ciężar niepewności, nieokreśloności położenia, jaki po krótkiej uldze spadł na nie znowu. Serce i głowa młodej kobiety bardzo ciężkimi musiały być w tej chwili, nie rozplakała się ona jednak, nie jęknęła, nie westchnęła nawet.

Znać pora jęków głośnych i płaczu nie wstydzącego się oczów ludzkich nie przyszła jeszcze dla niej, duma jej człowiecza nie była jeszcze złamaną, ani siły starganymi. Wszak stała ona u początku dopiero kalwaryjskiej swej drogi, dwie stacje jej tylko przebyła, dwa razy tylko płonęła wewnętrznym wstydem, zadrzała do głębi w poczuciu własnej nieudolności.

Posiadała jeszcze dość sił, aby dumą i wolą powściągać wybuchy własnych uczuć; nie posiadała dość znajomości samej siebie, aby przestać spodziewać się...

Adam Rudziński uszanował milczący żal ubogiej kobiety; obcy jej w zupełności, kilka razy zaledwie przez nią widziany, uczuł, że w tej chwili oddalić się powinien. Pożegnawszy Martę, acz pełnym szacunku ukłonem, wyszedł z salonu, ale żona jego wtedy dopiero pochwyciła ręce Marty i ściskając je w swych dłoniach, rzekła pośpiesznie:

— Nie trać nadziei, droga pani! Nie mogę pogodzić się

z myślą, abys tym razem jeszcze opuściła dom mój nie pocieszona i nie zaspokojona w słusznych swych żądaniach. Nie znam przeszłości twej, ale zdaje mi się, iż odgaduję trafnie, sądząc, że ubóstwo zaskoczyło cię niespodzianie, że nie byłaś przygotowaną do zajęcia wśród społeczności miejsca pracownicy, dla siebie i dla innych byt zdobywającej...

Marta podniosła nagle oczy na mówiącą.

— Tak — przerwała z żywością — tak, tak...

Spuściła znowu oczy i chwilę milczała. Znać było, że myśl jej uderzona została za nagła uwyrażeniem tego, co dotąd w nieokreślonych stawało przed nią zarysach.

— Tak — powtórzyła po chwili z mocą. — Ubóstwo i potrzeba pracy zaskoczyły mię niespodzianie. Nic mię nie uzbroiło przeciw pierwszemu, nic nie nauczyło drugiej... Przeszłość moja była cała ciszą, miłością i zabawą... na burzę i samotność nie wyniosłam z niej nic...

— Okropny los! — wyrzekła po chwili milczenia Maria Rudzińska. — Gdyby przeniknąć go, odgadnąć, zrozumieć całą jego okropność mogli wszyscy ojcowie, wszystkie matki...

Powiodła dłonią po oczach i zwyciężając szybko swe wzruszenie zwróciła się ku Marcie.

— Mówmy o pani — rzekła. — Jakkolwiek z dwóch już dróg, na jakie wstąpić próbowałaś, wytrącił cię brak stosownych do torowania ich narzędzi, nie trać nadziei i odwagi. Zawody nauczycielskie i artystyczne okazały się dla pani niestosownymi, ależ praca umysłowa i artystyczna to jeszcze niecały zakres działalności ludzkiej, a nawet kobiecej. Pozostaje jeszcze przemysł, handel, rzemiosło. Gdyś pani rozmawiała z moim mężem, przyszła mi do głowy myśl szczęśliwa... Znam z bliska właścicielkę jednego z najzamożniejszych sklepów bławatnych... byłam z nią nawet parę laf na pensji i odtąd zachowałyśmy pomiędzy sobą stosunki, jeśli nie przyjaźni, to przynajmniej dobrej znajomości. Sklep obszerny, modny i zasobny do usług swych potrzebuje prawdziwej armii komisantów, subiektów itd. Co więcej, nie dawniej jak przed tygodniem Ewelina D., spotkawszy

się ze mną w teatrze, mówiła mi, że utraciła teraz jednego z najużyteczniejszych sklepowi jej subiektów i znajduje się z tego powodu w pewnym kłopotcie. Czy zgodziłabyś się pani stać w sklepie za kontuarem, przyjmować gości sklepowych, mierzyć materie, urządzać w oknach wystawy itd.? Miejsca takie bywają bardzo dobrze opłacane. Aby spełnić przywiązane do nich czynności, niczego więcej nie trzeba jak uczciwości, przyzwoitości układu i dobrego smaku. Czy pojedziesz pani ze mną do Eweliny D.? Przedstawię cię jej, w potrzebie poproszę, namówię...

W kwadrans po wymówieniu słów tych przez Marię Rudzińską dorożka wioząca dwie kobiety zatrzymała się przed jednym z najokazalszych sklepów przy ulicy Senatorskiej istniejących. Przed drzwiami opatrzonymi w szerokie zwierciadlane szyldy stały dwie karety, pięknymi bardzo końmi zaprzężone, ze stangretami w liberii na koźle.

Dwie kobiety wysiadły z dorożki i weszły do sklepu. Na odgłos dzwonka zawieszzonego u drzwi zza długiego stołu, całkiem prawie przedzielającego sklep na dwie połowy, wybiegł młody mężczyzna i z bardzo zgrabnym ukłonem zapytał je, czego żądają.

— Chciałabym widzieć się z panią Ewelina D. — rzekła Maria Rudzińska — czy jest w domu?

— Nie wiem z pewnością — z nowym ukłonem odpowiedział młody człowiek — ale natychmiast służę pani będę odpowiedzią.

Kończąc te słowa poskoczył ku przeciwległej ścianie i przyłożył usta do otworu tuby prowadzącej na wyższe piętra domu głos mówiący na dole.

— Wyszła, ale zaraz wróci — odpowiedziano z góry.

Młody człowiek poskoczył znowu ku dwom niedaleko drzwi stojącym kobietom.

— Raczą panie usiąść — wymówił wskazując stojącą w rogu sklepu aksamitem obitą kanapkę — albo — dodał wyciągając rękę w stronę wschodów zasłanych kobiercem — może na górę...

— Zaczekamy tutaj — odrzekła Maria Rudzińska i wraz z towarzyszącą jej kobietą usiadła na kanapie.

— Mogłybyśmy pójść na górę i doczekać się powrotu pani Eweliny w jej mieszkaniu — półgłosem mówiła Maria do swej towarzyszki — zdaje mi się jednak, że dobrze będzie, jeśli przed rozmową z właścicielką sklepu przyjrzą się pani zwykłym zajęciom osób sprzedających towary i zobaczą, na czym one polegają.

Widok, jaki oczom dwóch kobiet przedstawiał się w głębi sklepu, niezmiernie był ożywiony. Składało go osiem istot ludzkich głośno i z nadzwyczajnym zapałem mówiących i stopy materii rozwijanych, zwijanych, szeleszczących, połyskiem jedwabiu i wszystkimi barwami tego świata mieniących się i błyszczących. Z jednej strony długiego stołu, całkowicie zakrytego piętrzącymi się jedne na drugich lub rozwiniętymi i falującymi sztukami kosztownych materii, stały cztery kobiety ubrane w atłasy i sobole, właścicielki zapewne dwóch przed drzwiami sklepu oczekujących karet. Z drugiej strony stołu znajdowało się czterech mężczyzn... tak, znajdowało się, niepodobna bowiem dla określenia pozycji, w jakiej zostawali, użyć innego wyrazu jak ten, który określa pozycje ciał ludzkich wszelkie: stojące, chodzące, skaczące, przeginające się na wszystkie strony, wdrapujące się na wszystkie ściany, rozkładające ukłony wszelkich znaczeń i rozmiarów, dokonywające gesty najrozliczniejsze za pomocą najrozliczniejszych poruszeń rąk, piersi, głowy, ust, brwi, nawet włosów... Te ostatnie, jakkolwiek w zwykłym porządku rzeczy dość poślednią grające rolę w organizmie i powierzchowności człowieka, tu na szczególną zasługiwały uwagę.

Wypomadowane, wyperfumowane, połyskujące, woniejące, w misterne pierścienie poskręcane lub w pełnym znaczenia nieładzie na czoła opadające, stanowiły one arcydzieła sztuki fryzjerskiej i zaraz do bardzo wysokiego stopnia podnosiły wytworność postaci młodych sklepowych. Być może, iż postacie te nie były z przyrodzenia wielce wytwornymi, znać było nawet, że natura obdarzyła je niepospolitą siłą fizyczną, grubością i jędrnością mięśni, w zupełności upoważniającą do zajęcia się rodzajem pracy cięższym nieco, mniej wybrednym i przyjemnym, jak rozwijanie

jedwabnych tkanin, przesuwanie w dwóch palcach pajęczych koronek i wywijanie politurowanym, leciuchnym, zgrabniuchnym łokciem. Ramiona ich były szerokie, ręce duże, palce grube, twarze niezbyt nawet młodzieńcze, dojrzałością rysów i bujnością zarostu trzydziestkę z górą objawiające. Ale z jakimże pełnym najwybredniejszego smaku wytworem sporządzone były czarne tużurki, szerokie ramiona te obejmujące, jak wspaniale poniżej bujnych zarostów kolorowe krawaty rozwijały motyle swe skrzydła, jak wdzięcznymi gestami poruszały się te duże muskularne ręce, jakie gustowne, a zarazem bijące w oczy pierścienie zdobiły te grube palce! Nic na świecie, z wyjątkiem jednego śniegu, prześcignąć nie mogło w białości koszul, puszystymi żabotami i wypukłymi haftami wzdymających się na ich piersiach, nic na świecie, żadna struna, żadna sprężyna, żadna gutaperczana piłka ani gorsetem wykształcona kibić niewieścia iść nie mogła w zawody z giętkością poruszeń ich, sprężystością poskoków, ruchliwością oczu i doskonałym wyćwiczeniem języków.

— Kolor Mexique w białe ramaże! — mówił jeden z tych młodych panów rozwijając przed oczami dwóch kupujących kobiet jedną ze sztuk materii.

— Panie przełożą może Mexique pur! — zawołał drugi.

— Albo gros grains, vert de mer! jest to ostatniej mody...

— Oto są koronki Cluny do oszycia peplonów i wolan-tów — brzmiał dźwięczny głos męski przy drugim końcu stołu.

— Walansieny, alansony, briuze, imitacje, blondyny, iluzje...

— Fay koloru Bismarck! może trochę zbyt światły, zbyt voyant? Oto inny z ramażem czarnym.

— Bordeaux, couleur sur couleur! Pani żąda czegoś lżejszego?

— Mosambique! Sultan! kolor de chair! wyborny dla brunetek!

— Panie życzą sobie czegoś w pasy! W horyzontalne czy w perpendykularne?

— Oto jest materia w rejony! białe i różowe, efekt wyborny! bardzo voyant!

— Rejony, popielate, zupełnie dystyngowane!

— Rzut błękitny na białym fond! dla osób młodych!

— Koronka na puf albo na papiliona? Oto są barby — z brzegami denteles i unis — które panie wolą?

— Panie kupują Bismarck z ramażem? bardzo dobrze! ile łokci, piętnaście? nie! dwadzieścia?

— Panie przedkładają barby z brzegami dantelowanymi? gust wyborny! czy na papiliona?

— Dla pani rejony popielate, a dla pani rzut błękitny na białym fond? po ile łokci?

Urywki te rozmów prowadzonych przez czterech młodych panów z czterema kupującymi paniami składały się na pewien, jeśli tak wyrazić się można, szczebiot, który wychodząc z ust mężczyzn sprawiał efekt wcale niepospolity. Gdyby nie brzmienia głosów, które jakkolwiek przedziwnie ukształconymi modulacjami naśladowały miękko szelesty falujących materii i ciche szmery rozwijanych koronek, niemniej przecież wychodziły z piersi męskich, zaopatrzonych wyraźnie przez naturę w dość potężne płuca i doskonale zbudowane organa głosowe, niepodobna by nawet wpaść na domysł, aby owe ramaże, rejony, rzuty, fondy, barby, wolanty, peplony, papiliony, aby cały ten szczebiot niezrozumiały wszelkiemu nie poświęconemu uchu, niesłuchaną erudycję w dziedzinie gałganków rozwijający, wychodzić mógł w istocie z ust mężczyzn — mężczyzn, tych przedstawicieli poważnej siły, poważnego myślenia i poważnego pracowania.

— Pani Ewelina D. wróciła! — rozległ się po sklepie basowy głos, z otworu tuby wychodzący.

Maria Rudzińska szybko powstała.

— Zaczekaj tu pani chwilę — rzekła do Marty — rozmówię się wprzód sama z właścicielką sklepu, aby w razie odmowy z jej strony nie narażać pani na daremną przykrość. Jeżeli, jak mam nadzieję, wszystko pójdzie dobrze, przyjdę wnet po panią.

Marta z wielką wcięż uwagą przypatrywała się odbywa-

jącej się z dwóch stron długiego stołu manipulacji sprzedawania i kupowania. Po bladych jej ustach przesuwał się od czasu do czasu uśmiech; bywało to wtedy, gdy poskoki sklepowych panów stawały się najsprężystszymi, fryzury najruchliwstszymi i oczy najwymowniejstszymi.

Maria Rudzińska tymczasem przebiegła szybko wschody puszystym zasłane kobiercem, dwie duże sale ostawione dokoła oszklonymi szafami i weszła do bardzo pięknie umeblowanego buduaru, w którym po kilku zaledwie sekundach dał się słyszeć szelest szybko sunącej po posadzce jedwabnej sukni.

— Ach! c'est vous, Marie! — zawołał dźwięczny, pieszczoney, bardzo mile w ucho wpadający głosik niewieści i dwie białe zgrabne rączki pochwyciły w uścisk obie ręce Marii.

— Usiądźże, moja droga, usiądź, proszę cię! uczyniłaś mi prawdziwą niespodziankę! Jestem zawsze taką szczęśliwą, gdy cię widzę! Jakże ślicznie mi wyglądasz! A szanowny małżonek twój czy zdrow i zawsze tak wiele pracuje? Czytałaś ostatni artykuł jego o... o... nie pamiętam już doprawdy o czym... ale prześliczny! A miluchna Jadzia czy dobrze uczy się? Mój Boże! gdzie się to te czasy podziały, kiedyśmy z tobą, Maryniu, uczyły się także razem u pani Devrient! Nie wyobrazisz sobie, jak drogim mi jest wspomnienie tych chwil z tobą na pensji spędzonych!

— Zgrabna, wystrojona, trzydziestoletnia przeszło kobieta, z bardzo misternym kokiem z tyłu głowy, bardzo regularnymi, choć nieco już zwiędłymi rysami twarzy i z ruchliwymi oczami, ocienionymi brwią czarną i szeroką, wymówiła ten potok wyrazów szybko, bez odetchnięcia prawie, nie wypuszczając z dłoni swych rąk Marii, która usiadła przy niej na kozetce palisandrowej, kosztownym adamaszkiem obitej. Mówiłaby pewno dłużej jeszcze, ale Maria przerwała jej mowę.

— Droga Ewelino! — rzekła — przebac, że skrócę tym razem powitanie moje z tobą i nie wdając się w żadne wstępy zacznę rozmowę o interesie, który mi bardzo leży na sercu!

— Ty, Maryniu, masz do mnie interes? Mój Boże! jakże jestem szczęśliwą! mów, mów co najprędzej, w czym ci mogę być użyteczną! Gotowam dla ciebie pójść pieszo na koniec świata...

— O, nie tak wielkiej ofiary żądać od ciebie będę, kochana Ewelino! — zaśmiała się Maria, po czym dodała poważnie: — Poznałam niedawno pewną biedną kobietę, która wzbudziła we mnie bardzo żywe zajęcie...

— Biedną kobietę! — z żywością przerwała właścicielka bogatego sklepu — żadasz więc pewno, abym jej w czym dopomogła? O, nie zawiodłaś się na mnie, Maryniu! ręka moja otwartą jest zawsze dla tych, którzy cierpią!

Mówiąc ostatnie wyrazy sięgnęła do kieszeni i wydobywszy z niej spory pugildres z kości słoniowej miała już go otworzyć, ale Maria zatrzymała jej rękę.

— Nie o jałmużnę tu idzie — rzekła. — Osoba, o której chcę ci mówić, nie żąda i nie przyjąłaby może jałmużny... pragnie ona i poszukuje pracy...

— Pracy! — podnosząc lekko czarne brwi powtórzyła piękna pani Ewelina — cóż więc przeszkadza jej pracować?

— Wiele rzeczy, o których zbyt długo by mówić — poważnie odparła Maria i ujmując rękę dawnej towarzyszki nauk z prośbą i uczuciem w głosie dodała. — Do ciebie właśnie przybyłam, Ewelino, z prośbą, abyś jej dała możliwość pracowania.

— Ja... jej możliwość pracowania? a to jakim sposobem, moja droga?

— Abyś ją przyjęła za pannę sklepową.

Brwi właścicielki sklepu podniosły się wyżej jeszcze. Na twarzy jej malowały się zdziwienie i zakłopotanie.

— Droga Mario — zaczęła po chwili jękając się i z widocznym zmieszaniem — to do mnie nie należy... w ogóle interesami tyjącymi się sklepu zajmuje się mąż mój...

— Ewelino! — zawołała Maria — dlaczego mówisz przede mną nieprawdę? Mąż twój jest właścicielem sklepu wobec prawa, ale ty zarządzasz interesami wspólnie z nim, więcej nawet od niego, i wszyscy wiedzą dobrze, tym bardziej ja wiem, że znasz się na interesach wybornie i masz dużo

energii w przeprowadzaniu swych planów... dlaczegoż więc...

Ewelina nie pozwoliła jej dokończyć.

— A więc tak, tak — wymówiła z żywością — przykro mi było odmawiać twej prośbie, Maryniu, i chciałam wymówić się znalezionym naprędce pretekstem, zrzucić wszystko na mego męża... Postąpiłam źle, nie byłam od razu otwartą, wyznaję, ale też, droga Mario, życzenie twoje najzupełniej niepodobnym jest do spełnienia, najzupełniej... najzupełniej.

— Dlaczego? dlaczego? — pytała Maria z taką samą żywością, z jaką przemawiała do niej Ewelina.

Obie kobiety posiadały znać charaktery żywe i wrażliwe. — Ależ dlatego — zawołała Ewelina — że w sklepie naszym kobiety nie zajmują się nigdy sprzedażą towarów, tylko mężczyźni

— Ale dlaczegoż, dlaczego kobiety nie zajmują się tym, tylko mężczyźni? Czyż trzeba umieć po grecku albo móc giąć w palcach sztaby żelazne, aby...

— Ależ nie, nie! — przerwała znowu gospodyni domu — mój Boże, wprawiasz mię, droga Mario, w prawdziwy kłopot. Jakże ci ja odpowiem na twoje: dlaczego?

— Czy należysz do osób, które nie zdają sobie sprawy z powodów swoich czynności?

— Ależ naturalnie, że nie należę do takich osób... Gdybym do nich należała, nie mogłabym być, tak jak jestem, czynną współpracowniczką męża mego w przemysłowym przedsięwzięciu... Oto, widzisz, dlatego, że... że taki już zwyczaj.

— Znowu chcesz mię zbyć niczym, Ewelino, a jednak nie uda ci się to. Dawne koleżeństwo daje mi prawo do pewnej nawet względem ciebie niedyskrecji. Powiadasz, że taki jest zwyczaj... ależ zwyczaj każdy musi mieć swoje przyczyny, leżące w interesach lub okolicznościach osób, które go trzymają.

Gospodyni domu zerwała się z sofki i szybko parę razy przebiegła pokój. Długi ogon jej sukni szemał sunąc się po posadzce, na twarz jej, na której tu i ówdzie ukazywały się ślady niedobrze startego pudru ryżowego, wybił się lekki rumieniec zakłopotania.

— Przypierasz mię do muru! — zawołała stając przed Marią — przykro mi będzie wymówić to, co wymówię... ale przecież ciebie bez odpowiedzi pozostawić nie mogę. Odpowiadam ci: publiczność nasza nie lubi kobiet sprzedających w sklepie... przedkłada nad nie mężczyzn.

Maria zarumieniła się trochę i wzruszyła ramionami.

— Mylisz się, Ewelino — zawołała — albo mówisz znowu nieszczercze: to być nie może...

— A ja ci powiadam, że tak jest... młodzi, dobrze ułożeni, przystojni sklepowi sprawiają dobry efekt, pociągają do sklepów nabywców, a raczej nabywczynię.

Tym razem twarz Marii zapłonęła wstydem i oburzeniem. Ostatnie przemogło.

— Ależ to skardzieństwo! — zawołała. — Jeżeli mówisz prawdę, nie wiem już doprawdy, czemu ją przypisać...

— I ja nie wiem, czemu fakt ten przypisać należy, po prawdzie nie zastanawiałam się nigdy bardzo nad jego powodami... co mi do tego...

— Jak to... co ci do tego, Ewelino? — przerwała znowu Maria — czyż nie rozumiesz, że stosując się do tego, jak powiadasz zwyczajowi, schlebiasz jakiemuś złemu, nie wiem dobrze, jakiemu mianowicie, ale najpewniej złemu...

Właścicielka sklepu stanęła na środku pokoju i wpatrzyła się w Marię szeroko otwartymi oczami.

W oczach tych było wiele sprytu, nawet rozumu, w tej chwili jednak po powierzchni czarnych, błyszczących źrenic przelatywały powściągliwe uśmieški.

— Jak to? — wymówiła powoli — czyż sądzisz, Mario, że dla jakichś tam teorii powinnam antreprzyę naszą, jedyny fundusz nasz i naszych dzieci, narażać na straty, na niebezpieczeństwa?... Dobrze to wam, literatom, rezonować w ten sposób siedząc nad książką i piórem; my, przemysłowcy, musimy być praktycznymi...

— Czyliż przemysłowcy dlatego, że są przemysłowcami, uważać się mają za uwolnionych od uczuć i obowiązków obywatelskich? — zapytała Maria.

— Wcale nie! — z nowym uniesieniem zawołała właścicielka sklepu — toteż ani mąż mój, ani ja nie uchylamy

się nigdy od spełnienia tych obowiązków. Dajemy zawsze, ile tylko możemy...

— Wiem o tym, że jesteście dobroczynnymi, należycie do wszystkich 'składek i filantropijnych projektów, i zakładów, ale czyż to o jałmużnę tylko idzie, o filantropię? Jesteście ludźmi zamożnymi, pod pewnym względem wpływowymi, powinniście brać inicjatywę we wszystkim, co ma na celu poprawienie złych zwyczajów, prostowanie błędów społecznych!

Ewelina zaśmiała się z przymusem.

— Moja droga — rzekła — poprawianie i prostowanie należy do takich ludzi, jak mąż twój, na przykład... do uczonych, pisarzy, publicystów... My jesteśmy ludźmi ścisłego rachunku... najściślejsze zaś rachunki prowadzić musimy z publicznością, z jej gustami i wymaganiami... ona jest naszą panią, od niej zależy byt nasz... pomyślność i przyszłość naszego przedsięwzięcia...

— Tak — z mocą rzekła Maria — i dlatego powinniście schlebiać jej bezsensownym kaprysom i bardzo podejrzaną czystości i podejrzanego smaku sympatiom... Aby cię za to, coś powiedziała, zmartwić trochę przynajmniej, powiem ci, kochana Ewelino, że twoi sklepowi krygujący się i na kształt papug paplający o ramażach i papilionach, doskonale śmiesznie wyglądają...

Ewelina parsknęła śmiechem.

— Wiem o tym! — zawołała zanosząc się od śmiechu.

— I że gdybym była na twoim miejscu — ciągnęła Maria — doradziłabym tym panom, aby zamiast do jedwabiów i koronek wzięli się do pługa, siekiery, młota, kielni lub czegoś podobnego. Daleko by z tym przyzwoiciej wyglądał...

— Wiem o tym, wiem! — śmiejąc się wciąż wołała gospodyni domu.

— A na miejsce ich — kończyła Maria — wzięłabym kobiety, które zbyt mało mają sił fizycznych, aby orać, kuć i kamienice wznosić...

Ewelina przestała nagle śmiać się i z wielką powagą spojrzała na Marię.

— Droga Mariol — rzekła — ci ludzie potrzebują także zarobku i potrzebują go daleko niezbędniej, gwałtowniej niż kobiety... są oni przecież ojcami rodzin...

Tym razem Maria uśmiechnęła się.

— Moja droga — rzekła — muszę znowu odwołać się do praw koleżeństwa, aby ci powiedzieć, że machinalnie powtórzyłaś w tej chwili to, o czym mówiących słyszysz ciągle, a nad czym nigdy chyba nie zastanowiłaś się sama. Ci ludzie są ojcami rodzin, być może, ale kobieta, za którą wstawiam się do ciebie, ma także dziecię, które wyżywić i wychować musi. Gdyby mnie, na przykład, spotkało nieszczęście utracenia zanego i dobrego człowieka, który nie tylko daje mi szczęście sercu, ale pracą swą byt mi zabezpiecza, nie byłabym matką i odpowiedzialną opiekunką mojej rodziny? Gdybyście oboje, mąż twój i ty, za lat kilka zeszli ze świata, jak bywa często, nie pozostawili po sobie majątku, czyliż najstarsza córka wasza nie byłaby obowiązana do podtrzymania bytu, do starań około wychowania i pokierowania w świecie młodszego rodzeństwa?

Ewelina słuchała słów tych ze spuszczonymi oczami, trudno jej było widocznie zebrać się na odpowiedź. Nie mniejszej jednak trudności doświadczała w odrzuceniu bez dostatecznych powodów prośby kobiety, z którą stosunek miłym znać był jej sercu, a może i pochlebiał jej miłości własnej. Niepospolity spryt, malujący się w wyrazie twarzy jej i oczów, poddał jej po chwili nową odpowiedź.

— Gdyby zresztą i nie to — rzekła podnosząc oczy — znajdujeszże, droga Mario, przyzwoitym, aby młoda kobieta (protegowana twoja jest zapewne kobietą młodą) po całych dniach przebywała za jednym stołem z kilku młodymi ludźmi? Czy podobna okoliczność nie byłaby powodem zajęć zgubnych dla niej, przykrych dla mnie, a sklep mój narażających wobec publiczności na pewną kompromitację?

— Powtórzyłaś znowu, Ewelino, jeden z krążących po świecie komunałów. Obawiacie się, aby praca wspólnie z mężczyznami podejmowana nie nadwreżyła cnoty i honoru kobiety, a nie obawiacie się, aby tego samego nie uczyniła bieda. Protegowana moja, jak nazywasz osobę,

o jakiej mowa, przed trzema miesiącami utraciła męża, ma dziecię, które kocha, smutna jest, poważna, cała zajęta wyszukaniem dla siebie środków zarobkowania i, jak o tym przekonałam się sama, bardzo uczciwa. Czyliż możesz przypuścić, aby kobieta w takim zostająca położeniu, z takimi uczuciami, wspomnieniami, z taką trwogą o jutro, mogła najlżejszą zwrócić uwagę na twoich wyelegantowanych pomocników. Zaręczam ci, że żadna myśl płocha nie powstałaby w jej głowie.

— Droga Mariol — zawołała Ewelina — tego, co powiedziałaś, niczym dowieść niepodobna. Kobiety są tak płocze... tak płocze...

— Prawda — z powagą patrząc na dawną koleżankę swą odparła Maria — ale czyż odpychanie ich od wszelkiej pracy dobrym jest lekarstwem na płochość? Raz jeszcze powtarzam ci, Ewelino, że kobieta, o której mówię, nie jest teraz ani płocha, ani nieuczciwa... Jeżeli jednak żebrząc pracy, jak jałmużny, od wielu drzwi odejdzie tak, jak od twoich za chwilę odejść jej przyjdzie, nie ręczę wcale, jaką stanie się w przyszłości.

— Przypierasz mię znowu do muru! — zawołała właścicielka sklepu — a więc dobrze, wierzę ci, że osoba, którą się zajmujesz, jest wzorem i uosobieniem cnoty, powagi, uczciwości... ale czy również będziesz mi mogła zaręczyć, że posiada ona tego ducha porządku, tę umiejętność ścisłego rachunku, tę akuratność w stawianiu się do roboty i pełnieniu jej, która nie cierpi ani chwili zwłoki, ani cienia zaniedbania?

Teraz przyszła na Marię kolej zawahania się z odpowiedzią. Przypomniała sobie niepowodzenie, jakie z powodu niedostatecznej umiejętności spotkało Martę w nauczaniu i rysowaniu, przypomniała sobie własne słowa Marty, przed kilku godzinami do niej wyrzeczone: „Nic nie uzbroido mnie przeciw ubóstwu, nic nie nauczyło pracy”.

Maria milczała. Gospodyni domu, przenikliwa i żywa jak iskra, pochwyliła w locie chwilę zakłopotania i wahania się towarzyski.

— Mówiłaś przed chwilą, droga Mario, że osobom zaj-

mującym się sprzedażą towarów trzeba tylko umieć rozwijać, układać i mierzyć materie. Tak to się zdaje na pozór. W gruncie, powinny one posiadać wiele innych przymiotów, jak na przykład: przyzwyczajenie do jak najściślejszego porządku, jeden bowiem przedmiot nie na właściwym miejscu umieszczony, jedna fałda materii źle zagięta, jeden zwój koronki niedbale rzucony sprawia zamieszanie w sklepie lub przyczynia mu ważne straty. Trzeba także, aby sklepowi umieli rachować, i nie byle jak rachować, tam bowiem, gdzie w każdej godzinie, minucie niemal, wpływają sumy coraz nowe i coraz inne cyfry reprezentujące, opuszczenie jednego grosza stać się może przyczyną nieładu w rachunkach, którego my najpilniej strzec się musimy. Na koniec i przede wszystkim sklepowi powinni znać świat, ludzi, wiedzieć, w jaki sposób z kim się obejść, jak komu dogodzić, komu wierzyć na słowo, komu odmówić kredytu itd. Wszystkich przymiotów tych najczęściej pozbawione są kobiety. Nie przyzwyczajone do porządku, nieakuratne, dla przerachowania najdrobniejszej sumy nosić muszą w kieszeni tabliczkę mnożenia, niewinne trusiątka, tylko co odczepione od spódniczki mamy, zaledwie śmieją podnieść oczy na twarze kupujących, nie wiedząc, jak do nich przemawiać, co o każdym z nich myśleć, albo też, puszczane samopas, rozhukane, roztrzepane, pozują na lwice, wdzięczą się, mówią i postępują bez taktu narażając siebie na niesławę, zakład, w którym pracują niby, na kompromitację. Mężczyźni, jakkolwiek śmiesznymi wydają się z powodu układu swego i zajęć niezupełnie męskich, dla właścicieli sklepów są bardzo dogodnymi i użytecznymi. Dlatego może każdy sklep na większą skalę do usług swych używa mężczyzn, kto tylko zaś próbował zastąpić ich kobietami, źle na tym wyszedł. Kobiety, moja droga, nie są dziś jeszcze wychowane tak, aby pogodzić się mogły z surowością obowiązku, despotycznością cyfry i wymaganiami tak różnolitej społeczności, jaką jest społeczność kupujących.

Właścicielka sklepu przestała mówić i z pewnym triumfem patrzyła na swą towarzyszkę. Miała w istocie do triumfowania, słuszną przyczynę. Maria Rudzińska stała ze spuszczo-

czonymi oczami, z wyrazem smutku na twarzy i milczała. Ewelina wzięła ją za rękę.

— No, powiedz mi, droga Mario — rzekła — powiedz szczerze: czy możesz ręczyć za to, że twoja protegowana jest osobą porządną, akuratną, biegłą w rachunkach, pełną taktu i znajomości ludzi, tak jak ręczyłaś, że jest ona uczciwą?

— Nie, Ewelino — z trudnością wymówiła Maria — za to ręczyć nie mogę.

— A teraz — z coraz większą żywością nacierała na towarzyszkę właścicielka sklepu — powiedz mi, czy możecie wy, ludzie teorii i rozumowań, sprawiedliwie wymagać od nas, ludzi rachuby i praktyczności, abyśmy przez filantropię, przez, jak mówiłaś, inicjatywę obywatelską przyjmowali do zakładów naszych osoby do interesów niezdatne, a przez to narażali się na kłopoty, straty, całkowity może upadek naszych przedsiębiorstw? Powiedz mi, czy ktokolwiek może słusznie wymagać od nas tego?

— Zapewne, że nie — wyjąkała Maria.

— Widzisz więc — rzekła Ewelina — że powinnaś mieć za usprawiedliwioną, jeżeli życzeniu twemu zadość nie uczyniłam. Fakt wytrącania z dziedziny przemysłu kobiet ubogich jest zapewne smutny, ale na konieczność jego i nieuniknioność składają się tak kaprysy i niezupełnie jasne instynkty kobiet bogatych, żądnych rozrywki i Bóg wie jakich wrażeń, jak niedołętność, płochosć, płytkość kobiet ubogich potrzebujących pracy, a spełnić je nie umiejących. Kiedy pierwsze porozumnieją i wyszlachetnieją, a drugie okażą się lepiej przygotowanymi do pełnienia zajęć ścisłych i obowiązkowych, wtedy odprawię moich subiektów, a ciebie poproszę, abyś na ich miejsce wybrała dla mnie z liczby twych protegowanych panny sklepowe.

Przy ostatnich słowach Ewelina D. z cechującą ją żywością ucałowała Marię w oba policzki.

Stędząca w sklepie kobieta w żałobie usłyszała szelest sukni i kroków swej chwilowej opiekunki wtedy, gdy ta znajdowała się jeszcze u szczytu wschodów. Słuch jej był znać wyprężony, niecierpliwosć wielka. Powstała i zato-

nęła oczami w twarzy zstępującej ze wschodów kobiety. Po kilku sekundach patrzenia ręka jej zdrząła lekko i oparła się o poręcz krzesła. Ze spuszczonego oczu Marii i żywych rumieńców, które wystąpiły na jej policzki, odgadła wszystko.

— Pani! — zbliżając się do Marii rzekła z cicha — oszczędź sobie przykrości opowiadania mi szczegółów. Nie przyjęto mię... wszak prawda?

Maria potwierdzająco skinęła głową i w milczeniu uściśliła dłoń Marty. Wyszły ze sklepu i stanęły na szerokim chodniku ulicy. Marta była bardzo bladą. Można by rzec, że ogarnął ją chłód dolegliwy, bo drżała trochę pod futrzanym okryciem, i że wstydziła się czegoś głęboko, bo nie mogła oderwać oczu od kamieni chodnika.

— Pani — pierwsza ozwała się Maria — Bóg widzi, jak mocno boli mię niemożność dopomożenia ci na twojej trudnej drodze. Z jednej strony zapiera ci ją własne twe niedostateczne przygotowanie, z drugiej obyczaj, brak inicjatywy, zła sława, której używają kobiety pracownice...

— Rozumiem — z wolna i cicho wyrzekła Marta — nie przyjęto mię tu, bo opiera się temu zwyczaj, bo nie obudzam zaufania...

— Daj mi, pani, swój adres — unikając odpowiedzi rzekła Maria — może dowiem się o czymś dla pani pożytecznym, może będę kiedy mogła być jej pomocną...

Marta wymieniła nazwę ulicy i numer domu, w którym mieszkała, potem podnosząc oczy, w których malowała się gorąca wdzięczność, obie ręce wyciągnęła ku dobrej kobiecie, chcąc ująć i uściślić jej dłoń.

Zaledwie jednak ręce dwóch kobiet połączyły się, Marta usunęła żywo swoją i cofnęła się parę kroków. Maria Rudzińska wsunęła jej w dłoń tę samą kopertę z liliowymi brzeżkami, której ona dwa tygodnie temu przyjąć od niej nie chciała.

Marta stała chwilę nieporuszona, przedchwilowa bledość jej ustąpiła przed płomiennym rumieńcem.

— Jałmużna! — szepnęła — jałmużna! — i razem z tym wyrazem stłumiony jęk i głuche jakieś łkanie wstrząsnęły

jej piersią. Nagle zaczęła biec szybko w stronę, w którą poszła Maria. Fala przechodniów, płynąca nieustannie chodnikiem, zakrywała przed nią osobę, którą dogonić pragnęła, i utrudniała gonitwę. Na rogu ulicy dopiero Marta ujrzała skręcającą w przeciwną stronę dorożkę, a w niej siedzącą Marię.

— Panil — zawołała.

Głos jej był słaby, głuchy, przytłumił go, zdławił całym gwar i turkot uliczny.

Kobieta obdarzona litościwą ręką skierowała się ku Świętojezerskiej ulicy z zamiarem zapewne zwrócenia daru, który gorącym rumieńcem upokorzenia piętnował jej czoło. Krok jej, szybki zrazu i gorączkowy, po chwili jednak stawał się coraz powolniejszym i mniej pewnym. Czy wzruszenia moralne, jakich tyle doświadczyła w dniu tym, zachwiały jej fizyczną siłę? Czy może ogarnął ją namysł jakiś głęboki, jakieś wahanie się wewnętrzne wstrząsało zamiarem, który powzięła była przed chwilą? Ścisłała w dłoni delikatną kopertę, w której szeleściło parę wartościowych papierków, na rogu ulicy Świętojezerskiej stanęła. Stanęła i przez chwilę pozostała nieruchoma, ręką oparta o róg muru, z twarzą bladą i pochyloną nisko. Nagle zwróciła się w inną stronę i podążyła ku swemu mieszkaniu.

Duma i trwoga stoczyły w niej walkę ciężką, rozdierającą, w której pierwsza uległa drugiej. Młoda i zdrowa, niczym jeszcze nie sterana i nie znużona, łaknąca pracy wszystkimi siłami i pożądaniami swej istoty, Marta przyjęła jałmużnę. Nie przyjęłaby jej może, uczucie godności osobistej nie ustąpiłoby w niej może przed obawą nędzy, gdyby była samą na świecie. Ale u szczytu wysokiej kamienicy, pomiędzy czterema nagimi ścianami dziecię jej drżało od zimna, tęsknymi oczami spoglądało w okopconą głębię pustego komina, bledością twarżyczki, zapadnięciem policzków, chorobliwą szczupłością drobnego ciała wzywało obfitszego pożywienia...

I był to w życiu młodej kobiety dzień bardzo ważny, lubo ona z ważności jego nie zdawała sobie może dokładniej sprawy. Był to dzień, w którym po raz pierwszy przyjęła

ona jałmużnę, a więc skosztowała tego chleba, który gorzki dla starców i kalek, trującym jest i rozkładającym jadem dla młodych i zdrowych.

Tego wieczoru w izbie na poddaszu palił się na kominie wesoły ogień, przy stole nad talerzem pełnym rosołu siedziała Jancia. Po raz pierwszy od dawna dziecię to doświadczyło przyjemnego poczucia ciepła i zajaśniało ze smakiem starannie sporządzonej, posilnej potrawy. Toteż duże czarne oczy dziewczynki przenosiły się z kolei to na ozłoconą promieniem głębię kolumny, to na leżącą obok talerza kranjkę chleba powleczonej warstewką masła, a usta nie zamykały się ani na chwilę. Marta siedziała przed ogniem w postawie nieruchomej; profil jej rysujący się na czerwonym tle płomienia surowy był i zamyślony. Oczy jej błyszcząły suchym połyskiem, brwi zbiegły się i utworzyły pośród białego czoła głęboką bruzdę.

Przed nią, zawieszona w pustej przestrzeni, stała postać kobieca ze śmiertelną trwogą na twarzy, z rumieńcem wstydu na czole, z załamanyh rękami. Postać ta była własną jej postacią odbitą w zwierciadle jej wyobraźni.

„Tyżeś to jest — mówiła w myśli Marta do zjawiska wyłonionego z własnego jej ducha — tyżeś to jest tą samą kobietą, która tak pięknie przyrzekła sobie i dziecięciu swemu, że pracować będzie, że wytrwałością, energią drogę sobie pomiędzy ludźmi utoruje i miejsce pod słońcem zdobędzie. Cóżżeś od chwili owych bohaterkich postanowień uczyniła? Jak spełniłaś obietnicę w głębinach ducha daną drogim ceniom ojca tego dziecięcia?”

Postać niewieścia zakotłosała się w przestrzeni na wzór gałęzi wiotkiej, miotanej wichrami; za całą odpowiedź silnie załamała dłonie i drżącymi usty szepnęła:

— Nie potrafiłam! nie umiem!

„O niedołęzna istoto! — zawołała w myśli Marta — jesteście godną nosić nazwę człowieka, skoro głowa twa tak bezmyślna, że nie wie dobrze, co sądzić o sobie samej, ręce tak słabe, że nie zdołają osłonić opieką jednej drobnej, biednej główki dziecięcej! Za cóż więc ludzie szanowali cię kiedyś? Możeszże teraz szanować samą siebie?”

Zawieszona w przestrzeni postać kobieca rozplotła dłonie i zakryła nimi twarz swą, która schyliła się nisko.

Z suchych dotąd oczu Marty łzy potoczyły się gorącym strumieniem i bujnymi kroplami przeciekały przez palce, którymi sobie twarz przysłoniła.

— Ty płaczesz, mamol — zawołała mała Jancia i zerwała się z krzesła.

Stanęła przed matką, oczami w półzdziwionymi, w półrozczalonymi patrzyła na nią chwilę, aż nagle osunęła się na ziemię, drobnymi ramionami objęła jej kolana i pocałunkami okrywać zaczęła nogi jej i ręce. Marta odjęła dłonie od twarzy i kilka sekund siedziała jak skamieniała. Słodkie pocałunki ust dziecięcych paliły ją jak ślizgające się po ciele węże zgryzoty; gorąca miłość tej drobnej, u kolan jej klęczącej istotki rozrywała jej serce i na torturach rozciągała sumienie...

Pochyliła się, wzięła dziecię w objęcia, po kilka razy przycisnęła usta do czoła jej i policzków, potem zerwała się z siedzenia, poskoczyła ku oknu i upadając na kolana wzrok i ręce podniosła ku kawałkowi nieba, którego tło ciemne i głębokie błyszcząco gwiazdami.

— Boże! — zawołała głośno prawie — daj mi miejsce na ziemi! małe, biedne choćby miejsce, ale na którym pomieścić bym się mogła wraz z dzieckiem moim! Nie pozwól, abym omdlała i bezsilna po raz drugi jeszcze przyjąć musiała jałmużnę, abym nie spełniła macierzyńskiego obowiązku, utraciła spokój sumienia i szacunek dla samej siebie.

Zaiste! próby, które kobieta ta zanosila do nieba, nie-dorzecznie, niesprawiedliwie wymagającymi były, nieprawdaż, czytelnicy? Nie żądała ona wprawdzie zasiadać na ministerialnym krześle ani imienia swego głośić po świecie stugębną sławą, ani w wyuzdanej swobodzie używać zabronionych rozkoszy, ale pragnęła żyć i jedynej istocie, którą kochała na ziemi, życie kawałkiem chleba podtrzymać, pragnęła uniknąć doli żebraczej i móc przed samą sobą wstydem nie płonąć... Jakże ambitną była, zazdrosną, pożądliwą i w pożądaniach swych rozuzdaną! nieprawdaż?

Zwyciężyła siebie znowu, zgnębiła i do milczenia zmusiła szarpiące ją wstyd, żal, trwogę; powstała z klęczek ze spokojną twarzą, rozplakaną dziewczynkę wzięła na swe kolana i cichym, łagodnym głosem opowiadać zaczęła ulubioną jej bajeczkę. Posiadała ona w sobie widocznie sporą sumę sił ducha i woli. Miałyżby siły te pozostać dla niej bez użytku, posługiwać jej tylko w walkach uczuć, a giąć się kornie i upadać bezwładnie pod wrogą mocą niedołężności głowy i rąk, uciążliwości otaczających ją żywiołów zewnętrznych?

Przez całą długą noc zimową Marta nie zamykającymi się ani na chwilę oczami patrzyła w ciemność zalegającą izbę, machinalnie ścigała uchem spokojny oddech śpiącego obok niej dziecka i myślała nad tym, co jej jutro czynić wypada.

Nazajutrz około południa kobieta w żalobie wchodziła do niezbyt wielkiego, lecz bardzo wytwornego magazynu, za którego oknami zwieszały się bufiaste kobiece suknie i na kształt roju motylów najliczniejszymi barwami migotały zgrabne kapelusiki i malutkie czepeczki. Był to magazyn, w którym niegdyś Marta zaopatrywała się zwyczajnie w przedmioty do stroju potrzebne.

Na odgłos dzwonka, który zakołysał się u drzwi, z przyległego pokoju wyszła kobieta młoda jeszcze, z piękną kubicą i bardzo przyjemną twarzą. Spojrzawszy na Martę uśmiechnęła się i ukłoniła bardzo uprzejmie. Znać poznała dawną swą klientkę i widziała ją znowu u siebie z przyjemnością.

— Jakże dawno pani u nas nie była! — z jednostajnie uprzejmym uśmiechem rzekła właścicielka sklepu; wnet jednak szybkim spojrzeniem obrzucając żalobną suknię Marty dodała: — Mój Boże! słyszałam o nieszczęściu, które panią spotkało. Znałam przecież dobrze pana Świckiego!

Wyraz boleści przesunął się po twarzy młodej wdowy. Dźwięk nazwiska człowieka ukochanego i utraconego ostrzem sztyletu drasnął świeżą ranę jej serca. Nie wolno jej było przecież zatrzymywać się długo śród drogi i beczynnie słuchać rozmawiających w jej wnętrzu głosów żalów i wspomnień.

— Pani! — rzekła podnosząc oczy na stojącą przed nią kobietę — dotąd przychodziłam tu zwykle, aby nabywać różne rzeczy, teraz przychodzę do pani z prośbą, abys chciała nabyć u mnie czas mój i pracę rąk moich.

Mówiąc to poskromiła drżenie głosu i na bladych ustach swych wymogła uśmiech.

— Szczerze pragnęłabym stać się pani w czym użyteczną, ale... nie rozumiem dobrze znaczenia słów jej.

— Czy nie przyjmiesz mnie pani do zakładu swego na szwaczkę?

Właścicielka magazynu usłyszawszy słowa te nie wydała się wcale zdziwioną ani zmieszaną, nie zmieniła wyrazu twarzy pełnego uprzejmości i współczucia. Przez chwilę stała w milczeniu, namyślając się, potem wskazała ręką na drzwi przyległego pokoju i bardzo grzecznie rzekła:

— Chciej pani wejść do pracowni; będziemy tam mogli wygodniej pomówić o interesie.

Pracownia przytykająca do magazynu zawierała się w dość dużej sali, w której przy stole pod oknami umieszczonym, mnóstwem wstążek, koronek, piór, kwiatów i kawałków materii zarzuconym, siedziały trzy młode kobiety sporządzające kapelusze, stroiki na głowę i ozdoby do sukien delikatnego obrobienia wymagające. W głębi sali rozlegał się turkot dwóch maszyn do szycia, nad którymi pochylały się także dwie postacie kobiece, pośrodku zaś stał stół cały okryty tablicami kroju i wielkimi kawałami sukien, płócien, batystów, muślinów, pośród których błyszczały stalowe nożyce, w ołów oprawne kredki i ołówki. Wszystkie kobiety znajdujące się w pracowni pilnie zajęte były swymi robotami, jedna z nich tylko przy wejściu Marty podniosła głowę znad maszyny, popatrzyła na wchodzącą i spotkawszy się z jej wejrzeniem oddała jej grzeczny ukłon.

Właścicielka magazynu wskazała Marcie krzesło, przy jednym ze stołów umieszczone, po czym zwróciła się do młodej panny, która w tej chwili właśnie przypinała bogate strusie pióro do aksamitnego kapelusza.

— Panno Bronisławo! — rzekła — pani ta życzy sobie

pracować u nas. Zdaje mi się, że okoliczności składają się bardzo szczęśliwie. Wczoraj właśnie mówiliśmy z panią, że jedna jeszcze para rąk byłaby nam bardzo użyteczna.

Panna w ten sposób wezwana i widocznie pomiędzy pracownicami magazynu pierwsze miejsce zajmująca powstała i zbliżyła się do stołu.

— Tak, pani — rzekła — od oddalenia się panny Leontyny jedna z maszyn pozostaje bezczynną. Panna Klara i panna Krystyna nie mogą wydołać szyciu. Mnie także nie sposób zająć się krojem tyle, ile trzeba, ponieważ muszę dyrygować wyrabianiem kapeluszy. Robota opóźnia się, zamówienia nie spełniają się we właściwej porze.

— Masz pani zupełną słuszność — po chwili namysłu odpowiedziała właścicielka sklepu — myślałam już o tym sama. A ponieważ pani Świcka przybyła tu z chęcią pracowania u nas, zdaje mi się, iż nic nie przeszkadza, abym mogła spełnić życzenie osoby, która w innej porze była na nas łaskawą.

Panna Bronisława skłoniła się grzecznie.

— Zapewne — rzekła — jeżeli tylko pani zna się na kroju...

Słowa te wymówione były tonem pytania.

W tej samej chwili jedna z maszyn umilkła, a siedząca przy niej młoda kobieta, podniósłszy głowę, z widoczną uwagą zaczęła przysłuchiwać się rozmowie.

Trzy osoby stojące przy wielkim stole pośrodku sali umieszczonym milczały chwilę. Właścicielka magazynu i jej pomocnica z wyrazem pytania patrzyły na Martę; Marta wiodła wzrokiem po rozpostartych na stole tablicach kroju, od góry do dołu zakreślonych czarnymi linijkami, kropkami, wężykami, które biegnąc wzdłuż i wszerek arkusza, krzyżując się, zbiegając, rozbiegając, zakreślając najrozmaitsze figury geometryczne, przedstawiały nieumiejętnemu oku chaos do rozwikłania niepodobny.

Powieki Marty podniosły się z wolna i ciężko.

— Nie mogę — rzekła — przyznać się do umiejętności, której nie posiadam, byłoby to z mej strony nieuczciwością i zresztą nie przydałoby się na nic. Krój znam trochę, ale

bardzo mało, o tyle, aby móc wykroić kołnierzyk, może koszulę... sukien, okryć, a nawet wytworniejszej trochę bielizny krajać nie potrafię.

Właścicielka magazynu milczała, ale po ustach panny Bronisławy przeleciał niechętny trochę uśmiezek.

— To dziwne! — rzekła zwracając się do naczelniczki zakładu — mnóstwo osób żąda zajmować się szyciem, a tak trudno znaleźć kogoś, kto by był biegłym w krajaniu. Jest to przecież podstawa całej roboty.

Tu biegła i niewątpliwie wysoko opłacana szwaczka zwróciła się do Marty.

— Co zaś do samego szycia? — wymówiła pytającym znowu tonem.

— Szyć umiem nieźle — odrzekła Marta.

— Na maszynie, zapewne.

— Nie, pani, na maszynie nie szyłam nigdy.

Panna Bronisława zeszywniała, założyła ręce na piersi i stanęła w milczeniu. Właścicielka magazynu wyglądała też w tej chwili sztywniej i chłodniej trochę niż wprzód.

— Prawdziwie... — zaczęła po chwili, jękając się i z trochę zmieszania — jestem prawdziwie zmartwioną... potrzebo-wałam głównie osoby zdatnej do kroju... zresztą i do szycia, ale na maszynie... u nas nie szyje się inaczej jak na maszynie.

I znowu, pomiędzy kobietami stojącymi przy oknie panowała chwila milczenia. Usta Marty drżały trochę, na twarzy jej gorące rumieńce mieniły się bladeścią.

— Pani — wymówiła podnosząc oczy na właścicielkę magazynu — czy nie mogłabym nauczyć się... pracowałabym tymczasem darmo... byleby móc nauczyć się...

— To niepodobna! — ostrym trochę tonem zawołała panna Bronisława.

— To trudno — przerwała właścicielka magazynu i grzeczniejsza od swej domownicy, mówiła dalej: — Sporządzamy różne ubiory, po większej części na zamówienia, z materiałów kosztownych, do nauki i wprawiania się służyć nie mogących... roboty wykonywać musimy śpiesznie, bo i tak z przyczyny niedostatku doskonale ukształconych

pracownic czujemy trochę brak dostatecznej ilości rąk i opóźniamy się... co przynosi nam straty i nieprzyjemności. Dlatego możemy przyjmować takie tylko pracownice, które są dostatecznie już przygotowanymi... Bardzo żałuję, niech pani wierzy, iż bardzo żałuję nie mogąc spełnić jej żądania...

Wtedy dopiero, gdy właścicielka magazynu kończyła te słowa, maszyna, która umilkła była przy rozpoczęciu się rozmowy, zaturkotała znowu. Schylona nad nią kobieta łzę miała w oku.

Marta po wyjściu z magazynu skierowała się nie ku mieszkaniu swemu, ale w inną zupełnie stronę. Z wyrazu twarzy jej poznać by można, że szła bez celu, ręce jej zasunięte były w rękawy okrycia i ściśle z sobą zwarte. Marta doświadczała wciąż bezwiednego, lecz gwałtownego pragnienia podniesienia w górę splecionych dłoni i ściśnięcia nimi głowy, która płonęła i ciężęła jej niewymownie. W głowie tej była zrazu jedna tylko myśl powtarzająca się z uporczywą nieustannością i nadzwyczajną szybkością: „Nie umiem!” Myśl ta rozstrzeliwała się na tysiące błyskawic, na tysiące sztyletów, które przeszływały mózg, kłuły w skroń i ostrzami spuszczały się aż na dno piersi. Po kilku minutach Marta pomyślała: „Zawsze i wszędzie to samo...”

Przez chwilę nie myślała znowu o niczym, a raczej bezwiednie już, ale nieustannie powtarzała w myśli: „Nie umiem!”

Nagle wróciła do przedchwilowego twierdzenia i dodała doń pytanie: „Co to jest, co idzie za mną zawsze i wszędzie, wypycha mię zewsząd?...”

Potała dłonią czoło i sobie samej odpowiedziała:

— Wszędzie i zawsze idę ja sama ze sobą i sama siebie wypycham zewsząd...”

Zdobyła się na wysilenie wielkie, aby móc myśleć, i sięgnęła w przeszłość, poczynając od owej chwili, w której w salonie informacyjnego biura siadała do fortepianu, aby niefortunnie zagrać niefortunną Prière d'une Vierge, aż do ostatniej, w której stojąc w pracowni bogatego magazynu na zadawane jej pytania odpowiadać musiała: „Nie potrafię!...”

„Zawsze to samo! — powtórzyła w myśli — wszystkiego po trochu, nie ugruntowanie i do dna... wszystko dla ozdoby lub drobnych wygódek życia, nic dla jego użytku...”

Kilkanaście słów tych wymożonych na umyśle oplątanych, jak siecią, jednym słowem: „Nie umiem!” zmęczyły ją. Dnia tego wychodząc z domu była tak stroskana, tak zajęta, rozgorączkowaną niemal nowym powziętym planem, że nie pomyślała o przyjęciu posiłku. Patrząc na Jancię wypijającą zwykłą poranną szklanekę mleka czuła nawet pewien wstręt do jedzenia. Targana wciąż i raniona w niej struna moralna oddziaływała na fizyczną. Nogi chwiały się pod nią, serce uderzało z mocą i szybkością niezwykłą, chociaż szło z wolna. Teraz tylko po głowie jej szamotało się nowe pytanie, zawarte zrazu w krótkiej formule: „Dlaczego?” Po chwili do wyrazu tego przyrastać poczęły inne wyrazy, bezładne zrazu, potem szykujące się w pewien logiczny wątek myśli. „Dlaczego... tak jest? — pytała samą siebie młoda kobieta. — Dlaczego ludzie wymagają ode mnie tego, czego nikt mi nie dał? Dlaczego nikt mi nie dał tego, czego dziś ludzie wymagają ode mnie?”

W tej chwili Marta drgnęła. Uczuła, że ktoś dotknął z lekka jej ramienia.

— Czy pani pozwoli, abym przypomniawszy się jej znajomości? — zadzwieczał za nią łagodny, nieśmiały nawet trochę głos kobiety.

Marta odwróciła się i zobaczyła tę samą kobietę, która przy wejściu jej do pracowni magazynu podniosła głowę znad maszyny i oddała jej grzeczny ukłon, a potem szyć przestała i z uwagą przysłuchiwała się rozmowie o losie jej stanowiącej. Była to osoba nieładna i wcale niepokazna, dość zgrabna jednak, jak każda prawie warszawianka, bardzo porządnie ubrana, z wyrazem rozsądku i dobroci na ospą oszpeconej twarzy.

— Pani nie poznaje mię może — postępując obok Marty mówiła panna — jestem Klara, pracuję w magazynie pani N. od pięciu lat blisko, szyłam kiedyś suknie dla pani i odnosiłam je pani na Graniczną ulicę.

Marta patrzyła na postępującą obok niej kobietę omglonymi oczyma.

— W istocie, przypominam sobie — wymówiła po chwili z trudnością.

— Przepraszam panią, że jestem tak śmiała i zaczepiam panią na ulicy — ciągnęła dalej Klara — ale pani byłaś dla mnie kiedyś tak dobrą i grzeczną... Miałas taką śliczną, malutką córeczkę... Czy córeczka pani...

Zawahała się z dokończeniem pytania, ale Marta myśl jej odgadła.

— Dziecko moje — rzekła — żyje...

Ostatni ten wyraz wyrwał się z ust jej mimo woli zapewne, bo szybko i niewyraźnie, zadźwięczała w nim jednak gorycz taka, jakiej dotąd w głosie jej nie było nigdy. Klara milczała chwilę, jakby namyślając się, potem rzekła:

— Słyszałam o śmierci pana Świckiego i zaraz pomyślałam, jak też to pani da sobie radę na świecie... a jeszcze z dzieckiem. Ucieszyłam się bardzo zobaczywszy panią przychodzącą do naszego magazynu i myślałam, że pani pracować z nami będzie. To byłoby bardzo dobrze, bo pani N. jest dobrą i płaci nieźle... panna Bronisława tylko trochę kapryśna i czasem fafry stroi, ale kiedy człowiek biedny, to musi przecież znosić czasem cokolwiek... byle robota szła. Toteż było mi przykro, bardzo przykro, jak posłyszałam, że pani N. odmawia pani roboty... Przypomniałam sobie zaraz moją biedną Emilkę...

Ostatnie słowa szwaczka wymówiła ciszej i jakby do siebie, ale Marta uderzona nimi była więcej niż wszystkimi poprzedzającymi.

— Któż to taki ta biedna Emilka, panno Klaro? — zapytała młoda wdowa.

— To moja siostra cioteczna, o parę lat ode mnie młodsza. Moja matka i jej matka były rodzonymi siostrami, ale jak często bywa, niejednostajne miały dole. Jej matka wyszła za urzędnika, moja za rzemieślnika. Kiedy dorastałyśmy obie, Emilka była panienką, a ja prostą dziewczyną. Do tego jeszcze ona była ładną, a mnie ospa do reszty już zespeciała, kiedym jeszcze miała lat dwanaście. Toteż ciotka, bywało,

mówiła zawsze: „Emilce dam edukację, a potem za mąż ją wydam dobrze”. Trzymała do niej guwernantkę na początki, potem na jakąś małą pensyjkę posyłała. Moja matka martwiła się naprzód okropnie, że mię ospa tak zespeciała, ale ojciec nie bardzo martwił się. „To i cóż? — mówił — brzydka będzie, za mąż nie pójdzie, wielka bieda! Albo to jeden mężczyzna nie żeni się, a dlatego żyje na świecie i nie bardzo mu źle”. Moja matka odpowiadała: „Mężczyzna to co innego! Broń Boże czego na nas, to Klara nie wyszedłszy za mąż z głodu umrze!” Ale ojciec, zamiast martwić się tak jak matka, śmiał się, a czasem i gniewał się. „Oj, wy baby, baby! — mówił — u was tak, jak tylko za mąż nie pójdzie, to i z głodu umrze! Albo to dziewczyna rąk nie ma, czy co?” A trzeba wiedzieć, że sam był cieślą i lubił chwalić się swoją siłą. Bywało, mówił: „Ręce, panie, to grunt! Głowę Pan Bóg jednemu daje, drugiemu nie daje, ręce każdy ma!” Miałam tedy lat trzynaście, kiedy rodzicę zaczęli posyłać mię na naukę do szwalni; naturalnie, że płacili za mnie, i dużo płacili, ale też chwała Bogu nauczyłam się wszystkiego, czego trzeba...

— I długo pani uczyłaś się? — zapytała Marta, która z coraz większym zajęciem słuchała prostego opowiadania szwaczki.

— O, uczyłam się dobre trzy lata! — odpowiedziała panna Klara — a i potem jeszcze od razu zarabiać nie mogłam, tylko cały rok pracowałam darmo w magazynie, aby tylko wprawić się w krajanie, w szycie na maszynie i nabrać gustu. Teraz za to umiem już tyle, że mogłabym sama założyć szwalnię albo magazyn, gdybym miała pieniędzy, bo na to trzeba mieć choć trochę pieniędzy... Ale trzy lata temu ojciec nas odumarł, oprócz mnie zostało przy matce dwóch młodszych braci, z których jeden terminuje u stolarza, a drugi do szkół chodzi... za naukę obydwóch trzeba płacić, a i matce, niemłodej już kobiecie, jaką taką dać wygodę...

— I pani sama pracujesz na to wszystko?

— Prawie sama, po ojcu został się nam tylko mały domek na Solnej, w którym mieszkamy... no, to już za mieszkanie

płacić nie potrzebujemy... Zresztą, pani N. płaci mi dobrze i jakoś tym, co od niej biorę, łatamy się jako tako, żeby i żyć, i braci w świecie pokierować.

— Mój Boże! — zawołała Marta — jakaś pani szczęśliwa!

— Tak — odrzekła Klara — po prawdzie, nie bardzo to wesołe życie siedzieć tak po całych dniach przy robocie i tylko w niedzielę albo święto na świat boży wychodzić, ale kiedy pomyślę sobie, że robota moja daje sposób do życia matce i jaką taką przyszłość zapewnia braciom, czuję się bardzo szczęśliwą i wielką mam litość nad tymi, którzy, jak, bywało, ojciec mój mówił, ani głowy, ani rąk nie mają. Com się ja nie namartwiła nad tą Emilką, com ja nie napłakała się z jej przyczyny...

— Czy nie wyszła za mąż? — zapytała Marta.

— Ot, tak jakoś się stało, że choć miała edukację i była ładną, nie wyszła. Ojciec jej stracił posadę i ze zgryzoty zaniemógł; do tego czasu jeszcze leży w łóżku biedaczysko, ni to żywy, ni to umarły. Matka także chorowita i, prawdę mówiąc, kapryśna kobieta, zgryźliwa; oprócz Emilki ma jeszcze w domu młodszą córkę i syna, z którymi nie wie, co ma zrobić, bo za naukę wszędzie płacić trzeba, a tu w domu bieda, głód, nie tylko co... Emilkę ciotka zaczęła od razu pędzić do pracy, jak tylko zubożeli, ale oprócz tego, że dziewczynie rozbałamuconej balami i strojami nie chciało się wziąć do pracy, pokazało się, że ta wielka edukacja, którą jej ciotka dawała, nie dała jej ani głowy, ani rąk. Chciała być nauczycielką, ale gdzie tam! brząkać, brząka na fortepianie i po francusku podobno niezłe mówi, ale jak przyszło do uczenia, ani w zęb... nikt jej nie chciał... dostała była dwie lekcje po 40 groszy za godzinę, a i te prędko jakoś straciła... Zresztą, nic dobrze nie umie... Gdzie tylko udała się prosząc o robotę, odprawiali ją z kwitkiem. A tu matka w domu gryzie za próżniactwo, chory ojciec w łóżku stęka, brat baki zbija po ulicach i tylko patrzeć, jak złodziej z niego będzie, siostra z nudów i ze złości kłóci się z całą rodziną, jeść czego nie ma ani w piecu czym zapalić... Emilka ma dobre serce, toteż martwiła się okrutnie,

wymizerniała, myśleliśmy, że już suchot dostanie, aż dwa miesiące temu dopiero znalazł się zarobek...

— Znalazł się jednak! — zawołała Marta i odetchnęła głęboko, jakby z piersi jej zsunął się tłoczący jakiś ciężar. Gdy słuchała historii biednej, nieznanej dziewczyny, zdawało się jej, że ktoś opowiada dzieje kilku ostatnich przez nią samych przeżytych miesięcy. Podobieństwo smutnej doli tej do własnego jej losu budziło w niej palące współczucie i ciekawość. Klara przecież milczała chwilę. Po namyśle dopiero i lekkim jakby wahaniu się nieśmiałym trochę głosem zaczęła mówić:

— Kiedy pani wyszła z naszego magazynu, starałam się ją dopędzić na ulicy... Na szczęście jest to pora, w której co dzień idę do domu na dwie godziny, aby obiad zjeść i matce w uporządkowaniu kuchni dopomóc, potem wracam znowu na pięć godzin do magazynu... Otóż wybiegłam za panią, aby pani powiedzieć, że jeżeli... jeżelibyś pani wypadkiem... w takim samym znajdowała się położeniu, w jakim dwa miesiące temu była moja biedna Emilka, to może... może byś pani zgodziła się pracować tam, gdzie ona teraz pracuje...

Nieśmiałość, z jaką słowa te wymówionymi były, uprzedzała już z góry, że zawierająca się w nich propozycja nie była arcyświetną. Ale Marta szybko i jakby z długiego snu zbudzona pochwyciła rękę szwaczki.

— Panno Klaro — zawołała — mów pani, mów prędzej, na wszystko zgodzę się, na wszystko na świecie! jestem przywiedziona do ostateczności.

Głos jej, gdy mówiła, stłumiony był i drżący, dłoń z konwulsyjną niemal siłą ścisnęła rękę szwaczki.

— Ach, mój Boże! — zawołała z kolei panna Klara — jakże to szczęśliwie, że mi ta myśl przyszła do głowy, skoro pani w takim przykrym zostajesz położeniu, a jeszcze z dzieckiem... z tym ślicznym aniołkiem, z którym pani pozwalałaś mi czasem bawić się, kiedy odnosiłam suknie jej na Graniczną ulicę. Chociaż znowu doprawdy... niezazdrosny to los tych kobiet, które u Szwejcowej pracują...

— Któż to jest ta Szwejcowa? gdzie mieszka? czym zaj-

muje się? — pytała Marta z gorączkową ciekawością i niepokojem.

— Szwejcowa, pani, ma przy ulicy Freta zakład szycia, w którym sporządzają najrozmaitszą bieliznę. Ale to dziwny zakład, doprawdy, obszerny i bardzo nawet zamożny, pracuje w nim około dwudziestu kobiet, a ani jednej nie ma maszyny. Od sześciu z górą lat we wszystkich szwalniach i magazynach nie szyją inaczej jak na maszynach, ale Szwejcowa nie kupiła ani jednej, krojem zajmuje się sama z córką, a do szycia przyjmuje takie tylko robotnice, które na maszynie szyć nie umieją, a roboty na gwałt potrzebują... toteż płaci im, płaci... aż wstyd i żal o tej zapłacie mówić...

— Wszystko to nie zmienia postanowienia mego, panno Klaro — przerwała żywo Marta — ja także, tak jak cioteczna siostra twoja, nic dobrze nie umiem i muszę iść tam, gdzie wymagają najmniej.

— I dają najmniej — ze smutkiem dokończyła Klara. — Zapewne — mówiła dalej — lepiej przecież mieć coś jak nic. Skoro więc pani życzy sobie tego, mogę panią zaprowadzić do Szwejcowej.

— Daj mi pani tylko dokładny adres, pójdę sama. Wszak nie masz wiele czasu do stracenia.

— Nie, pójdę z panią; spóźnię się tylko na obiad, ale to nic nie szkodzi; matka moja nie będzie niespokojna o mnie, bo zdarza się czasem, że zatrzymują mię w magazynie dłużej niż zwykle, gdy pilna jest robota. Zresztą i Emilki dawno już nie widziałam; pójdziemy razem.

Marta nowym uściskiem ręki podziękowała poczciwej szwaczce i obie kobiety poszły drogą prowadzącą ku ulicy Freta. Po drodze Klara mówiła do Marty:

— Szwejcowa jest kobietą niemłodą i różnie ludzie o przeszłości jej opowiadają. Założyła szwalnię lat temu już ze dwadzieścia, ale nieszczególnie jej szło, dopóki maszyn do szycia nie było. Odkąd zaczęto szyć na maszynach, Szwejcowa wzbogaciła się. Może to komu wydać się dziwnym, a jednak tak jest. Słyszałam, jak pani N. rozmawiając z panną Bronisławą mówiła, że Szwejcowa eksploatuje biedne robotnice, które mało umieją i z wielkiej biedy

muszą pracować za byle co. Nie rozumiem dobrze, co ten wyraz znaczy, ale zdaje mi się, że jeżeli Szwejcowa krzywdzi biedne kobiety, nie tylko jej w tym wina, ale jeszcze i kogoś innego...

Tu szwaczka umilkła i zamysliła się. Nie umiała widocznie zdać sobie dokładnej sprawy z jakiejś myśli, która świtała w jej głowie.

— Nie wiem już doprawdy, czyja to wina, ale proszę pani, dłaczegóż są na świecie kobiety takie, które można krzywdzić? co ja mówię! które chodzą i proszą jeszcze, aby je krzywdzono, byleby tylko dano im kawałek czarnego chleba?

Marta przyspieszała wciąż kroku; szła tak prędko, że Klara zaledwie podążać za nią mogła. Niebawem też znalazły się na ulicy Freta.

— Tu, pani — rzekła Klara wchodząc w niską, wilgotną bramę jednej z kamienic.

Z bramy weszły na dziedziniec wąski, długi, ciemny, z czterech stron otoczony wysokimi, starymi i wilgotnymi murami, z podługowatym kawałkiem chmurnego nieba w górze. Pochmurno musiało być tam zawsze i duszno, bo nad wysokimi murami znajdowała się znaczna ilość kominów, z których wychodzący dym, party ku dołowi wilgotnym powietrzem, kłębił się w ciasnym zamknięciu i grube szare opony rozpościerał w różnych stronach dziedzińca.

W najdalszej głębi dziedzińca, naprzeciw bramy, nad drzwiami nadpróchniałymi nieco i kilku wschodkami nad poziom wyniesionymi wisiała wąska i długa tablica, na której brudnoszafirowym tle wielkie żółte litery składały następujący napis:

ZAKŁAD SZYCIA BIELIZNY MĘSKIEJ I DAMSKIEJ B. SZWEJCOWEJ

Klara prowadząc za sobą Martę weszła do wielkiej sieni, w której śród głębokiego zmroku widać było wschody prowadzące na wyższe piętra domu, i otworzyła jedno z drzwi znajdujących się po obu stronach sieni. Gęsta fala stęchłego, wilgotnego powietrza uderzyła twarze obydwóch wchodzą-

cych kobiet. Weszły jednak i znalazły się w izbie obszernej więcej długiej niż szerokiej, oświetlonej trzema oknami na dziedziniec wychodzącymi i do połowy białą muslinową firanką przysłoniętymi, z głębią zatapiającą się w zupełnym prawie zmroku. Sufit był tam niski, belkowany i okurzony, podłoga z prostych nie pomalowanych desek, ściany tynkowane, spopielaciałe już nieco od pyłu, w kątach zaś i powyżej podłogi wielkimi czarnymi i błękitnymi plamami wilgoci okryte.

Spośród szarego tła smutnej tej izby mętnymi barwami, lecz z wyraźnymi kształtami występowały mnogie postacie kobiece, to grupami wkoło okien i stołów umieszczone, to pojedynczo siedzące w pobliżu ogromnych szaf, zza których szyb widać było stosy płócien uszytych lub do szycia przygotowanych. Pośrodku stał wielki, na czarno pomalowany stół, a nad nim pochylały się dwie kobiety z nożycami w jednym ręku, z arkuszem szpilek nasadzonym na drugim.

Znalazszy się o parę kroków od progu Klara skinęła głową kilku robotnicom, które na nią wzrok podniosły, potem zwróciła się do stojącego pośrodku izby stołu.

— Dzień dobry, pani Szwajc — rzekła.

Jedna ze stojących przy stole kobiet zwróciła się twarzą ku przybyłej i uśmiechnęła się bardzo uprzejmie.

— A, to pani, panno Klaro! przychodzisz zapewne, aby odwiedzić swoją siostrę. Panno Emilio! panno Emilio!

Na dźwięk dwukrotnie powtórnego imienia jedna z kobiet samotnie i w cieniu siedzących podniosła głowę. Była znać tak zajęta robotą swą lub tak pogrążona w myślach, że nic wcale nie widziała, co się wkoło niej działo. Teraz spojrzała przed siebie mętnymi oczami i zobaczyła Klarę. Nie zerwała się jednak z siedzenia i nie poskoczyła ku siostrze. Powstała z wolna, położyła robotę swą na stołku i z wolna postąpiła kilka kroków.

— A! to ty, Klaro! — rzekła, przy czym wysunęła ku przybyłej rękę białą, bardzo chudą, z palcami igłą nakłutymi.

Teraz całą postacią wysunęła się na światło przez okna płynące, a Marta orzuciwszy ją spojrzeniem poznała w niej ową młodą dziewczynę, którą spotkała na wschodach infor-

macyjnego biura wtedy, gdy przybywała tam po raz pierwszy. Emilia tę samą nawet co wtedy miała na sobie suknię, tylko że przez trzy upłynione miesiące suknia wyszarzała się bardziej, świeciła tu i ówdzie naprawkami i łataniami, a twarz młodej dziewczyny pobladła i schudła. Odzież i powierzchowność jej objawiały zarazem, że życie przedwcześnie zaczęło i szybko odbywało na niej złowrogi proces niszczenia.

Dwie siostry podały sobie ręce, przywitanie ich było krótkie i milczące. Emilia odeszła na opuszczone przed chwilą swe miejsce, Klara zwróciła się do naczelniczki zakładu:

— Pani Szwajc! — rzekła — oto jest pani Marta Świcka, która życzy sobie znaleźć u pani robotę.

Szwajcowa od kilku już chwil patrzyła na Martę, ale wyrazu oczu jej nie można było dojrzeć, bo ukryte one były za okularami. Głos jej przecież brzmiał bardzo uprzejmie, słodko, nieledwie czule, gdy na odezwę Klary odpowiedziała:

— Bardzo wdzięczną jestem pani... jakże? pani Świckiej, że pomyślała o skromnym moim zakładzie, ale doprawdy... tyle już mam robotnic, że nie wiem, czy będę mogła...

Marta chciała coś mówić, ale Klara pociągnęła z lekka rękaw jej okrycia i szybko wpała jej w mowę.

— Moja pani Szwajc — rzekła z rezerwowością osoby zupełnie niezależnej a poniekąd wyższość swą czującej — po co tu daremnie słowa tracić? To samo mówiłaś pani Emilce, kiedy po raz pierwszy tu przyszła, a jednak przyjęłaś ją... całą rzecz w tym, żeby zgodzono się na jak najmniejszą opłatę, nieprawdaż?

Szwajcowa uśmiechnęła się.

— Panna Klara zawsze żywego temperamentu — rzekła z jednostajną słodyczą — porównywasz pani opłatę, jaką pobierają robotnice u pani N., z tą, jaką dać może biedny nasz zakład, i dlatego wydaje się pani, że płacimy zbyt mało...

— O tym, co mi się wydaje, kochana pani Szwajc, wiem już ja sama — przerwała Klara — chciałabym tylko, abyś

pani jak najprędzej powiedziała, czy pani Świcka znajdzie tu dla siebie robotę, bo w przeciwnym razie pójdziemy gdzie indziej...

Szwajcowa spłotła ręce na piersi i spuściła głowę.

— Miłość bliźniego — zaczęła z cicha i przewlekłe — miłość bliźniego nie pozwala odmawiać pracy osobie...

Klara uczyniła niecierpliwe poruszenie.

— Moja pani Szwajc — rzekła — miłość bliźniego nie ma tu nic do czynienia. Pani Świcka ofiaruje pani swoją pracę, za którą pani płacić jej będziesz, ot i koniec. To tak samo, jak kiedy człowiek przychodzi do sklepu, bierze towar i kładzie za niego pieniądze na stół. Po co tu miłość bliźniego?

Szwajcowa westchnęła z cicha.

— Moja panno Klaro — rzekła — wiesz dobrze, jak dbam o zdrowie moich robotnic, a przede wszystkim o ich obyczaje...

Przy ostatnim wyrazie twarz jej długa i pomarszczona okryła się w istocie wyrazem twardym i surowym.

Klara uśmiechnęła się.

— Wszystko to do mnie nie należy. Chciałabym tylko usłyszeć na koniec: czy przyjmiesz pani panią Świcką do zakładu swego, czy nie?

— Cóż mam robić? cóż mam robić? chociaż, doprawdy, tyle mam już robotnic, że i roboty nie staje...

— A więc na jakich warunkach? — żywo nacierała Klara.

— A cóż? Na takich, na jakich pracują wszystkie te panie, czterdzieści groszy na dzień. Dziesięć godzin roboty.

Klara przecząco wstrząsnęła głową.

— Pani Świcka nie będzie za taką cenę pracować — rzekła rezolutnie i śmiejąc się dodała: — Czterdzieści groszy za dziesięć godzin roboty, to znaczy cztery grosze za godzinę... To żart chyba.

Zwróciła się do Marty i rzekła:

— Chodźmy, pani, gdzie indziej.

Klara zwróciła się już do drzwi, ale Marta nie postąpiła za nią. Stała chwilę jak przykuta do miejsca, nagle podniosła głowę i rzekła:

— Zgadzą się na warunki pani. Będę szyła po dziesięć godzin dziennie za czterdzieści groszy.

Klara chciała jeszcze coś mówić, ale Marta nie dopuściła ją do słowa.

— Tak już postanowiłam — rzekła i ciszej dodała: — Samaś przed godziną mówiła, panno Klaro, że lepiej mieć coś jak nic.

Umowa stanęła. Od następnego dnia Marta rozpocząć miała zawód szwaczki w zakładzie Szwajcowej. Na koniec więc po długich poszukiwaniach, po trudach podejmowanych nadaremnie, upokorzeniach również nadaremnie przenoszonych, po bezowocnym szamotaniu się wśród dróg różnych i żebraczym pukaniu do drzwi wielu Marta znalazła robotę, możliwość zarobkowania, tę podstawę, na której budować się musiał byt jej i jej dziecka. A jednak, gdy zmęczona długim chodzeniem po mieście wróciła do swej izdebki, nie uśmiechała się tak, jak owego dnia szczęśliwego powrotu z biura informacyjnego, nie otworzyła ramion ku biegnącemu ku niej dziecięciu i nie powiedziała mu ze łzą w oku i z uśmiechem na ustach:

— Dziękuj Bogu!

Błąda, zamyślona, z głęboką fałdą na czole i zwartymi usty, Marta usiadła dziś przy małym okienku, szklanymi oczami wpatrzyła się w dachy otaczających domostw i żadnego dźwięku rozróżnić niezdolnym uchem wsłuchiwała się w gwar wielkiego miasta.

Niska cyfra przyobiecane go zarobku nie przestraszała ją; zbyt mało jeszcze upłynęło czasu, odkąd poczęła związywać i łątać środki do życia na kształt szmaty spróchniałej, rwącej się i rozpadającej w rękę; zbyt niewprawną jeszcze była w groszowe rachunki ubogich i zbyt nieświadomą tego roju codziennych szczegółików, z których każdy, drobniejszy od najdrobniejszej muszki zawieszony w przestrzeni, kamiennym przecież brzemieniem spada na barki ubogiego, aby od razu zmierzyć mogła przysły zarobek z przyszłymi potrzebami i jasno dojrzeć niewystarczalność pierwszego, dolegliwość drugich.

Nie wiedziała jeszcze dokładnie, czy wraz z dzieckiem

swym wyżyć będzie mogła czterdziestu groszami dziennie; mała ta cyfra dzisiejsza była zresztą wielką w porównaniu z wczorajszą, która przedstawiała zero. Ale jeżeli Marta nowicjuską była, acz srodze już doświadczoną nowicjuską, w szkole praktyki życiowej i w posępnej korporacji idącej przez świat pod sztandarem nędzy, posiadała przecież dostateczną dozę rozsądku i oświaty, aby pojąć niskość tego szczebla pracy ludzkiej, na jaki zstąpiła, na jakim zatrzymała się bez najmniejszego widoku podniesienia się kiedykolwiek na wyższy.

Był to szczebel, na którym zasiadało niedołęstwo wszelkie, opierając się śmierci głodowej.

Był to szczebel, ku któremu zstępowali tylko ci, którym zabrakło sił do utrzymania się na wyższych.

Był to szczebel pograżony w nizinach, w których panuje mrok nieustanny, praca nudna, żmudna, odetchnąć nie pozwalająca, dająca chleb czarny ciału, ducha trzymająca na żelaznej uwieży wiecznej i nigdy dostatecznie nie zadowolnionej potrzeby ciała.

Był to szczebel na koniec, na którym pająki snuły gęste pajęczyny i oplątywały muchy, dobrowolnie ku nim zlatujące, na którym panowała krzywda i gniotła głowy, kornie, w uznaniu nieudolności własnej schylone.

Nigdy, przynigdy, ani w dniach pomyślności i dostatku, ani w chwili zapadnięcia w samotność i ubóstwo, ani nawet w porze, w której próbowała wstępować na różne drogi i ze wszystkich po kilku krokach uczynionych cofać się musiała, Marta nie wyobrażała sobie, aby siły jej były tak słabe, wiedza tak ograniczoną, aby zstąpienie w tak niskie sfery przeznaczeniem jej być mogło.

Przeznaczenie to przyjęła ona z gorączkowym pośpiechem i zupełną i stanowczą gotowością, a jednak było ono dla niej niespodzianką: cokolwiek w dniach ubiegłych przygotować ją doń mogło — było ono zawsze niespodzianką.

Tłumem gwarnym, klótlwym, posępnym tłumem cisnęły się myśli nowe, dotąd nie znane, do głowy młodej kobiety siedzącej w wielkiej, mrocznej, wilgotnej izbie ulicy Freta nad kawałkiem płótna, które zszywała pilnie, podnosząc

i w dół opuszczając rękę w jednogodny takt z dwudziestu rękami, które wkoło niej podnosiły się i opadały.

Przechodząc tu po raz pierwszy jako robotnica, Marta uważniej niż dnia poprzedniego rozejrzała się pomiędzy licznym gronem współtowarzyszek pracy i doli.

Wielkim było jej zdziwienie, gdy dostrzegła, że większa ich część składała się z kobiet, których delikatne twarze, giętkie kibicie, białe ręce objawiały pochodzenie z innej towarzyskiej sfery niż ta, w którą zapadły: poranek życia bynajmniej niepodobny był do południa jego i wieczora. Były tam zresztą kobiety różnych wieków, powierzchowności, różnych też widocznie usposobień.

Jedne z nich siedziały na stołkach milczące i nieruchome z wyjątkiem rąk, które poruszały się nieustannie. Głowy ich, godzinami spuszczone nad robotą, w chwili opuszczania jej podnosiły się z widoczną ciężkością; przy wyjściu z sali nogi ich wlokły się powoli, a zagaste źrenice, wciąż prawie okryte zaczerwienionymi powiekami, ani jedną iskrą, ani jednym promieniem nie rozpałały się nawet na widok południowego słońca ozłacającego pełne ruchu ulice miasta, nawet na widok tego ruchu, ani na odgłos swobodnych głosów ludzkich, otaczających je pełnym życia gwarem; wtedy gdy one, nieme i onieczulone, wychodziły na świat boży z posępnej swej pracowni.

Suknie ich były podarte, błotem ulic poplamione; włosy ich zaledwie przyczesane, w bezkształtny kłęb z tyłu głowy zwinięte, rozsypywały się w nieładzie po chudych szyjach i tylko kiedy niekiedy jeszcze jakiś płócienny, lecz nieskazanej białości kołnierz, jakaś obrączka ślubna na palcu połyskująca i złotymi połyskami całej znędźniałej postaci urągając się zdająca przypominały jakieś przyzwyczajenia dawne, jakieś uczucia i związki serdeczne, które upłynęły w dal niedościgłą na zbyt wartkiej fali niepowrotnej przeszłości. Były to istoty, które, już zmęczone krótką przebytą drogą, omdlałe na sercu i umyśle, z chorym ciałem, a w nim z konającym duchem, wlokły ciężkie, beznadziejne swe istnienie, milczeniem, niby ostatnią przez los im zostawioną szatą, osłaniając upornie poranione swe wnętrza.

Nie one jednak, nie te omdlałe ciała, śmiertelnie smutne duchy, przedstawiały w pracowni Szwejcowej widok najsmutniejszy. Najbliżej okien, na kształt niewolnych ptaszków pomiędzy kratami klatki szukających blasku dziennego, umieszczały się robotnice młodsze od innych, jeżeli nie latami życia, to latami cierpień, z większą żywotnością w charakterach, z uporczywszymi pragnieniami w piersiach, z uśmiechem, który, dławiony i powściągany, skonać jednak nie chciał ani w sercu, ani na ustach. Twarze ich były blade i chude, odzież bardzo uboga. Ale pod bladymi czołami błyskały tam oczy co chwilę niemal podnoszące się znad roboty, spojrzeniem szukające spojrzeń towarzyszek, figlarne niekiedy albo urągliwe i złośliwe, albo jeszcze niecierpliwie rwące się wzrokiem kędyś poza wilgotne, mroczne ściany izby. Od czasu do czasu pośród zapadłych, co dzień prawie głębszą żółcią powlekających się policzków zjawiały się uśmiechy, wyrazem swym do wyrazu spojrzeń podobne: swawolne, szyderskie, tęskne lub marzące. Były tam głowy wspaniale okryte bogactwem warkoczów, wśród których niekiedy jakaś wstążeczka, kokardka, tasiemka choćby błyszcząca różową lub niebieską barwą; sznur kolorowych paciorków otaczał czasem szyję urągając jakby dziurom i łatom stanika, któremu niby ozdobą miał służyć. A wszystkie spojrzenia te, uśmiechy i ozdoby boleśnieszyszy i bardziej zagadkowy przedstawiały widok niż milczenie, omdlałość i onieczulenie innych robotnic... Objawiała się w nich jadowita sprzeczka uczuć i pragnień z gniotącymi je warunkami bytu, marzeń o zbytku, z głęboką nędzą. Tam nastąpił już upadek bierny, tu grozić się zdawał co chwilę upadek czynny. Tamte nędzarki bliskimi już były końca ziemskiej wędrówki, te zbliżały się ku początkowi — wystepnego życia. Przed tamtymi roztwierał się grób, przed tymi — kałuża.

Kiedy Szwejcowa i córka jej stały przy wielkim czarnym stole, zupełna na pozór cisza panowała w pracowni i jedynym wyraźnym odgłosem były ostre dźwięki ogromnych nożyc nieustannie prawie poruszanych wprawnymi palcami.

Cisza ta przecież była pozorną; oprócz jedynego panującego nad nią wyraźnego odgłosu było tam mnóstwo odgłosów innych, niewyraźnych tylko, przerywanych, ale tworzących szmer nieustanny i z cicha falujący, wybuchający niekiedy niecierpliwą jakby falą, to znowu opadający i zlewający się niemal z ciszą. Szmer ten składał się z szelestu dwudziestu przeszło poruszających się rąk, z oddechu dwudziestu piersi, z kaszłów suchych i krótkich lub gwałtownych i zanoszących się, z szeptów zaledwie poruszających się ust, z cichutkich i szybko tłumionych chichotów. Robotnice siedzące w głębi pracowni kaszłały; robotnice garzące się ku oknom szeptały i chichotały. Szwejcowa podnosiła niekiedy głowę i zza okularów toczyła dokoła izby uważnym spojrzeniem. Oczy jej przenikliwym blaskiem polyskiwały zza grubych szkielek: doglądała roboty. Niekiedy kładła nożyce na stole i przewlekłym, miodowym głosem rozpoczęła długą mowę.

Mówiła o tym, jako w innych pracowniach robotnice tracą zdrowie nad maszynami, które, jak wiadomo, wyczerpują siły i sprowadzają różne defekty, i jako ona wyrzekła się wszelkich korzyści, jakie by osiągnąć mogła przez wprowadzenie do zakładu swego maszyn, byleby tylko nie obciążać sumienia swego grzechem niszczenia zdrowia bliźnich. Sumienie bowiem to rzecz najważniejsza, wszystko zresztą jest próżną mamoną. Szwejcowa jedno tylko robotnicom swym stawiała wymaganie. O to, aby obyczaje ich były nieskazitelne. Pod tym względem jednak była ona nieubłagana, raz dlatego, że nie chciała, aby zakład jej przedstawiał widok zgorzenia, na koniec, że obawiała się utracić klientelę z osób zacnych i bezpośrednio zatem zostać pogrążoną w nędzy z dziećmi swymi i wnukami.

Robotnice słuchały przemówień tych w głębokim milczeniu. Prawdopodobnie nie było pomiędzy nimi ani jednej, która by wierzyła słowom Szwejcowej. Prawdopodobnie wszystkie one wiedziały o tym, że były wyzyskiwanymi, a jednak słuchały i milczały kornie. Wiedziały, że poza ścianami tej izby, która je mieściła, dla żadnej z nich nie było nic prócz grobu albo — kałuży.

Niekiedy także Szwejcowa lub jej córka opuszczały pracownię wychodząc z niej drzwiami prowadzącymi w głąb budowy. Przez drzwi otwierane dolatywały wówczas do uszu robotnic dźwięki wybornego fortepianu, na którym to grano biegle i umiejętnie, to uczono się grać. Widać także było przez te drzwi rząd pokojów ostawionych zbyt-kownymi sprzętami; błyszcząły tam woskowe posadzki i szerokie zwierciadła, pasowe adamaszki okrywające sprzęty razity zmęczone czy robotnic. Toteż jedne z nich uśmiechały się smutnie, inne patrzyły przed siebie ponuro, inne jeszcze mrugały oczami złośliwie. Bładość, zazdrość, złość nurtowały wtedy dwadzieścia piersi kobiecych. O godzinie trzeciej zapalano u sufitu wielkie lampy i robotnice pracowały przy sztucznym świetle, dopóki na ściennym zegarze w mieszkaniu Szwejcowej nie wybiła dziewiąta.

Gdy Marta przepędziwszy w miejscu tym dzień cały wracała do domu, zaledwie mogła utrzymać się na nogach.

Nic ją przecież nie zmęczyło, nic nawet nowego nie zasmuciło. Ale do głębi piersi i mózgu, do szpiku kości swych była przerażoną.

Wybredni czytelnicy, a przede wszystkim czułe i wrażeń łaknące czytelniczki, czy przebaczyście mi tę opowieść moją, pozbawioną w zupełności tajemniczego węzła intrygi i zajmującego widoku dwóch serc przeszytych ognistymi strzałami?

Każde zjawisko za przedmiot dla opowieści służące traktować można w różny sposób. Dzieje biednej Marty, zamiast rozsnuć się przed oczami waszymi jednolitą i jednobarwną nicią, mogłyby być zapewne upiększone, uświetnione mnóstwem krzyżujących się uczuć, uderzających kontrastów, piorunujących wypadków; mogłyby być wplątane w wieńiec epizodów, z których każdy rzuciłby na nie wdzięk, urok lub grozę, albo też same traktowanymi być epizodycznie jako dopełnienie jakiejś bardziej efektownej i porwijącej całości, jako pedant przywiązany do historii szczęśliwych

lub rozpaczających, sielankowych lub bohaterskich, faworyzowanych losem lub przezeń gnębionych — Numy i Pompiliusza.

Wybaczcie! Spotkawszy na świecie Martę rozglądałam się wkoło, szukałam, lecz nigdzie w bliskości nie znalazłam Pompiliusza żadnego. Nie znalazłszy go, chciałam dzieje kobiety skrócić, zdusić i zamknąć w epizodzie — nie mogłam, albowiem uznałam, że są one godne oddzielnej całości; zamierzałam na koniec wplątać je w węzły intryg, w wieńce epizodów — nie uczyniłam tego, gdyż wydało mi się, że najlepiej im będzie do twarzy, gdy pójdą w świat samotne.

Wybaczcie prostotę środków, których używam dla przedstawienia wam jednego z najrozpaczliwszych zjawisk społeczności dzisiejszej, i pójdźcie za mną dalej na drogę, po której postępuje smutna postać kobiety ubogiej, godnej może lepszego losu niż ten, któremu poddała ją... co? Wszak imię tego czegoś, które niby fatalistyczne przekleństwo ugniata głowy, pęta stopy i miazdzy serca mnóstwa istot ludzkich, wyczytacie w dziejach Marty.

Warszawa radowała się, gwarzyła, jaśniała. Był to tydzień świąteczny. Przed kilku dniami zaledwie pogasty rzęsiście światła rozpalone wśród zielonych gałęzi wigilijnych jodeł, a w powietrzu zdawały się jeszcze drgać i płaszać radośnie gamy śmiechów dziecięcych i gwarne rozmowy szczęśliwych rodzin zebranych wkoło świątecznie przybranych stołów. Nazajutrz zawitać miał światu gość tajemniczy: rok nowy. Wnętrza domów i wystawy sklepów wyglądały strojnie. Ulice zaścielała gruba warstwa śniegu stężalego od mrozu a połyskującego milionem iskier pod promieniami słońca, które jaśniało na wypogodzonym niebie.

Roje sanek mknęły w różnych kierunkach, tłumy przechodniów zalewały chodnik. Ile było głów w tym różnobarwnym, ruchliwym tłumie, tyle było pasem myśli tajemnie rozsnuwających się po przestworzu, niewidzialnie

ścigających po szerokim świecie bliskie i dalekie, wzniosłe i poziome przedmioty. Miłość, chciwość, uwielbienia, nienawiści, trwogi, nadzieje, najróżniejsze pragnienia i dążenia wiły się i krzyżowały w tysiącnych głowach ludności wielkiego miasta, idącej, jadącej, biegnącej tam, kędy gnały ją wielkie cele życia lub maluchne celiki dnia. Śród tego tajemnego i żadnemu cielesnemu uchu nieprzystępnego gwaru, na którym niby na spodnim pokładzie rozwiął się ruch słów i czynów tysięcy ludzi, przez nikogo nie badana i nie odgadywana, wiła się cicha nitka myśli w pokornej i przez nikogo nie spostrzeżonej głowie kobiecej.

„Dwie dziesiątki dziennie... osiem złotych na tydzień... dziesięć groszy dziennie żonie stróża za dozorowanie Janci, gdy siedzę u Szwajcowej... 15 groszy chleb i mleko dla dziecka... 15 groszy obiad... na każdą niedzielę nie ma już nic...”

Była to myśl Marty idącej z wolna i ze schyloną głową chodnikiem Krakowskiego Przedmieścia.

„Za dwa miesiące mieszkania należy się złotych 45... w sklepiu winnam złotych 20... za sprzedane futro wzięłam złotych 100... 60 od stu... 40... Janci trzewików na gwałt trzeba, moje drą się już także... drzewa kupić muszę... dziecku ciągle zimno...”

Kończąc myśl tę Marta zakaszła suchym, krótkim, lecz uporczywym kaszlem. Miesiąc minął od dnia, w którym po raz pierwszy zasiadła ona jako robotnica w pracowni Szwajcowej. Przez czas ten zmieniła się bardzo. Zza przezroczystej białości jej twarzy tu i ówdzie przebijały się żółte smugi, ciemne koła podkrężyły oczy, które wklęśły i rozszerzyły się, pośród czoła, przedziwnie pięknie zarysowanego, głęboka leżała bruzda. Czarna suknia Marty, czysta i cała, zrudziła przecież przez używanie, wyglądała chędogo, lecz staro; na głowie jej nie było kapelusza ani na ramionach futrzanego okrycia. Czarna wełniana chustka okrywała jej włosy, grubymi fałdami otaczając blade czoło i wklęśłe policzki.

Płynęła, szumiała ludność wielkiego miasta na szerokim chodniku wspaniałej ulicy, z nią razem płynęły w przestrzeń

tysięczne prądy myśli ludzkich, a śród nich wiła się wciąż cicha, pokorna, jednostajna myśl przeciskającej się śród tłumów bladej kobiety.

„Dziesięć groszy a pięć... piętnaście, a dwa... siedemnaście... siedemnaście od czterdziestu... dwadzieścia trzy...”

Jakaż to była myśl blaha, niska, sucha! Czołgała się po ziemi wtedy, kiedy niebo zimowe przeczystym jaśniało lazurem, krzepła śród chłodu cyfr wtedy, gdy wobec zbliżania się roku nowego ludzkość kipiła pragnieniami, uczuciami, nadziejami...

Tak; był to w istocie akt duchowy, spełniający się we wnętrzu istoty ludzkiej, wielce prozaiczny i poziomy, był to groszowy i szelągowy rachunek ubóstwa...

Nie zawsze przecież myśli Marty czołgały się tak nisko; była pora, w której i ona oczy swe podnosiła ku lazurom, z bijącym sercem i z uśmiechem nadziei witała zstępujący na świat rok nowy. Przypomniała sobie o tym w tej chwili. Podniosła powieki i spojrzeniem powiodła dokoła. W oczach jej, w których zrazu widać było tylko frasunek z zestawienia i kombinowania groszowych cyfr wylęgły, zagrały teraz światła podnoszących się w piersi uczuć. Była to naprzód tęsknota, potem żal, na koniec niecierpliwy bunt ducha gnębionego fatalną jakąś koniecznością, z którą jednak stałego dotąd nie zawarł sojuszu. Zapadłe oczy Marty błysnęły gorącymi ogniami, coś w niej podniosło się, krzyknęło bólem, zajęczało trwogą, zbuntowało się nie wyczerpaną jeszcze dotąd energią woli. Przystanęła chwilę, podniosła głowę i drżącymi ustami szepnęła:

— Nie! tak długo być nie może! tak zawsze być nie powinno!

Postąpiła dalej i myślała, że jest to przecież rzeczą niepodobną, zupełnie niepodobną, aby stanowczym, jedynym, dośmiertnym miejscem jej przeznaczenia był ów stołek w pracowni Szwajcowej, na którym śród mroku, wilgoci, stęchłego powietrza, w otoczeniu wynędzniałych, obumierających twarzy szyla po dniach całych nie mogąc w zamian zarobić tyle przynajmniej, aby móc w nocy spać

spokojnie, a minuty wolne od pracy wyzwolić spod panowania cyfr przedstawiających grosze...

Urodzeniem, całą przeszłością swą należała przecież do klasy ludzi oświeconych, była uważaną i sama siebie uważała zawsze za kobietę oświeconą. Dlaczegoż więc, gdy dotknęła ją twarda ręka losu, stanęła ona w hierarchii społecznej, w dziedzinie prac, zysków i zaszczytów ludzkich na tym szczeblu najniższym, na którym, zdawałoby się, iż stać powinni najniezwyklejsi tylko, najsrożej wydziedziczeni z dobrodziejstw oręży i narzędzi przynoszonych ludziom oświata? Byłażby ta oświata jej kaleką z kapitalnej strony jakiejś? Byłażby ona tylko cackiem wyrzeźbionym, wypiękuszonym ku zabawie spokojnego ducha, mieszkającego w sytym i zadowolonym ciele, rozpadającym się w nieprzydatne na nic próchno, ilekroć by duch zapragnął użyć ją ku ochronieniu siebie od z mordowania i upadku, ciało od utraty sił posługujących duchowi? Miałaby na koniec ta oświata jej być tylko złudzeniem? Oświata w tej mierze i postaci, w jakich posiadała ją Marta, budziła pragnienia, nie dając nic, co by zadowolenie ich zdobyć mogło, podsycala tęsknotę za sferami ducha przykuwając go do ziemi więzami głodnego ciała, potęgowała w sercu uczucia na to tylko, aby zaprawić je goryczą, wstrząsnąć śmiertelną trwogą...

Marta myślała o tym i czuła to wszystko, ale nie uogólniała swych myśli i uczuć, nie zdawała sobie dokładnej sprawy z wielce skomplikowanego zjawiska, które rządziło jej losami. Czepiała się jednego przypomnienia, jednej świadomości, że należała do ludzi oświeconych, przed którymi tyle, tyle przecież dróg leży otworem.

Miałaby na zawsze już zatrzymać się na tej, śród której stanęła? Nie byłoby dla niej na ziemi żadnego innego miejsca jak to, do którego wchodziła ze wstydem, o którym z oddalenia myślała ze zgrozą? Błagała ona wprawdzie Boga o małe, skromne miejsce pod słońcem, o takie miejsce, na którym dwie istoty ludzkie, związane ze sobą najściślej i najświętszymi związkami i uczuciami, żyć by mogły; ależ to, które po wielu próbach i wysileniach stało się jej udziałem, nie było miejscem pod słońcem, ale otchłanią ciemną, w któ-

rej dwie istoty ludzkie nie żyły, ale skute kajdanami najprostszych, najniższych, a nigdy nie zadowolonych, nigdy nie kończących się potrzeb powoli umierały.

Tak, powoli umierały. Nie była to metafora żadna, ale przerażająca rzeczywistość. Niedawno jeszcze Marta zastanawiając się nad położeniem, w jakie popadła, i nad obowiązkami, które zaciążyły na sercu jej i sumieniu, powtarzała sobie jako zachętę i pociechę: „Jestem młoda i zdrowa”. Dziś połowa tylko słów tych wyrażała prawdę. Była młoda, ale nie była już zdrową. Żywioły fizyczne i moralne, połączone ze sobą, tworzyły rodzaj siły niewidzialnej, która wycieńczała i osłabiała jej ciało.

Marta kaszlała, od tygodni kilku doświadczać zaczęła nie znanych dotąd osłabień, sny jej bywały gorączkowe, budziła się z nich z głową ciężką i bolącą pierś.

Tak zaczynać musiały karierę swą owe wyrobnice, dziś na wpół umarłe, z suchotniczymi rumieńcami na twarzach. Niedawno jedna z nich opuściła pracownię Szwajcowerki o parę godzin wcześniej, niż nakazywał regulamin zakładu, i nie wróciła więcej. Gdy nazajutrz Marta zapytała o nią towarzyszkę, z kilkunastu ust rozszedł się po sali stłumiony, niemniej przeszywający szepot:

— Umarła!

Umarła! A jednak Marta wiedziała o tym, iż liczyła sobie dwadzieścia sześć lat zaledwie i że kędyś, na poddaszu lub w suterenie, żyło i każdodziennie powrotu jej oczekiwało dwoje małych dzieci...

— Co stało się z jej dziećmi? — z gorączkową ciekawością pytała towarzyszek młoda matka ślicznej czarnookiej dziewczynki.

Odpowiedź, jaką otrzymała, zabrzmiała w jej uchu ostro, dziko:

— Dziewczynkę przyjęto do ochronki, chłopiec kędyś zginął.

Do ochronki? a więc na bary dobroczynności publicznej, w ręce ludzi obcych, na przyszłość niepewną. Zginął? gdzież się mógł podziąć? W dziecięcej naiwności szukał może matki, którą zniesiono z wysokiego poddasza, i, śród ośnieżonych

ulic w mroźną noc zimową umarł kędyś po cichu, przykryty całunem białej zamieci, lub, o zgrozo! połączywszy się z równymi sobie wyrzutkami społeczeństwa...

Dłużej Marta myśleć nie mogła o posępnej tej historii, w której odzwierciedlała się może własna jej przyszłość? Własna? O, mniejsza o to! Ukochane przez nią istoty były już poza światem, czuła się znużoną, śmiertelnie smutną i z rozkoszą może zamknęłaby oczy do snu wiekiustego, w którym wiara przyrzekała jej połączenie się z tymi, za którymi tęskniło zranione serce! Ale przyszłość jej dziecka... jakąż będzie, jakąż być może, jeżeli jej zabraknie na ziemi, jeżeli kiedy na policzkach jej osiadą takie krwiste, płomienne rumieńce, czoło obleje się taką grobową bladością, oddechu piersiom zabraknie, jak owej biednej wyrobnicy, która przed niewielką dniami opuszczała chwiejnym krokiem szwalnię Szwejcowej, aby nigdy już nie powrócić więcej...

Postać Marty, w zamyszeniu podana nieco naprzód, wyprostowała się.

— Niel — z cicha, lecz z mocą wyrzekła młoda kobieta — tak być nie może! tak być nie powinno!

Mówiąc tak czuła znać każdemu człowiekowi wrodzoną chęć dźwigania się z niedoli i każdemu człowiekowi przysługujące prawo polepszenia, podnoszenia swego bytu.

Marta powiodła dokoła oczami, w których na miejscu przedchwilowego frasunku i znużenia ukazały się znowu energia i badawczość. Mnóstwo przedmiotów otaczało ją zewsząd, na jednym z nich zatrzymało się jej spojrzenie. Przedmiotem, który przykuł do siebie wzrok Marty, było szerokie i wysokie okno z bogatą wystawą jednej z najzasobniejszych księgarni miasta. Na widok kilkudziesięciu tomów, których różnobarwne okładki mieściły się za przezroczystymi szybami, młoda kobieta doświadczyła trzech różnych uczuć, a były nimi: wspomnienia, tęsknota i nadzieja. Przypomniła sobie owe dni szczęśliwe, w których wsparta na ramieniu młodego i wykształconego męża przybywała nieraz w to miejsce. Stęskniona do wyższych uciech umysłowych, których od czasu do czasu kosztowała niegdyś, których od dawna pozbawioną była najzupełniej, a które na

ciemnym tle obecnego jej życia zaświeciły przed nią niewymownym czałem, zobaczyła na koniec parę imion kobiecych wydrukowanych poniżej tytułów książek. Z imion tych jedno należało do osoby, którą znała kiedyś, w której nikt nie podejrzewał talentu póty, póki nie objawiła go, a i to ze stopniowym, bardzo powoli wzrastającym powodzeniem. A jednak teraz imię jej figurowało zaszczytnie pomiędzy wielu głośnymi, świetnymi imionami krajowych pisarzy, teraz kobieta ta, o której Marta wiedziała, że była samotną jak ona i jak ona ubogą, posiadała miejsce pod słońcem, szacunek ludzki i własny...

— Kto wie? — drżącymi usty szepnęła kobieta i blada twarz jej zapłonęła rumieńcem wśród czarnych fałd wełnianych, które obejmowały ją posępną ramą.

Postąpiła parę kroków i stanęła przed drzwiami księgarni. Zapuściła wzrok za szyby i zobaczyła w głębi wielkiej sali jej właściciela. Była to twarz dobrze jej niegdyś znana, często w dniach pomyślności przez nią widywana, myśląca, uczciwa i łagodna...

U drzwi oszklonych zadźwięczał dzwonek. Marta weszła do księgarni. Zatrzymała się chwilę w bliskości progu i bystre, niespokojne nieco spojrzenie rzuciła wokoło. Obawiała się zapewne znaleźć w księgarni kupujące osoby, wobec których nie mogłaby wypowiedzieć tego, z czym przychodziła.

Księgarz sam jeden stał za kontuarem, zajęty kreśleniem rachunków w wielkiej księdze na małym podniesieniu roztwartej. Przy otwarciu się drzwi podniósł głowę i na widok wchodzącej kobiety przybrał postawę na wpół witającą, na wpół oczekującą. Marta postąpiła z wolna i stanęła przed człowiekiem, który widocznie oczekiwał pierwszego od niej słowa.

Przez parę sekund powieki jej pozostały spuszczone i blade wargi drżały lekko. Szybko jednak podniosła na twarz księgarza wzrok, w którym skupiły się w tej chwili wszystkie władze woli i cała przytomność jej umysłu.

— Pan mię nie poznajesz? — rzekła głosem cichym, lecz pewnym.

Od samego już jej wejścia księgarz przypatrywał się jej z wielką bacznością.

— W istocie! — zawołał — wszakże to panią Świcką mam przyjemność widzieć! Zdawało mi się od razu, że panią poznaję, ale... nie byłem pewny.

Mówiąc to szybkim spojrzeniem obrzucił ubogie ubranie młodej kobiety.

— Co pani rozkaże? — wymówił uprzejmie i z lekkim odzieniem smutku w głosie.

Marta milczała chwilę. Twarz jej była bardzo blada, a wzrok głęboki i nieruchomy, gdy mówić zaczęła:

— Przyszłam do pana z prośbą, która wyda się mu zapewne szczególnie, dziwną...

Głos jej urwał się nagle. Podniosła obie dłonie i powiodła nimi po bladym czole. Księgarz szybko wyszedł zza kontuaru i przysunął ku młodej kobiecie aksamitem wybity taboret, po czym wrócił na uprzednie swe miejsce.

Wydawał się zasmuconym, a więcej jeszcze zmieszonym.

— Chciej pani usiąść — rzekł. — Słucham panią z uwagą...

Marta nie usiadła. Splecione dłonie oparła na kontuarze i patrzyła znowu w twarz stojącego przed nią człowieka głębokim, lecz coraz jaśniejszym wzrokiem.

— Prośba, z którą przyszłam, jest w istocie szczególnie, dziwną — mówiła — ale... przypominałam sobie, że zostawałeś pan kiedyś w przyjaznych stosunkach z mężem moim.

Księgarz skłonił się.

— Tak — przerwał — pan Świcki pozostawił przyjazne i pełne szacunku wspomnienie u wszystkich, którzy znali go bliżej.

— Przypominałam sobie — ciągnęła Marta — że kilka razy przyjmowałam pana w domu moim jako miłego gościa.

Księgarz skłonił się znowu z uszanowaniem.

— Wiem o tym, że jesteś pan nie tylko księgarzem, ale i wydawcą... że zatem...

Głos jej słabł i cichł stopniowo, umilkła na chwilę. Nagle podniosła znowu głowę, splecione dłonie wyciągnęła nieco przed siebie i odetchnęła głęboko parę razy.

— Daj mi pan pracę jaką... wskaż drogę... naucz mię, co mam czynić!...

Księgarz wydawał się w istocie nieco zdziwionym. Patrzył przez chwilę na stojącą przed nim kobietę wzrokiem uważnym, niemal badawczym. Ale piękna i młoda twarz Marty nie przedstawiała bynajmniej trudnej do odczytania zagadki. Bieda, niepokój, daremne pragnienia i gorące błaganie zakreśliły ją bardzo czytelnymi znakami. Rozumne, siwe oczy księgarza, badawczo zrazu, a nawet nieco surowo patrzące spod szlachetnego czoła, miękły z wolna, aż w smutnym zamyśleniu okryły się powiekami. Przez chwilę pomiędzy dwojgiem tych ludzi panowało milczenie. Księgarz przerwał je pierwszy.

— A więc — rzekł z lekkim wahaniem w głosie — pan Świcki umierając nie zostawił po sobie żadnego majątku?

— Żadnego! — z cicha odpowiedziała Marta.

— Mieliście państwo dziecię...

— Mam małą córkę.

— I żadnego dotąd zajęcia znaleźć pani dla siebie nie mogłaś?

— Owszem... zajmuję się szyciem, za które otrzymuję czterdzieści groszy dziennie.

— Czterdzieści groszy dziennie! — zawołał księgarz — dla dwóch osób! Ależ to nędza!

— Nędza — powtórzyła Marta — gdybyż to była nędza tylko i tylko dla mnie, i taka jeszcze, na którą żadnej już rady nie ma na ziemi! O, wierzaj mi, panie, że potrafiłabym cierpieć odważnie, żyć bez żebraniny i umrzeć bez skargi! Ale nie jestem samą, jestem matką! Gdybym nie miała serca macierzyńskiego, które kocha, słyszałabym w sobie głos sumienia, które obowiązek przypomina; gdybym nie miała sumienia, które kocha, słyszałabym głos serca. Mam jedno i drugie, panie! Rozpacz mię ogarnia, gdy patrzę na wychudłą twarz mego dziecka, gdy myślę o jego przyszłości, ale gdy wspomnę, iż dotąd nic dlań uczynić nie potrafiłam, wstyd mi taki, że pragnęłabym co chwilę upaść na ziemię i głową tarzać się w pył! Boć przecie są ludzie ubodzy, którzy siebie i dzieci swe dźwigają z niedoli, dla czegoż ja

uczynić tego nie mogę? O, panie? bieda ciężką jest do przeniesienia, zapewne, ale czuć się przeciwko niej .bezsilną, porywać się do wszystkiego i zewsząd odchodzić z poczuciem własnej nieudolności, cierpieć i drogą istotę widzieć cierpiącą dziś i myśleć, że cierpienie to trwać będzie jutro, pojutrze, zawsze, i powiedzieć sobie: „Przeciw cierpieniu temu ja nic nie mogę” — o, to męczarnia taka, dla której jedna jest tylko nazwa: życie ubogiej kobiety!

Marta wypowiedziała słowa te szybko i z ogniem. Przy ostatnich wyrazach głos jej stał się cichszym i dwa strumienie łez z niepodobną do powstrzymania gwałtownością oblały jej policzki. Zakryła twarz chustką i przez chwilę stała nieruchoma, walcząc wyraźnie ze łzami, które ustać nie chciały, poskramiając łkania, które coraz silniej wstrząsały jej piersią. Po raz to pierwszy dopiero zapłakała wobec świadka, po raz pierwszy głośną skargą wypowiedziała to, co nosiła w sobie od dawna. Nie była już ani tak silną, ani tak dumną, jak wtedy, kiedy w domu Rudzińskich z suchym okiem i spokojną twarzą dobrowolnie rzekła się pracy, której wykonywać nie mogła.

Księgarz stał za kontuarem z rękami na piersi skrzyżowanymi w postawie nieruchomej. Zmieszany nieco zrazu gwałtownym wybuchem uczuć, którego był świadkiem, stał się po chwili widocznie wzruszonym.

— Mój Boże! — rzekł półgłosem — jakież to zmienne są losy ludzkie na ziemi! Znając panią dawniej, czyliż mogłem spodziewać się, że zobaczę ją kiedykolwiek w tym stanie smutku i ubóstwa. Takeście państwo żyli dostatnio, taka z was była kochająca się, szczęśliwa para.

Marta odjęła chustkę od twarzy.

— Tak — wymówiła stłumionym głosem — byłam szczęśliwą... Kiedy ukochany przeze mnie człowiek umierał, sądziłam, że go nie przeżyję... Przeżyłam... Żal i tęsknota pozostały we mnie dręczące, nie zgojone, ale dla serca zranionego śmiertelnie szukałam ulgi w spełnieniu macierzyńskiego obowiązku i spełnić go dotąd nie mogłam. Samotna i smutna poszłam w świat, aby o trochę spokoju

dla siebie, o życie i przyszłość mego dziecka walczyć — nadaremnie...

Oczy księgarza poważne i zamyślane, tkwiły w przestrzeni. Miał on liczną rodzinę. Był bratem, mężem, ojcem. Być może, iż wywołane słowami Marty przed oczami jego przesunęły się oblicza ukochanych mu kobiet: młodej siostry, malutkiej córki, drogiej małżonki. Czyliż każda z nich nie mogła kiedykolwiek poddaną zostać takiemu losowi jak ten, który stał przed nim w postaci tej kobiety osamotnionej, bez dachu, z sercem rozbolełym i ustami spalonymi gorączką głodu i rozpacz? Wszak sam mówił przed chwilą o okrutnej zmienności losu!

Spojrzenie jego z wolna spłynęło na twarz Marty, wyciągnął ku niej rękę.

— Uspokój się, pani — rzekł łagodnie i poważnie. — Chciej usiąść i odpocząć chwilę. Nie poczytasz mi przecież pani za niedelikatność, jeżeli pragnąc jej być użytecznym zapytam o pewne nieodzowne szczegóły. Czyś próbowała pani jakiej innej pracy prócz tej, która ci tak nędzne przynosi wynagrodzenie? Do jakiego zajęcia czujesz się pani najbardziej usposobioną, uzdolnioną? Wiedząc o tym może coś obmyśle... znaję...

Marta usiadła. Łzy oschły na twarzy jej, oczy nabrały tego wyrazu rozsądku i przytomności, który był im właściwym, ilekroć młoda kobieta skupiała władzę woli swej i umysłu. Nadzieja wstąpiła w jej serce; zrozumiała, że spełnienie jej zależy od rozmowy, którą prowadzić miała; uczuła się znowu śmiałą i wydawała się spokojną.

Rozmowa ta przecież nie trwała długo. Marta mówiła szczerze, lecz zwięźle, zatrzymywała się tylko na faktach swej przeszłości. Powodowana dumą, która ozwała się w niej na nowo, o uczuciach doznanych mało lub nic prawie nie mówiła. Księgarz rozumiał ją wybornie. Bystre oko jego spoczywało na jej twarzy, lecz widać było, że w opowiadaniu młodej kobiety widział on więcej niż ją samą i jej jednej tylko losy.

Wielkie zagadnienie społeczne, wielka może krzywda — łono społeczne nurtująca stanęły przed myślą dobrego

i oświeconego człowieka wtedy, gdy z uwagą, zajęciem i wzruszeniem słuchał on dziejów ubogiej kobiety, nie mogącej pomimo energii, wysień, trudów znaleźć dla siebie miejsca na ziemi.

Marta powstała z taboretu, na którym przez kilka minut siedziała, i podając rękę księgarzowi rzekła:

— Powiedziałam panu wszystko. Nie wstydziłam się wyznania zawodów, które spotykały mnie dotąd, bo jeśli siły mnie zawiodły, chęci moje były uczciwe. Czyniłam wszystko, co mogłam i umiałam. Słowo nieszczęścia mego zamyka się w tym, że mało mogłam, nic dostatecznie nie umiałam. Ależ dotychczasowe próby moje nie objęły jeszcze całego kręgu rozlicznych czynności ludzkich, pomiędzy nimi znajdzie się jeszcze może cokolwiek i dla mnie. Mogę mieć jaką nadzieję? Powiedz mi pan szczerze i bez wahania, proszę cię o to w imię tego, którego darzyłeś niegdyś swą przyjaźnią, a który już nie żyje, w imię istot, które ci są drogimi...

Księgarz uściśnął podaną sobie rękę. Dłoń jego ciepła była i serdeczna. Po chwili namysłu zaczął mówić:

— Ponieważ rozkazałaś mi pani być szczerym, powiedzieć więc muszę prawdę smutną. Nadzieję polepszenia losu swego za pomocą pracy małą tylko możesz mieć pani i wielce niepewną! Wspomniałaś pani o kręgu działalności ludzkiej. Ale krąg działalności w ogóle ludzkiej i krąg działalności kobiecej są to, co do rozmiarów swych, dwa nieskończenie różne pomiędzy sobą kręgi. Ostatni wyczerpałaś już pani całkiem prawie w próbach bezowocnych.

Marta słuchała słów tych ze spuszczoneymi oczami, w nieruchomej postawie. Księgarz patrzył na nią wzrokiem pełnym współczucia.

— Powiedziałem pani to wszystko dlatego, abyś nie łudziła się zbyt wygórowaną nadzieją i nie doświadczyła nowego, boleśniejszego może od innych zawodu. Nie chciałbym jednak, abyś pani odeszła stąd myśląc, iż nie chciałem podać ci ręki pomocnej. Byłaś pani przez lat pięć codzienną towarzyszką życia człowieka ukształconego, to wiele znaczy; wiem, że jesiennymi, zimowymi wieczorami mieliście

państwo zwyczaj czytać wspólnie, musiał się stąd uzbierać pewien zapasik wiadomości. Oprócz tego pozwól pani sobie powiedzieć, że sposób jej wyrażania się, jak też zapatrywanie się na życie świadczy o umyśle, który nie jest w zupełności nieuprawnym. Dlatego sądzę, że spróbować pracy na nowym jeszcze polu możesz pani i powinnaś.

Przy ostatnich słowach księgarz zdjął z półki niewielkich rozmiarów książkę. Oczy Marty zajaśniały.

— Jest to świeże dziełko jednego z francuskich myślicieli, którego przekład użytecznym być może publiczności naszej i moim interesom. Miałem zamiar powierzyć go komu innemu, teraz jednak szczęśliwy jestem, że mogę służyć nim żonie naszego kochanego i nieodżałowanego pana Jana...

Mówiąc to księgarz zawijał w papier błękitny tomik.

— Jest to dzieło traktujące o jednej z bieżących kwestii społecznych; jasno, przystępnie napisane, nie powinno być ono do przekładu zbyt trudnym. Ażebyś zaś pani wiedziała, dla czego pracować będziesz, określić mogę, że honorarium (przebacz pani urzędowy ten wyraz) udzielić jej będę mógł w sumie sześciuset złotych. Jeżeli zajęcie to okaże się dla pani odpowiednim, znajdzie się może potem i coś innego do przełożenia. Na koniec, nie ja to jeden jestem tu wydawcą i bylebyś pani zyskała sobie imię dobrego tłumacza, zostaniesz wezwaną tu i ówdzie. O niemieckim języku mówiłaś mi pani, że posiadasz go w bardzo słabym stopniu. To szkoda. Przekłady z tego języka byłyby pożądane i popłatniejsze. Ale jeżeli jedna i druga praca uda się pani pomyślnie, będziesz może w stanie wziąć kilkadziesiąt lekcji... w dzień przekładać pani będziesz dzieła francuskie, nocami doskonalić się w mowie Germanów... Taka być musi praca kobiety. Krok za krokiem i self help.

Marta drżącymi rękami wzięła podawaną jej książkę.

— O; panie! — wymówiła ściskając w obu dłoniach rękę księgarza — niech ci Bóg wynagrodzi szczęściem tych, których kochasz.

Nic więcej powiedzieć nie była w stanie, po kilku sekundach znajdowała się już na ulicy. Szła teraz szybkim

krokiem. Z rozrzewnieniem myślała o szlachetnym postępku z nią księgarza, o uprzejmości i uczynności, jaką jej okazał. Z myśli tej wywinęła się myśl inna.

„Mój Boże — mówiła w duchu młoda kobieta — tylu dobrych ludzi na drodze mej spotkałam, dlaczegoż mi żyć tak ciężko?”

Książka, którą niosła, paliła jej dłonie. Pragnęłaby lotem strzały osiągnąć swej izdebki, aby rozejrzeć się między kartami, które może przynieść jej miała zbawienie. Po drodze jednak wstąpiła do małego sklepu z obuwiem i kupiła parę malutkich trzewiczków. Kiedy na koniec wbiegła w bramę wysokiej kamienicy przy ulicy Piwnej stojącej, nie poszła wprost na wschody, ale skierowała się w głąb dziedzińca ku małym drzwiczkom mieszkania stróża. Tam bowiem, pod opłacanym przez Martę nadzorem żony stróża, Jancia przepędzała codziennie długie godziny, w których matka jej szyła w zakładzie Szwejcowej. W powierzchowności dziecka zaszły przez czas ubiegły większe jeszcze i głębsze zmiany niż w powierzchowności matki. Policzki Janci wklęśły i chorobliwą okryły się żółtością; żałobna, zrudziła i w kilku miejscach rozdarła jej sukienka zwisała na wychudzonym ciałku, czarne oczy rozszerzyły się, utraciły dawny blask i ruchliwość, a w wyrazie swym posiadały tę niemą, bolesną skargę, którą odznacza się wzrok dzieci gnębionych fizycznie i moralnie.

Ujrzawszy matkę Jancia nie rzuciła się jej na szyję, nie zaszczębiotała, jak bywało dawniej, nie klasnęła w drobne dłonie. Ze schyloną główką i chudymi, zziębniętymi rączkami, zaciśniętymi wkoło wełnianej chusteczki, którą się otulała, weszła z matką do izby na poddaszu i usiadła wnet na ziemi przed pustym kominem w postaci skurczonej i znękanej. Marta położyła książkę na stole i wydobyła parę polan zza pieca. Jancia wodziła za nią swymi przygastymi i rozszerzonymi źrenicami.

— Czy nie pójdziesz już dziś nigdzie, mamó? — ozwała się po chwili głosem, którego dźwięk stłumiony i poważny rażąco stanowił kontrast z drobną, dziecięcą postacią.

— Nie, dziecko moje — odpowiedziała Marta — nie pójde

dziś już nigdzie. Jutro wielkie święto i dziś po południu nie kazano nam przychodzić.

Mówiąc to Marta położyła drewna na kominku i przyklękłszy chciała uścisnąć małą córkę.

Zaledwie jednak dotknęła jej ramienia, z ust Janci wyrwało się syknienie bólu.

— Co ci to? — zawołała Marta.

— Boli mię tu, mamó! — bez skargi w głosie, ale bardzo cicho odparło dziecko.

— Boli cię! dlaczego? jak dawno? — troskliwie dopytywała się matka.

Jancia milczała i siedziała nieruchomo ze spuszczoneymi oczami. Blade usteczka jej tylko drżały trochę, jak bywa zwykle u dzieci, gdy płacz gwałtowny powstrzymać usiłują. Martę niepokoiło uparte milczenie dziecka więcej może niż ból objawiony. Szybko rozpięła luźno zwisający staniczek i usunęła go z jednej ręki dziecka. Na chudym, białym ramieniu, obnażonym ręką matki, czerniała ciemnosiną plamą. Marta spłotała kurczowo ręce. Okropna jakaś myśl przejść jej musiała przez głowę.

— Czy upadłaś albo uderzyłaś się? — zapytała z cicha, z oczami wlepionymi w ciemne piętno.

Jancia milczała jeszcze chwilę, nagle podniosła spuszczone powieki i ukazała źrenice oszklone łzami. Wciąż jednak wstrzymywała się od płaczu, drobna pierś jej pracowała gwałtownie, cienkie usteczka drżały jak listki.

— Mamó — szepnęła po chwili, chyląc się ku matce — siedziałam dziś tam, przy piecu... zimno mi było... Antoniowa niosła wodę do ognia... zaczepiła o moją sukienkę, wodę rozlała i ze złości uderzyła mię tak mocno... mocno...

Ostatnie wyrazy wymówiła bardzo cicho, głową i piersią przyłgnęła do matki i drżała całym ciałem. Marta nie wydała jęku ni krzyku; twarz jej wyglądała przez chwilę jak skamieniała, ale poblądłe wargi zwierzały się coraz silniej i z oczu, nieruchomo zapatrzonych w przestrzeń, buchało coraz jaskrawsze, posępniejsze światło.

— Ach! — jęknęła na koniec i pałające czoło objęła splecionymi dłońmi. W krótkim jęku tym zabrzmiał gniew

głuchy i boleść bez granic. Przez parę minut matka i dziecko tworzyły grupę dwóch piersi, ściśle do siebie przyciśniętych, dwóch twarzy, z których jedna, kobieca, z suchym i posepnie płonącym okiem, pochylała się nad drugą, dziecięcą, bledziuchną i łzami zalaną. Po chwili dopiero Marta odjęła dłonie od czoła i opuściła je na głowę córki. Odgarniała z czoła poplątane jej włosy, ścierała łzy z chłodnych policzków, zapinała na piersi mały staniczek, rozgrzewała w dłoniach zziębłe, drobne ręce. Wszystko to czyniła w milczeniu. Parę razy otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie stawało jej zapewne głosu. Powstała na koniec z ziemi i podniosła Jancię. Posadziła ją na łóżku i wydobyła z kieszeni zawinięte w papier trzewiczki.

Na ustach jej leżał teraz uśmiech, dziwny uśmiech! Było w nim coś sztucznego, ale zarazem i coś bardzo wzniosłego: obok wysilenia woli widać w nim było miłość i męstwo matki, która własne bóle przerabia na uśmiechy, aby oszyczyć nimi łzy swego dziecięcia...

Dzień skończył się, zegary miejskie ogłosiły północ, a w izbie na poddaszu paliła się jeszcze lampa; izba ta wyglądała teraz smutniej jeszcze jak wtedy, gdy młoda wdowa po raz pierwszy próg jej przestępowała. Nie było już w niej szafy ani komody, ani dwóch skórzanych łomoczków. Pierwsze dwa przedmioty wraz z dwoma nowymi krzesłami lokatorka oddała rządcy domu, nie mogąc za najmowanie ich płacić dłużej, drugie sprzedała w dniach silnych mrozów, aby za otrzymane pieniądze przysporzyć opału. Pozostało w izbie jedno tylko łóżko, na którym w tej chwili, owinięta czarną chustką matczyną, spała Jancia, dwa krzesła kulawe i jeden na czarno pomalowany stolik. Oblana białym światłem lampy i otoczona grubym uplotem czarnych warokoczy, twarz siedzącej przy stole kobiety w pięknych i surowych zarysach występowała z półmroku. Marta nie pracowała jeszcze, chociaż wszystkie materiały przyszłej jej pracy: książka, papier, pióro, leżały przed nią. Ale pochwyciła ją nieodparte, nieprzewyciężone marzenie. Niespodziane, świetne perspektywy otworzyły się przed jej oczami, nie mogła od nich oderwać ciemnością zmęczonego wzroku.

Nie była już tak pełną ufności, jak wtedy, kiedy przed tym samym stolikiem zasiadała z ołówkiem w ręku, ale nie miała dość siły, aby słuchać poszeptów zwątpienia. Były one w niej, te poszepty, ale ona odwracała od nich ucho, a natomiast wsłuchiwała się wciąż w napełniające myśl jej słowa księgarza. Ze słów tych snuła się długa przędza złotych rojeń kobiety, matki. Móc wykonywać pracę miłą acz trudną, podnosząc ducha i odpowiadając najgłębszym jego potrzebom, jakaż to rozkosz! Zapracować przez kilka tygodni sześćset złotych — co za bogactwo! Gdy raz już zostanie taką bogatą, wielką panią, pierwszą rzeczą, jaką uczyni, będzie przyjęcie jakiejś uczciwej, niemłodej służącej, która by dzieci swoje miała, a przynajmniej je lubiła, a więc dozorować mogła Jancię troskliwie, rozsądnie. Potem... (tu Marta zapytała samą siebie, czy nie jest w rojeniach zbyt śmiałą) potem opuści może tę nagą, zimną, ponurą izbę, w której jej samej tak smutno, dziecku jej mieszkać tak niezdrowo, a wynajmie gdziekolwiek, przy małej jakiejś, lecz czystej, cichej ulicy dwa pokoiki ciepłe, suche, słoneczne... Potem... jeżeli zdobędzie sobie imię dobrego tłumacza i wezwaną zostanie tu i ówdzie, jeżeli te sześćset złotych, ta suma olbrzymia, po wiele razy do rąk jej przyjdzie, poszuka nauczycieli języków i rysunku, uczyć się będzie, o, uczyć się będzie dniami, nocami, bez odpoczynku, z zapałem i cierpliwością, bo taką przecież być musi praca kobiety, krok za krokiem i o własnych siłach... Potem... Jancia dorastać zacznie. Z jaką bacnością oko matki śledzić będzie i odgadywać wrodzone jej zdolności, aby żadnej z nich nie pozostawić odlogiem, ale z każdej, owszem, ukuć dla przyszłej kobiety skarb dla ducha, zbroję do walki o życie... Nauka Janci, jej wykształcenie, siła, szczęście i bezpieczeństwo przyszłości całej będzie owocem pracy jej matki... Z jakimże spokojem zamykać ona będzie wtedy oczy swe do snu pokrzepiającego, z jakąż rozkoszą otworzy je co rano, witając nowy dzień trudów i obowiązku, lecz zarazem spokoju i zadowolenia! Z jakąż dumą wejdzie wtedy pomiędzy ludzi, czując, że jest im równą w sile i godności człowieczej, z jak ulżonym i błogo rozrzuwionym sercem

ukłęknie na grobie człowieka, którego kochała, i wiecz- nie oczom jej przytomnemu obrazowi jego powie: „Zostałam godną ciebie! Nie uległam złej woli! Uniknęłam śmierci z głodu i zycia z jałmużny! Potrafiłam ostoić opieką i wychować dla przyszłości dziecię twoje i moje!” Potem...

Tu oczy Marty spotkały obok niej wiszący na ścianie obrazek. Był to rysunek ów odrzucony przez pracodawców i zwrócony jej przez nich. Przyozdobiła nim biedną, nagą izdebkę, a teraz utopiła w nim cicho gorejące oczy. Domek mały, wiejski, rozłożyste drzewo, ptaszyna śpiewająca nad krzakiem bżowym, przezroczyście powietrze wsi i głęboka cisza pól woniejących... O Boże! gdyby tyle zapracować mogła, aż tyle, iżby podobny kącik skromny, świeży, zielony mógł się stać jej własnością! Będzie już wtedy podeszłą w wieku kobietą; wietrzyk szemrzący w gałęziach ochłodzi trudem życia uznojone czoło, zmęczone oczy pić będą barwę świeżej zieleni, a ptaszek, który śpiewał, gdy była w kołysce, nad głową jej usypiającą snem wiekuistym wydzwoni ostatnią dla niej pieśń tej ziemi.

Tak roiała kobieta uboga. Nocy tej w izbie na poddaszu lampa nie gasła aż do świtania. Marta czytała książkę, którą z obcej mowy przełożyć jej polecono. Czytała zrazu powoli, z uwagą, potem z zapałem, z gorączkowym niemal zajęciem. Zrozumiała myśl jej twórcy, przedmiot pisma przeniknął jej umysł, jasno i wyraźnie stanął przed oczami. Pojęcie jej stało się niby elastyczne koło i coraz obszerniejszą, kompletniejszą obejmowało całość; intuicja, ten rzadki i wysoki dar z człowieka czyniący półboga, podniosła się z głębokości ducha młodej kobiety i szeptała jej do ucha słowa nie znanych dotąd zagadnień.

Dzień był biały, gdy Marta zgasła lampę i pochwyciła pióro. Pisała, a kiedy niekiedy odrywając oczy od papieru, przenosiła je w stronę izby, w której stało łóżko z uspi- onym dziecięciem. Przy białym świetle zimowego poranku Jancia wyglądała blado i cierpiąco. Gdy pierwszy promień słońca wniknął do izby, otworzyła oczy. Wtedy matka powstała, ukłękła przy łóżku i otaczając ramieniem na wpół

uspięone ciało dziecka pochyliła na poduszkę zmęczoną, gorącą głowę.

W tej samej chwili ruch zawrzał na mieście. Zaturkotały powozy, zabrzmiały dzwony kościelne, warem zakipiały rozmowy, śmiechy i wołania. Warszawa witała rok nowy.

Od dnia, w którym Warszawa witała rok nowy, sześć tygodni minęło. O pierwszej południowej godzinie Marta jak zwykle opuściła szwalnię, aby wrócić do domu i obiad dla siebie i dziecka sporządzić. Ucałowała Jancię, która smutna i znękana w ciasnej izbie stróża ożywiała się nieco na widok matki, i przystawiwszy do małego ognia garnek ze strawą młoda kobieta wysunęła szufladę stolika i wydo- była z niej kilkanaście arkuszy papieru. Było to już skoń- czone tłumaczenie francuskiego dzieła. Nad wykonywa- niem go pracowała tygodni pięć, nad przepisowywaniem ty- dzień. Teraz z uśmiechem na ustach przeglądała kartki napelnione kształtnym i czystym pismem.

Przez czas ubiegły w powierzchowności jej zaszły nowe zmiany, ale wcale inne niż uprzednio. Pracowała podwójnie, bo w dzień i w nocy. Dziesięć godzin dziennie szyła, dzie- więć godzin nocnych pisała, godzinę przepędzała na rozmow- wie z dzieckiem, cztery godziny spała. Był to sposób życia niezupełnie zapewne odpowiadający prawidłom higieny, a jednak smugi chorobliwej żółtości zniknęły z twarzy Marty, czoło jej wygładziło się, oczom wrócił blask dawny. Kaszlała rzadziej, wyglądała zdrowo i niemal świeżo. Duch jej, skąpany w spokoju i orzeźwiony nadzieją, pokrzepił upadające wprzód ciała, szlachetne zadowolenie z siebie samej wyprostowało na nowo smukłą kibić, pogodę przy- wróciło czołu. Po sporządzeniu i spożyciu obiadu, składają- cego się z jednej prostej wielce potrawy i kawałka czarnego chleba, Marta przejrzała przed chwilą manuskrypt owinęta arkuszem cienkiego białego papieru. Czyniła to ze staraniem jakimś szczególnym, z malującym się na twarzy uczuciem pieczołowitości i zarazem wewnętrznej głębokiej rozkoszy.

Na jednej z wysokich wieży miasta uderzyła godzina druga. Marta odprowadziła Jancię do izby stróża i wyszła na miasto. O trzeciej powinna była znaleźć się na zwykłym swoim miejscu w szwalni Szwejcowej, przedtem zaś jeszcze wstąpić chciała do znajomej sobie księgarni.

Księgarz-wydawca stał jak zwykle za kontuarem, zajęty zapisywaniem cyfr i notat w wielkiej księżce. Przy wejściu Marty podniósł głowę. Ukłonił się wchodzącej bardzo uprzejmie.

— Skończyłaś już pani pracę swą — rzekł biorąc rękopism z ręki Marty — to dobrze, czekałem na nią z niecierpliwością. Dzieło to wydanym być powinno teraz lub nigdy... kwestia bieżąca, paląca czekać nie może... dziś obchodzi ogół, jutro może mu być obojętną. Z przejrzaniem rękopismu pośpieszę. Chciej pani przyjść jutro o tej samej porze, a będę mógł udzielić jej wiadomość stanowczą.

Dnia tego w pracowni Szwejcowej Marta niewiele wykonywała roboty. Usiłowała spełnić jak najlepiej to, co pomimo wszystkiego mieniła swym obowiązkiem, ale nie mogła. Ręce jej drżały, chwilami ciemna mgła przysłaniała oczy, serce uderzało z mocą oddech w piersi tamującą. Teraz, w tej chwili może, księgarz-wydawca rozwija jej rękopism, czyta go... przebiega może oczami piątą stronę... O! żeby też przebiegł ją szybko, bo tam właśnie znajduje się ustęp, który, najtrudniejszy do zrozumienia, najmniej dobrze wyszedł w przekładzie... za to koniec rękopismu, ostatnie jego karty przełożone wybornie... Pisząc je Marta czuła sama, że porywa ją rzeczywiste natchnienie, że myśl mistrza odzwierciedla się w jej słowach, jak wspaniałe oblicze mędrca w przeczystym zwierciadle... W mieszkaniu Szwejcowej zegar uderzył godzinę dziewiątą, robotnice rozeszły się, Marta wróciła do swej izby. O północy wyobrażała sobie, że księgarz-wydawca teraz właśnie zamyka zakreślony przez nią a przez niego przeczytany zeszyt.

Cóż by była dała za to, gdyby widzieć mogła w tej chwili fizjonomię jego! Jestże ona zadowolona lub zasepioną, surową lub obiecującą spełnienie jej nadziei? Biały dzień

wnikał do izby, gdy Marta, oparta o poduszkę, oczami, które przez noc całą nie zamknęły się ani na chwilę, wpatrywała się w widniejący za drobnymi szybami kawałek nieba. W oczach tych, rozwartych szeroko, nieruchomych pod bladym czołem, malowało się głębokie błaganie, tryskała z nich niema, lecz gorąca modlitwa. O godzinie ósmej miała według zwyczaju udać się do szwalni, ale nogi tak drżały pod nią, głowa tak płonęła i piersi tak bolały, że opuściła się na stołek, czoło objęła dłońmi i powiedziała sobie:

— Nie mogę...

Wstając, czesząc swe długie jedwabiste włosy, wkładając załobną zestarzałą suknię, sporządzając napój poranny dla dziecka i nawet rozmawiając z Jancią, wciąż jedną myśl miała w głowie: „Przyjmie pracę moją czy nie przyjmie? umiem prace takie spełniać czy nie umiem?” „Kocha, nie kocha” — szeptała urocza Gretchen obrywając z kolei śnieżne listki polnej astry. „Umiem, nie umiem” — myślała uboga kobieta rozpalając na kominie dwa biedne polana, warząc nędzną strawę, zamiatając posępną izbę i tuląc do piersi blade ukochane swe dziecko. Któż zdoła na pewno określić, w której z dwóch tych pytających kobiet spoczywał głębszy, straszniejszy dramat, którą w okrutniejszy sposób odpowiedzą swą los miał zgruchotać, która z nich była nie- szczęśliwszą i mniej wymagającą od ziemi srożej zagrożoną?

Około godziny pierwszej po południu Marta była znowu na chodniku Krakowskiego Przedmieścia. Im bardziej zbliżała się do mety, ku której dążyła, tym więcej zwalniała kroku. Znalazła się już przed drzwiami księgarni i nie weszła jeszcze; postąpiła w przeciwnym kierunku, oparła się ręką o balustradę otaczającą jeden z pysznych pałaców i stała chwilę z pochyloną głową.

W kilka minut dopiero potem przestąpiła próg, za którym czekała na nią radość lub rozpacz.

Tym razem oprócz właściciela zakładu znajdował się w księgarni niemłody mężczyzna w okularach, z wyłysiałą czaszką, z wielką twarzą o szerokich i pulchnych policzkach. Siedział w głębi obszernej sali nad kilkudziesięciu to-

mami rozrzuconymi po obszernym stole, z książką w ręku. Marta najmniejszej nie zwróciła uwagi na nie znanego sobie człowieka, nie widziała go prawie. Wszystkie władze jej ducha skupiły się w jej oczach, które od progu zaraz spotkały twarz księgarza i w niej utonęły. Księgarz siedział tym razem za kontuarem i czytał gazetę. Przed nim leżał zwój papieru. Marta poznała swój rękopism i uczyła dreszcz przebiegający ją od stóp do głowy. Dlaczego rękopism ten znajdował się tutaj i zwiniętym był tak, jakby miał wnet oddanym zostać komuś? Być może, iż księgarz gotuje się pójść zaraz do drukarni i dlatego położył przed sobą ten zeszyt, może zresztą nie przeczytał go jeszcze, nie miał czasu. W każdym razie nie na to leży on tu, aby wręczonym być tej, która spędziła nad nim kilkadziesiąt nocy, ukochała go, wypieściła, zamknęła w nim najdroższą swą nadzieję... jedyną nadzieję! Nie, tak być nie mogło! przez Boga miłosiernego, tak być nie mogło! Myśli te snopem palących błyskawic w kilku sekundach przeleciały przez głowę Marty.

Postąpiła ku księgarzowi, który powstał i oglądając się na obcego w księgarni niemłodego mężczyznę podawał jej rękę. Trudność tę Marta spostrzegła, lecz wnet przypisała ją obecności świadka. Ten ostatni przecież zdawał się być zanurzonym w czytaniu; od miejsca, na którym naprzeciw księgarza stała Marta, dzieliło go kilkanaście kroków. Marta odetchnęła z głębi piersi i zapytała z cicha:

— Czy przeczytałeś pan mój rękopism?

— Preczytałem, pani — odpowiedział księgarz.

Na Boga! cóż znaczyć może ten dźwięk głosu, którym wymówił dwa te wyrazy! W znizonych tonach jego zabrzmiało jakby niezadowolone łagodzone uczciwym żalem.

— I jakąż otrzymam od pana wiadomość? — ciszej jeszcze niż wprzód wymówiła kobieta i z zapartym oddechem szeroko otwartymi oczami wpatrzyła się w twarz księgarza. O, gdybyż wzrok ją mylił! Wszakże na twarzy tej było zmieszanie połączone z tym samym współczuciem, które brzmiało w głosie!

— Wiadomość, pani — zaczął księgarz półgłosem i pozwoli — wiadomość niepomyślna... Boli mię, bardzo boli,

że powiedzieć to pani muszę... ale jestem wydawcą odpowiedzialnym przed publicznością, przemysłowcem zmuszonym do strzeżenia mych interesów. Praca pani posiada wiele zalet, ale... nie kwalifikuje się do druku...

Usta Marty poruszyły się słabo, głosu jednak żadnego nie wydały. Księgarz po chwili milczenia, w czasie której szukał widocznie w głowie swej słów okoliczności odpowiednich, mówić zaczął:

— Mówiąc, że przekład pani nie jest pozbawionym pewnych zalet, powiedziałem prawdę; co więcej, o ile znam się na tym, na pewno powiedzieć mogę, że posiadasz pani widoczne do pióra zdolności. Styl pani nosi na sobie dość energiczne piętno zdolności tych: jędrny jest, ożywiony, miejscami pełen werwy i zapału. Ale... o ile z pracy pani uważać mogłem, zdolności te jej niezaprzeczone pozostają w stanie, przebacz pani, że się tak wyrażę, rudymmentarnym, nie obrobionym. Brakuje im wsparcia nauki, pomocy, jakich tylko znajomość techniki sztuki pisarskiej udzielić może. Oba języki, z którymi miałaś tu pani do czynienia, znasz zbyt mało, abyś o władnąc nimi mogła, jak wymagał tego przedmiot i nomenklatura naukowa. Co więcej, znaczna część wysokiej mowy literackiej, posługującej się mnóstwem wyrażen w potocznym użyciu nie istniejących, jest pani widocznie bardzo mało znana. Stąd częste zamiany słów, nietrafność wyrażen, ciemności i płątaniny stylowe. Słowem, zdolności pani masz, ale uczyłaś się za mało, sztuka zaś pisarska, chociażby tylko ograniczać się miała na wykonywaniu przekładów, wymaga niezbędnie pewnego, dość szerokiego kręgu odbytych już studiów, pewnej dość obszernej wiedzy, fak ogólnie naukowej, jak specjalnie technicznej...

Wypowiedziawszy to wszystko księgarz umilkł i po chwili dopiero dodał:

— Oto jest cała prawda, którą wypowiedziałem ze smutkiem. Jako znajomy pani, żałuję, żeś pani nie zdobyła sobie pożądanej ci sposobności pracowania; jako człowiekowi, smutno mi, żeś nie kształciła dostatecznie swych zdolności. Posiadasz pani zdolności niezaprzeczone, szkoda tylko, wiel-

ka szkoda, że nie uczyłaś się więcej, obszerniej, gruntowniej...

Przy ostatnim słowie księgarz wziął ze stołu zwój papieru i podał go Marcie. Ale ona nie wyciągnęła ręki, nie uczyniła najmniejszego poruszenia; stała wciąż wyprostowana, sztywna, jakby skamieniała, i tylko na białych ustach jej drżał dziwny uśmiech. Był to jeden z tych uśmiechów, które miliony razy smutniejszymi są od łez, bo widać w nich ducha poczynającego szydzić z siebie i ze świata. Słowa księgarza sądzącego literacką pracę Marty były dosłownym prawie powtórzeniem słów literata wydającego przed kilku miesiącami wyrok na jej rysunek. Te to zapewne zbliżenie kurczowym uśmiechem poruszyło drżące wargi kobiety.

— Zawsze to samo! — szepnęła po chwili, po czym pochylała głowę i głośniejszym wyrzekła: — Boże mój, Boże, Bożel

Jęk, ten wydarł się z ust jej szybki, stłumiony, lecz przezywający. Nie tylko więc płakała już wobec świadków, ale i wydawała jęki. Gdzież więc podziała się dawna duma jej i mężna powściągliwość? Przymioty te, właściwe charakterowi Marty, stały w części w stopniowo nabywanym przyzwyczajeniu do nieustannie przenoszonych upokorzeń, pozostało ich w niej jednak tyle jeszcze, że po kilkunastu sekundach zdołała podnieść głowę, zatrzymać łzy pod powieką i dość jasnym nawet wzrokiem spojrzeć na księgarza. Wzrok ten wyrażał błaganie, niestety, znowu błaganie, a więc upokorzenie!

— Paniel — rzekła — byłeś dla mnie tak dobry, a że z dobroci twej pożytku odnieść nie mogłam, moja to już wina...

Zatrzymała się nagle. Wzrok jej stał się szklanym i wewnątrz cofniętym.

— Czy moja? — szepnęła bardzo cicho tonem pytania.

Pytanie to zadawała widocznie samej sobie, problemat społeczny, którego była jedną z przedstawiolek i ofiar, ujmował ją coraz ściślej w twarde ramiona i rozkazywał jej spoglądać w straszliwe swe oblicze. Otrząsała się jednak szybko z mimowolnej zadumy. Rozjaśniony znowu wzrok podniosła na twarz stojącego przed nią człowieka.

— Czy nie mogłabym uczyć się teraz jeszcze? Czy nie ma żadnego na świecie miejsca, w którym bym czegokolwiek wyuczyć się mogła? Powiedz mi pan, powiedz, powiedz!

Księgarz na wpół był zmieszany, na wpół wzruszony.

— Pani — odpowiedział czyniąc gest pożalowania — o żadnym miejscu takim nie wiem. Jesteś pani kobietą.

W tej chwili wyszedł z sąsiedniej sali i zbliżył się do księgarza jeden z subiektów z jakimś długim rejestrem czy rachunkiem w rękę.

Marta wzięła rękopism swój i odeszła. Kiedy na pożegnanie podała księgarzowi rękę, palce jej były zimne jak lód i zeszywniałe, twarz posiadała nieruchomość marmuru i tylko na ustach jej drżał wciąż migotliwy, przejmujący uśmiech, zdający się w nieskończoność powtarzać słowa tylko co wymówione: „Zawsze to samo!”

Zaledwie drzwi zamknęły się za Martą, niemłody mężczyzna z łysą głową i wielką twarzą rzucił na stół książkę, w której zdawał się dotąd być zagłębianym, i wybuchnął głośnym śmiechem.

— Z czego się pan śmiejesz? — ze zdziwieniem zapytał księgarz, podnosząc oczy znad rejestru podanego mu przed chwilą.

— Jakże się tu nie śmiać! — zawołał mężczyzna, a oczy jego błyskały zza grubych i mętnych szkieł serdeczną wesołością — jak się tu nie śmiać! Zachciało się jejmości zostać literatką, autorką! No, proszę! cha, cha, cha! ależ dałeś jej pan odprawę! Miałem, doprawdy, ochotę porwać się z krzesła i uściskać cię za to!

Księgarz patrzył na gościa swego surowym trochę wzrokiem.

— Wierz mi pan — odparł z odcieniem niezadowolenia — że z prawdziwą przykrością, powiem nawet z żalem, przyszło mi zasmucić tę kobietę...

— Jak to! — zawołał człowiek siedzący nad stołem książek — i pan to mówisz na serio?

— Zupełnie na serio; jest to wdowa po człowieku, którego znałem, lubiłem i szanowałem...

— Ba, ba, ręczę ci, że awanturnica jakaś! Porządne ko-

biety nie włóczą się po mieście szukając, czego nie zgubiły; siedzą one w domu, gospodarstwa pilnują, dzieci hodują i Boga chwala...

— Ależ zmiłuj się, panie Antoni, kobieta ta nie ma żadnego gospodarstwa, jest ona w nędzy...

— Ach, dałbyś, pokój, panie Laurenty! Dziwię się, że możesz być tak łatwowiernym! To nie nędza, panie, ale ambicja! ambicja! Chciałoby się czym błysnąć, zastąpić, najwyższe miejsce w społeczeństwie zająć i zdobyć sobie tym sposobem swobodę czynienia, co się podoba, i osłaniania wybryków swych urojoną wyższością, kłamaną pracą! Księgarz wzruszył ramionami.

— Jesteś przecie literatem, panie Antoni, i powinien być więcej coś wiedzieć o kwestii wychowania i pracy kobiet.

— Kwestia kobiet! — podskakując na krześle z rozrurzeniem nagle twarzą i pałającymi oczami wykrzyknął mężczyzna. — Czy wiesz pan, co to takiego, ta kwestia kobiet?

Umilkł na chwilę, bo zasapany z wielkiego uniesienia zmuszonym był głębiej odetchnąć. Po chwili spokojniejszym już głosem dodał:

— Na cóż ci zresztą mówić mam, co myślę o tym przedmiocie. Przeczytaj moje artykuły.

— Czytałem, czytałem i bynajmniej nie zostałem nimi przekonany, aby...

— No! to jeśli mnie nie wierzysz — wpadł mu w mowę literat w grubych okularach — nie będziesz przynajmniej lekceważył tego wszystkiego, co wypowiadają o tym powagi... wielkie powagi... Oto niedawno doktor Bischof... wiesz przecie, kto to Bischof?

— Bischof — rzekł księgarz — jest zapewne wielkim uczonym, ale oprócz tego, że nadużywa słowa jego i przesadzacie ich znaczenie, nie sędzę, aby mógł być wyrocznią skazującą tysiące nieszczęśliwych istot...

— Awanturnic! — przerwał znowu literat — wierz mi, że awanturnic tylko, istot ambitnych, pysznych i pozbawionych moralności. Po co nam, proszę, kobiety uczone, jak wyrażają się niektórzy, niezależne? Piękność, łagodność,

skromność, uległość i pobożność — oto są cnoty właściwe kobiecie, gospodarstwo domowe — to zakres jej pracy, miłość dla męża — oto jedyna stosowna i pożyteczna dla nich cnota! Prababki nasze...

W tej chwili weszło do księgarni parę osób, a opowiadanie o prababkach zawisło nie dokończony na otwartych pulchnych ustach literata. Ale jakichże silnych argumentów zaczerpnąłby on dla tylko co wygłoszonej swej teorii, jak wiele mógłby nowego powiedzieć i napisać o ambicji i zazdrości wiodących kobiety do przekraczania nakreślonych im przez naturę i wielkie powagi granic, gdyby mógł w tej chwili przeniknąć myśli idącej ulicą Marty!

Po wyjściu z księgarni była ona zrazu jakby ogłuszoną i onieczuloną. Nie myślała o niczym i nie czuła nic. Pierwsza myśl przytomna, jaka powstała w jej głowie, formowała się słowami: „Jacy oni szczęśliwi!” Pierwszym uczuciem budzącym się w niej wyraźnie była — zazdrość.

Szła wtedy chodnikiem przeciwległym temu, za którym szerokie i wspaniałe swe budowy rozpościera Kaźmirowski Pałac. Na obszernym pałacowym podwórzu roily się młodzieńcze postacie z ożywionymi twarzami, w dostojnych ubiorach wychowalców uniwersytetu. Jedni z młodzieńców tych trzymali pod ramieniem wielkie księgi w prostej oprawie lub bez oprawy, zniszczone, na wpół podarte od używania, inni owijali w papier elastyczne lub stałą poyskujące przedmioty, przyrządy naukowe zapewne, które nieśli do domów swych, aby z ich pomocą oddawać się uczonym eksperymentom i obserwacjom. Przez kilka minut napelniali oni podwórze gwarem rozmów cichszych i głośniejszych. Rozmawiali, gestykulowali żywo, od czasu do czasu z tej lub owej grupy wybiegała gama młodzieńczego śmiechu albo podniósł się głośniejszy wykrzyknik zdradzający uniesienie, zapal młodej piersi i przedmiot ulubiony studiów rozpalonej głowy. Po kilku minutach grupy rozprężyły się; widać było, jak młodzi ludzie podawali sobie dłonie i jedni z wesołymi uśmiechami na ustach, w zamyśleniu, inni jeszcze ożywioną prowadząc rozmowę, pojedynczo lub parami opuścili uniwersytecki

podwórzec i mieszała się z ludnością szeroki chodnik za-
legającą.

Marta szła bardzo powoli, z głową zwróconą wciąż ku
wielkiej budowie, która teraz przybrała dla wyobraźni jej
znaczenie świątyni o tajemniczej sile pociągu. Młodzi ludzie
z księgami pod ramieniem, z jasnymi lub poważnie za-
myślonymi twarzami wydawali się jej istotnie dzierżącymi
przywileje, dostojność i szczęście chyba półbogów. Biedna
kobieta westchnęła z głębi piersi.

— Szczęśliwi! och! szczęśliwi! — szepnęła i ogarniając
znowu wzrokiem wspaniałą budowę, którą zostawiała już
poza sobą, dodała: — Czemuż ja tam nie byłam? Czemuż ja
tam teraz być nie mogę?

„Nie mogę? — myślała dalej — dlaczegoż nie mogę?
Nie mam prawa! Dlaczego nie mam prawa?

Jakież to są te tak bezgraniczne różnice, które zachodzą
pomiędzy mną i tymi ludźmi? Dlaczego otrzymują oni to,
bez czego żyć tak trudno, a ja nie otrzymałam i otrzymać nie
mogę?”

Po raz pierwszy w swym życiu w piersi Marty podniosła
się fala palącego oburzenia, głuchego gniewu, gorzkiej
zazdrości. Zarazem doświadczyła uczucia niewysłowionej,
gniotącej pokory. Zdawało się jej, że najlepiej by uczyniła,
jeśliby w tej chwili upadła na kamienie chodnika, twarzą
ku ziemi, pod stopy przechodniów. „Niechby mię depta-
li! — pomyślała — czegożem więcej warta, ja, niedołężna,
do niczego niezdatna, nikczemna istota!”

Ostatni wyraz tej myśli przebrzmiewał w jej głowie, gdy
zwój papieru, który niosła, wymknął się z jej dłoni i upadł
pod stopy.

Zeszyt padając roztrząsał się; nachyliła się, aby go
podnieść, i na tle zakreślonej przez nią karty ujrzała dwa
trzyrublowe papierki.

Był to dar litościwego księgarza, który odrzucając nie-
udolną pracę kobiety pragnął jednak dać jej czynny dowód
swej litości. Marta wyprostowała się z zeszytem w jednym
ręku, szeleszczącymi papierkami w drugim. Oczy jej miały

w tej chwili blask ostry i przeszywający, pierś drżała
tłumionym, głuchym śmiechem.

— Tak! — wymówiła głośno prawie — im nauka i praca,
mnie — jałmużna...

Wyrazy syczały w ustach jej, tak prawie białych jak
papier, który trzymała w dłoni.

— Dobrze! — szepnęła po chwili — niech i tak będzie!
Dlaczego nie dali mi tego, czego dziś wymagają ode mnie,
dlaczego wymagają ode mnie tego, czego mi nie dali!
Niech teraz dają pieniądze... tak... pieniądze... darmo... będę
brała... niech dają...

Szybkim, nerwowym ruchem wsunęła asygnaty w kie-
szeń zniszczonej sukni i zachwiała się na nogach. Teraz
dopiero, gdy duch jej wtrąconym został na nowo w odmet
strasznej burzy, ciało przypomniało jej, że była głodną,
że kilkadziesiąt nocy spędziła nad pracą, która nie przydała
się na nic. Nie mogła iść dalej. Przez mgłę, która wzrok
jej przysłaniała, ujrzała przed sobą wschody. Były to wscho-
dy świętokrzyskiego kościoła. Osunęła się na nie, oparła
głowę na rękę i przyknęła oczy. Po krótkiej chwili ze-
sztywniały jej rysy zmiękły, lód, w którym uczucia ścięły
się w jej piersi, tajał, spod powiek spuszczonej po marmu-
rowo bladym policzku płynąć poczęły łzy, kropla po kropli,
bujne, ciężkie, padały na chude ręce i kryły się pomiędzy
fałdami żałobnej sukni.

Gdy tak się działo z Martą, chodnikiem Krakowskiego
Przedmieścia postępowała para ludzi: kobieta i mężczyzna.
Szli krokiem prędkim i lekkim, rozmawiali z sobą z wielkim
ożywieniem. Kobieta młodą była, wystrojoną i piękną,
mężczyzna młodym także, wytwornie ubranym i bardzo
przystojnym.

— Mów pan, co chcesz, przysięgaj, jak chcesz, a nie
uwierzę ci, abys kiedykolwiek w życiu swym mógł być
naprawdę zakochanym!

Mówiąc to młoda kobieta śmiała się ustami i oczami.
Za ust jej koralowej barwy ukazywały się dwa rzędy
białych i drobnych zębów, piwne źrenice błyskały i rzu-
cały dokoła szybkie wejrzenia. Mężczyzna westchnął. Była

to parodia westchnienia, mieszczącego w sobie więcej żartu i wesołości niż śmiech kobiety.

— Nie wierzysz mi — piękna Julciu, a jednak Bóg mi świadkiem, że kochał się przez dzień cały nie tylko naprawdę, ale szalenie, bez pamięci! Wystaw bo sobie taką boską istotę! Wysoka jak topola, oczy wielkie, czarne, płeć jak alabaster, włosy jak krucze pióra, olbrzymie i nie sztuczne, powiadam, że nie sztuczne, ale własne, już ja się na tym znam... Smutna, blada, nieszczęśliwa... o bogini! Ale to wszystko jeszcze nic, podobała mi się od razu co prawda, powiedziałem przecie sercu mojemu: „Milcz!”, bo wiedziałem, że siostra moja nie żartem ją polubiła i strzec ją ode mnie postanowiła, jak od ognia... Wtedy jednak, kiedy przyszła do mojej siostry i tym swoim cudownym, lubym, słowiczym głosikiem powiedziała: „Nie mogę uczyć córki pani...” Ale ja tobie, piękna pani... Julciu, opowiadałem już tę historię... otóż wtedy to właśnie zakochałem się w niej naprawdę. Przez cały dzień potem chodziłem jak odurzony po wszystkich ulicach szukając mojej bogini...

— I nie znalazłeś jej pan?

— Nie znalazłem.

— Nie wiedziałeś, gdzie mieszka?

— Nie wiedziałem. Siostra moja wiedziała, ale ba! Ilem razy spytał ją o adres pięknej wdowy, odpowiadała mi zawsze: „Czemu ty, Olesiu, do biura nie idziesz?”

Kobieta parsknęła śmiechem.

— Siostra pana musi być okropnie poważną osobą! — zawołała.

Mężczyzna nie zaśmiał się tym razem ani westchnął.

— Nie mówmy o siostrze mojej, panno Julio — rzekł głosem, w którym brzmiała pewna stanowczość. — Oto lepiej posłuchaj dalszego ciągu dramatu mojego życia. Ach! był to dramat... Wyobraź sobie, że dnia tego spotkawszy na ulicy pannę Malwinę X., ukloniłem się jej tylko z daleka, koło drzwi Stępkosia przeszedłem ze schyloną głową i z westchnieniem w piersi ujrzałem na afiszu Piękną Helenę, i nie poszedłem do teatru, słowem, pogrążony

zostałem w rozpacz tak ponurą, że gdyby mię pocziwy Bolek nie zaprowadził nazajutrz do pewnego mieszkania przy ulicy Królewskiej, gdzie ujrzałem najpiękniejszą z bogiń ziemskich...

— O! o! — na wpół ze śmiechem, na wpół z zalotnym oburzeniem przerwała kobieta — bez komplementów tylko, bez komplementów.

— Byłbym już dotąd — ciągnął mężczyzna — byłbym już dotąd... znalazł tę, która znikła sprzed oczu moich...

— I której pan nie szukałeś więcej...

— Nie szukałem..

— I zapomniałeś o niej...

— Nie zapomniałem, och, nie zapomniałem. Ale rana serca zablizniła się jakoś... Cóż robić? Vivre c'est souffrir...

Wymówiwszy ostatnie wyrazy młody człowiek podniósł w górę spojrzenie pełne melancholii i zagwizdał z cicha arię Kalchasa z Pięknej Heleny.

Nagle przestał gwizdać, stanął i zawołał:

— Ach!

Kobieta obok niego postępująca spojrzała nań zdziwiona. Wesoły Oleś wzrok miał utkwiony w jednym punkcie i o dziwy! z ust jego zsunął się uśmiech wiekuisty. Kształtna i delikatna linia ust tych, jak też i wszystkie linie twarzy młodzieńca mieniły się i falowały, jak bywa zwykle u ludzi z naturą wrażliwą, gdy są nagle wzruszonymi.

— Cóż tam takiego? — zapytała piękna kobieta niechętnym trochę głosem. — Doprawdy — dodała zalotnie — powinnam mieć urazę do pana, panie Olesiu! Idziesz pan ze mną, a patrzysz, nie wiem na kogo...

— To ona! — szepnął Oleś, — ach, jakże piękna!

Przez chwilę młoda i strojna kobieta nosząca imię Julii szukała wzrokiem punktu, na którym tak upornie spoczywał wzrok jej towarzysza. Nagle pochyliła się nieco i wyciągając przed siebie ręce ukryte w sobolowej mufce, zawołała:

— Wszakże to Marta Świcka!

Znajdowali się o kilka zaledwie kroków od wschodów świętokrzyskiego kościoła, na których siedziała kobieta

w żałobnej sukni, w czarnej wełnianej chustce zarzuconej na głowę i skrzyżowanej na piersiach.

Marta już nie płakała. Ze łzami, które przez chwilę gwałtownie, choć cicho płynęły z jej oczu, wyplakala znaczną część tych gryzących uczuć, których burza obezsiłnia ją i na wół omdlała rzuciła na to miejsce. Teraz twarz jej była biała jak marmur i podniesiona w górę, a oczy suche, z gorącym połyskiem i głębokim wyrazem nieruchomo patrzyły w błękitne niebo. Cała zresztą postać jej była nieruchomą. Najmniejsze drgnienie nie ożywiało podniesionych jej powiek ani ust zwartych, ani zziębniętych rąk splecionych wśród grubych fałd sukni. Z daleka wziąć by ją można było za posąg zdobiący wnijście do wspaniałej świątyni, posąg wyobrazający duszę modlącą się lub zapytującą, albo też i modlącą się, i zapytującą zarazem.

Marta patrzała w niebo, w oczach jej była modlitwa gorąca, ale zarazem i głębokie jakieś, namiętne, natarczywe niemal pytanie.

— Jakaż ona piękna! — z cicha powtórzył wesoly Oleś i pochylając się ku swej towarzysze, ciszej jeszcze dodał: — Gdyby ją tak z tymi wschodami razem przenieść do teatru, na scenę... dopiero to byłby efekt!

— Prawda, że jest piękna — odszepnęła towarzyszka wesolego Olesia — ależ ja ją znam wybornie... Co się z nią stało?... czego ona tu siedzi? i jak ubrana! Zebraczka czy co?...

Zamieniając te wyrazy młoda para zbliżała się coraz bardziej do kobiety, która zwróciła jej uwagę.

Marta nie spostrzegła, że jest czyjejkolwiek uwagi przedmiotem. Odkąd bezsilna i burzą uczuć stargana usiadła tu na chwilowy spoczynek, wiele może osób przechodzących ulicą patrzyło na nią, ale ona nie widziała nikogo. Cała dusza jej błądziła za tymi błękitami, w których zatoneły jej oczy; tam szukała ona jakiejś siły dobrej i potężnej, która by chciała i mogła skruszyć gnębiącą ją fatalność. Tuż nad głową zatopionej w zadumie kobiety ozwały się dwa głosy.

— Pani! — mówił głos jeden, męski i niższy wzruszeniem czy uszanowaniem.

Marta nie usłyszała tego głosu.

— Marto! Marto! — zawołał głos drugi, kobiecy.

Głos ten Marta usłyszała, dźwięczały w nim brzmienia znane jej dobrze z dawna. Wydało się Marcie, jakoby w tej chwili przeszłość jej zawołała na nią po imieniu. Powoli i jakby z ciężkością żrenice jej oderwały się od wysokich błękitów i spłynęły na twarz kobiety, która stała przed nią, sobolową muskę na śnieg pod stopy swe rzuciła, a ku niej wyciągnęła dwie drobne ręce zamknięte w liliowych połyskujących rękawiczkach.

— Karolina! — szepnęła Marta ze zdziwieniem tylko zrazu, po chwili jednak jaśniejszy promień przebiegł po twarzy jej i stopił nieruchomość jej rysów.

— Karolcia! — wymówiła głośniejszy i powstała. Pochwyliła obie podawane sobie ręce kobiety.

— Karolcia! — powtórzyła — mój Boże, tyżeś to, do-prawdy?

— Tyżeś to, Marto? — wzajemnie zapytała kobieta w atłasach i sobolach i błyszczące swe oczy ze smutkiem zata-piała przez chwilę w bladej, wychudłej twarzy, która na widok jej zadrżała radością. Ale w oczach tych smutek nie mógł znać gościć długo.

Kobieta w atłasach zaśmiała się i zwrócona do towarzysza swego rzekła:

— Czy widzisz, panie Aleksandrze, jak się to ludzie spotykają na świecie? Wszakże my z Martą znamy się od dzieciństwa!

— Tak, od dzieciństwa! — powtórzyła Marta, teraz dopiero spostrzegając wesolego Olesia i witając go ukłonem.

— Po kim nosisz żałobę? — pytała kobieta w sobolach, szybkie spojrzenie rzucając na nędzny ubiór Marty.

— Po mężu.

— Po mężu! a więc owdowiałaś! to szkoda! przystojny był chłopak z twego Jasia, jesteś więc wdową. Gdzie mieszkasz stale? na wsi czy tutaj?

— Tu, w Warszawie.

— Tu, a dlaczego nie wróciłaś na wieś?

— Wieś mego ojca w kilka miesięcy po ślubie moim sprzedano z licytacji.

— Z licytacji! tak! to szkoda, nie masz więc żadnego majątku, bo ten poczciwy Jaś kochał cię szalenie i musiał tracić na ciebie wszystko, co miał. Cóż więc robisz teraz? jak żyjesz?

— Jestem szwaczką.

— Ciężka robotą! — zaśmiała się kobieta w atlasach — i ja próbowałam jej trochę, ale nie udało mi się.

— Ty, Karolciu! ty byłaś szwaczką! — z kolei zdziwiona zawołała Marta.

Kobieta w atlasach zaśmiała się znowu.

— Próbowałam być szwaczką, ale jakoś mi się nie udało! Cóż robić? tak chciało przeznaczenie, na które jednak nie uskarżam się wcale...

I znowu zaśmiała się. Tak często powtarzający się śmiech jej, w półpłochy, w półzalotny zdawał się płynąć więcej z przyzwyczajenia do ciągłego śmiania się niż z wesołości. Teraz Marta orzuciła spojrzeniem bogaty strój stojącej przed nią kobiety.

— Czy wyszłaś za męża? — zapytała.

Kobieta zaśmiała się znowu.

— Nie! — zawołała — nie, nie! nie wyszłam za męża, moja droga! to jest, jak ci mam powiedzieć? ale nie, nie! za męża nie wyszłam...

Śmiała się wciąż mówiąc to, ale śmiech jej miał już tym razem przykre, trochę przymuszone brzmienie. Wesoły Oleś, który nie spuszczał oczu z Marty, przy ostatnim jej pytaniu spojrzał na Karolinę, musnął wąsik i uśmiechnął się.

— Cóż ja najlepszego czynię — zawołała kobieta w atlasach — paplaniną moją zatrzymuję państwo na chłodzie i wtedy, kiedy moglibyśmy wsiąść do dorożki i wnet pojechać do mego mieszkania. Pojedziesz ze mną, Marto? prawda? porozmawiamy długo i opowiemy sobie wzajemnie historię naszego życia...

Zaśmiała się znowu i rzucając dokoła szybkie, błyszczące spojrzenia, dodała:

— O, te historie naszego życia! jakie one są zabawne! opowiemy je sobie wzajem, Marto, nieprawdaż?

Marta zdawała się wahać przez chwilę.

— Nie mogę — rzekła — dziecko moje czeka na mnie.
— A! masz dziecko! a więc cóż stąd? poczeka jeszcze trochę.

— Nie mogę...

— A więc przyjdź do mnie za godzinę... dobrze? Mieszkam na ulicy Królewskiej...

Wymieniła numer domu, ścisnęła w dłoniach swych rękę Marty:

— Przyjdź! przyjdź — powtarzała — czekać cię będę..., przypomnimy sobie dawne czasy.

Dawne czasy mają zawsze urok wielki dla tych, którym nowe nie przyniosły nic prócz łez i bóleści.

Marta czuła się orzeźwioną i żywo wzruszoną widokiem odnalezioną niespodzianie towarzyszkę swej młodości.

— Za godzinę — rzekła — przyjdę do ciebie, Karolciu.

Kto by wtedy na grupę trzech osób wśród chodnika stojących pilną zwracał uwagę, mógłby spostrzec, że gdy Marta wyrzekła słowo: „Przyjdę!”, Oleś uczuł niepoohamowaną prawie ochotę podskoczyć wysoko i wykrzyknąć: „Victoria!” Nie uczynił jednak ani jednego, ani drugiego, rzucił się tylko w tył nieco i strzepnął palcami. Czarne oczy jego żarzyły się jak rozpalone węgle i tonęły w błędej twarzy Marty, którą w tej chwili rozświetlił uśmiech. Kiedy na koniec młoda kobieta odeszła, człowiek wiekuistego śmiechu zwrócił się do swej towarzyszkę.

— Jak żyję — zawołał z zapałem — jak żyję, nie widziałem tak miłego, pociągającego stworzenia! Jak jej do twarzy w tej obrzydliwej chustce, którą ma na głowie. O! ja bym ją ubrał w atlasy, w aksamity, w złoto...

Pani Karolina podniosła nagle głowę i spojrzała w rozognioną twarz młodego człowieka.

— Doprawdy? — zapytała przeciągłym tonem.

— Doprawdy — odpowiedział Oleś i nawzajem znaczące wejrzenie utopił w oczach swej towarzyszkę.

— Kobieta w atlasach zaśmiała się krótkim, suchym śmiechem.

Dzień zimowy miał się ku końcowi. W saloniku, którego okna wychodziły na ulicę Królewską, na zgrabnym kominku otoczonym żelazną, kunsztownie wyrobioną kratą żarzyły się węgle w takiej ilości, aby nie rażał zbyt gorącym, przyjemnie tylko dokoła rozlewać mogły ciepło.

Przed kominkiem stała kozetka wybita amarantowym adamaszkiem i niski fotel na biegunach, orzucony kwiecistym kobiercem, z podnóżkiem, na którym znajdował się wysyty włóczkami, śliczny, długouchy wyżetek.

Na kozetce w pół leżała smukła postać kobiety w czarnej sukni z szeroką białą taśmą u dołu.

Na fotelu, drobne i wytwornie obute stopy opierając o podnóżek, kołysała się lekko druga kobieta w modnym kostiumie z fioletowego atlasu, aksamitem i frędzlami tegoż koloru bogato przystrojonym, w białym jak śnieg webowym kołnierzyku spiętym wielką, w złoto oprawną kameą, z jasnopłowymi włosami, wysoko nad czołem zaczesanymi, ledwie dojrzanym pyłkiem białego pudru przysypanymi i w długich krętych pasmach opadającymi na plecy, piersi, szyję i ręce, które, białe i drobne, wysuwały się z webowych mankietów i splecione na atlasowej tunice sukni połyskiwały dużym brylantem jedyne, lecz wielce kosztownego pierścienia.

Salonik, w którym znajdowały się dwie te kobiety, nie był obszernym, tym bardziej więc uderzał w oczy wykwint tego przystroju. Jedwabne firanki spuszczały się nad dwoma wielkimi oknami i przyozdabiały drzwi wysokie; szerokie zwierciadło odbijało w sobie rozrzucone pod ścianami grupy niskich miękkich sprzętów, na kominku stał wielki zegar brązowy, a stoły i stoliczki dźwigały kryształowe czary napełnione kwiatem, srebrne dzwonki, rzeźbione bombonierki, wieloramienne świeczniki. Przez drzwi na oścież rozwarte widać było utopiony w półmroku pokój sąsiedni, z posadzką zasłaną puszystym kobiercem, z okrągłym politurowanym stołem pośrodku i zwieszoną nad nim wielką kulą szklaną, w której rozniecony płomień, przybierać musiał barwę różową. Delikatna woń cieplarnianych roślin pod oknami kwitnących napełniała to małe mieszkanie; w pobliżu kominka,

ocieniony zielonym ekranem, stał stół z porcelanowym serwisem i resztkami tylko co znac spożywanych przysmaków.

Kobiety siedzące przed kominkiem milczały. Twarze ich, oświetlone różowym blaskiem żaru, posiadały odrębny całkiem charakter.

Marta pochylała głowę na poduszkę miękkiej kozetki, oczy jej były na w pół zamknięte, ręce zwisały bezwładnie na czarnej sukni. Po raz pierwszy od wielu miesięcy dotknęła ustami smacznego i obfitego pożywienia, znalazła się w atmosferze dostatecznie ogrzanej, w otoczeniu pięknych i harmonijnie dobranych przedmiotów. Ciepło pokoju i delikatna woń kwiatów upoiły ją na kształt trunku. Teraz dopiero uczuła, jak bardzo była znużoną, ile sił odebrały jej chłód, głód, smutek, trwoga i walka.

Wpółleżąc na miękkim sprzęcie, ogarnięta falą ciepła rozgrzewającą długo zziębnięte jej członki, oddychała powoli i głęboko. Patrząc na nią można by rzec, iż zatrzymała w sobie myśl wszelką, usunęła od siebie dolegliwe mary trwóg i bólów i zdziwiona ciszą, wonią, ciepłem i pięknoscią tego nieznanego raju, do którego wstąpiła, odpoczywała przed nowym zstąpieniem w ciemne głębokości swej doli.

Karolina szeroko otwartymi, uważnymi, przenikliwymi oczami patrzała na swą towarzyszkę. Białe policzki jej zabarwione były świeżym rumieńcem, usta posiadały barwę koralu, a ciemne oczy — połysk młody i żywy. Świeżość jednak tej kobiety nie była zupełną. Wszystko w niej było młode i na pozór przynajmniej pogodne, oprócz czoła. Na czole tym oko wprawne do czytania w twarzach ludzkich mogłoby dojrzeć ślady długiej i nie skończonej jeszcze historii życia, serca, a może i sumienia. Obok twarzy młodej, świeżej, pięknej czoło to samo jedno zwiędłe było i na w pół zestarzałe. Przebiegały je wszczędnie widzialne, lecz gęste niteczki zmarszczek, pomiędzy ciemnymi brwiami leżała na nim nieruchoma i na zawsze już tam zapewne wryta bruzda. Pomimo świeżości policzków, karminu ust, blasku oka i bogactwa stroju tej kobiety wyraz czoła jej obudzić mógł w pilnym i pojętym badaczu twarzy ludzkich trzy uczucia: nieufność, ciekawość i litość.

Od kilku minut dopiero pomiędzy dwoma kobietami tymi trwało milczenie. Marta przerwała je pierwsza. Podniosła głowę znad poduszki, na której wspierała się przez chwilę, i zwracając wzrok na towarzyszkę, rzekła:

— Opowiadanie twoje, Karolciu, wprawiło mnie w zdumienie wielkie. Któż by mógł przypuścić, że pani Herminia postąpi z tobą kiedy w sposób tak okrutny! Ona, która cię przecież wychowała, bliska krewna twoja podobno...

Karolina oparła plecy o wygiętą tylną poręcz fotelu i drobną stopą przyciskając silniej pieszka wyszytego na podnóżku, w szybszy bieg wprawiła bieguny swej wytwornej kolebki. Z lekkim uśmieszkiem na ustach i oczami wpatrzonymi w sufit mówić zaczęła:

— Bliską moją krewną pani Herminia nie była, owszem, dosyć daleką, ale nosiłam po ojcu to samo, co ona, nazwisko. Było to dostatecznym dla dumnej, bogatej pani, aby raczyła sierotę wychodować w domu swym i uczynić z niej potem rezydentkę czy tam pannę do towarzystwa. Wyświadczyła mi w istocie dobrodziejstwo wielkie, gdyż do końca życia i cokolwiek bądź nastąpiło potem, chlubić się mogę, iż wychodowałam się razem z pieskami, faworytami znanej na wielkim świecie pani Herminii. Edukacja nasza i sposób naszego życia, to jest mego i piesków, były bardzo do siebie podobne: ja i one spaliśmy na miękkich poduszkach, biegaliśmy po wywoskowanych posadzkach, spożywaliśmy wyborne delikatesy, i ta tylko pomiędzy nami zachodziła zawsze i zaszła ostateczna różnica, że one nosiły jedwabne kapki i złote obroże, ja zaś suknie jedwabne i złote bransolety, że one na koniec pozostały w raju, mnie zaś wyгнаł zeń mściwy anioł macierzyńskiej dumy...

Przy ostatnich wyrazach kobieta we fioletowym kostiumie zaśmiała się krótkim, suchym śmiechem, którego dźwięk, sprzecząc się z całą świeżą powierzchownością, zgadzał się ze zwiędnięciem czoła i tak jak ono obudzać mógł ku niej nieufność lub litość. Marta doświadczyć musiała ostatniego tego uczucia.

— Biedna Karolino! — rzekła — ileś ty przecierpieć

musiała wyszedłszy w świat tak sama jedna, bez żadnych środków do życia...

— Dodaj do tego, moja droga — zawołała Karolina patrząc ciągle w sufit — dodaj do tego, że wyszłam w świat z nieszcześliwą miłością w sercu...

— Tak — dodała prostując się i zwracając wzrok na towarzyszkę — wiedz bowiem, że kochałam naprawdę, kochałam okropnie syna pani Herminii, tego pana Edwarda, który (pamiętasz go zapewne) śpiewał tak czule: „O, aniele, co z tej ziemi!” i miał takie szafirowe oczy, którymi zdawał się patrzeć w samą głąb duszy... Tak, kochałam go bardzo... byłam tak niedorzeczną, że kochałam...

Mówiła to wszystko tonem żartobliwym, przy ostatnich wyrazach wybuchnęła głośną, długą, dźwięczną gamą śmiechu.

— Tak — wołała śmiejąc się — byłam tak niedorzeczną... kochałam!... O! jakże byłam niedorzeczną!...

— A on? — ze smutkiem zapytała Marta — czy kochał cię także prawdziwie? Co uczynił wtedy, gdy ci matka jego z domu swego wyjść rozkazała na biedę, samotność i tułaczkę?...

— On! — z przesadnym pathos wymówiła Karolina — on patrzył na mnie przez rok cały swymi prześlicznymi szafirowymi oczami, tak jak gdyby w głębię duszy mej przedrzeć się i zawojować ją wzrokiem swoim pragnął; śpiewał na fortepianie pieśni, od których tajało mi serce, ścisnął mi rękę w tańcu, potem całował obie moje ręce i przysięgał na niebo i ziemię, że kochać mię będzie do grobu, potem pisywał do mnie z pokoju do pokoju listy strzeliste i płomieniste, potem... gdy matka jego, jeden z listów tych wypadkiem przeczytawszy, rozkazała mi iść, dokąd mię oczy me poniosą, pojechał na karnawał do Warszawy; spotkawszy mię na ulicy, a byłam wtedy głodna, zrozpaczona, w łachmanach prawie ubrana, zarumienił się jak piwonia, spuścił oczy, minął niby nie poznając i w kilka dni potem w kościele pp. Wizytek ślubował przed ołtarzem pięknej i bogatej dziedzicze wiarę i miłość dożgonną... Tak on mię kochał i to dla mnie uczynił...

I znowu zaśmiała się, ale tym razem krótko i sucho.

— Nikczemny! — z cicha wymówiła Marta.

Karolina wzruszyła ramionami.

— Przesadzasz, moja droga — wymówiła z zupełną obojętnością. — Nikczemny! Dlaczego? czy dlatego, że korzystał z prawa, o którym wiedział, że przysługuje i przysługiwać będzie na świecie jemu i wszystkim towarzyszom jego? Czy dlatego nikczemny, że za przedmiot zabawy wziął sobie młodą i ubogą dziewczynę, tak głupią, iż uwierzyła, że jest dla niego przedmiotem miłości? Bynajmniej, moja droga. Pan Edward nie był zapewne świętym ani szczególnie jakimś bohaterem, ale nie był też, jak mówiłaś, nikczemnym. Miał on swoje wielkie zalety, upewniam cię, a tylko czynił to, co czynić świat pozwalał mu w zupełności, korzystał z udzielonego mu prawa, był takim, jakimi są wszyscy młodzi, bał często i niemłodzi mężczyźni.

Mówiła to z najzupełniejszą powagą, bez najłżejszego żartu lub szyderstwa, głosem zupełnego przekonania; skrzyżowała potem ręce na piersi i nie spuszczać wzroku z sufitu, zanuciła z cicha piosenkę z Dziesięciu cór na wydaniu. Marta wlepiała w nią zdumione oczy.

Po chwili kobieta w atłasach przestała nucić, wpołzęzając postawę zamieniła na siedzącą i opierając łokieć na kolanie, a twarz na dłoni pochyliła się nieco ku swej towarzyszce.

— Bo, na koniec — zaczęła mówić tym samym co pierwiej, rozważnym tonem — w sądach o ludziach trzeba przecież mieć wzgląd na ich przyzwyczajenia i na ten punkt, z którego zapatrują się oni na życie i jego sprawy. Jeżeliby, na przykład, kolory biały i czarny posiadały władzę myślenia i uczucia, to pierwszy przyzwyczaiwszy się do wyższości, jaką mu nieustannie nad drugim przyznają ludzie, mógłby wybornie wyobrazić sobie, że kolor czarny na to tylko stworzonym został, aby sprawiać wszelkiego rodzaju przyjemności, rozrywki i zabawy białemu. Najważniejszą rzeczą w stosunkach ludzkich, moja droga, są różnice, jakie pomiędzy nimi zachodzą, pomiędzy zaś panem Edwardem a mną zachodziły różnice olbrzymie...

— Zapewne — przerwała z żywością Marta — on był

człowiekiem bogatym, a ty ubogą dziewczyną, ale czyż bogactwo upoważnia do pomiatania tymi, którzy go nie posiadają?

— Po części — odpowiedziała Karolina. — Nie o bogactwie jednak i ubóstwie myślałam mówiąc o różnicach, boć przecie, gdybym była nie ubogą kobietą, ale ubogim mężczyzną, pan Edward, który, powtarzam, posiada wiele dobrych zalet charakteru, nie pomyślałby nawet o skrzywdzeniu mię lub obrażeniu. Mężczyzna bogaty i zarazem honorowy nie krzywdzi i nie obraża mężczyzny ubogiego; jeżeli kiedy tak uczyni, rzuca to płamę na jego charakter, poddaje go chłości nagany publicznej. Ale ja nie byłam mężczyzną, byłam kobietą; obrażenie zaś, skrzywdzenie kobiety w ten sposób, jak to miało miejsce pomiędzy mną i panem Edwardem, to rzecz wcale inna jak obrażenie i skrzywdzenie mężczyzny. Ça ne tire pas à conséquence! Owszem, przynosi to chlubę, nazywa się powodzeniem, dzielnością męską, czyni młodego człowieka interesującym, rzuca nań pewien urok sławy. „Dzielny chłopak z tego Edzia!” „Co za diabelski zjadacz serc!” „Urodził się w czepku!” „Ma szczęście do kobiet!” „Jemu zbałamucić dziewczynę, to jak orzech zgryźć” itd., itd. Każdy człowiek, moja droga, nadzwyczaj lubi być chwalonym, a nagany lęka się jak ognia. Mnóstwo ludzi nie czyni złego przez obawę nagany, a czyni dobrze przez pragnienie pochwały. Pan Edward miał do mnie sympatię, nic dziwnego: miałam lat osiemnaście i byłam piękną... pofolgował sobie tej sympatii w sposób, który zapewne był dla niego przyjemnym, nic dziwnego także; wiedział dobrze od dzieciństwa, że takie folgowanie jest jego nieodebralszym prawem, z którego gdy nie skorzysta, nazywać się będzie w świecie mazgajem i nie-dołęgą, gdy zaś skorzysta, pasowanym zostanie na dzielnego chwata i zajmującego młodzieńca. Uczynił to, co uczyniłby na miejscu jego każdy, toteż nie mam do niego pretensji żadnej, i owszem, jestem mu wdzięczną... popchnął mnie w świat, nauczył mnie życia i wielkich prawd jego...

Wyciągnęła rękę, wzięła ze stojącego na stole kryształowego spodka różaną konserwę i chrupiąc ją w białych zębach, przydeptała znowu silnie drobną stopką włóczkowego

wyżelka. Bieguny poruszyły się zwawiej i zakołysały leżącą na długim fotelu kobietę. Żrenice jej, powolnym ruchem błędzące po otaczających przedmiotach, podobne były w tej chwili do wielkiego brylantu połyskującego na palcu pod blaskiem ognia; jaskrawe barwy tęczowe migotały w nich jak w wypoliturowanych mrozem kryształach lodu. Ale oczy Marty, wpatrzone w twarz dawnej towarzyszki dzieciństwa i młodości, wyrażały głęboki namysł połączony z palącym niepokojem.

— Pchnął cię w świat, mówisz — wyrzekła po chwili z wolna i zniżonym głosem — cóż to za dobrodziejstwo? Świat ten dla biednej kobiety taki straszny, duszący... Nauczył cię prawd życia? Czy tych, które ukazują kobiecie, istocie ludzkiej przecież, bezdenne różnice leżące pomiędzy ludźmi i ludźmi? Okropne to prawdy! Nie stworzył ich Bóg, ale wytworzyli ludzie...

— A nam co do tego? — zawołała Karolina z krótkim swym, suchym śmiechem. — Czy Bóg je stworzył, czy ludzie wytworzyli, dość, że istnieją one, te prawdy mówiące mężczyźnie: „Będziesz uczył się, pracował, zdobywał i używał!”, kobiecie: „Będziesz cackiem i za igraszkę mężczyźnie służyc!” Boskie czy ludzkie, prawdy te znać nam trzeba, aby nie zjadać sobie serc w nadaremnych zgryzotach, nie trawić młodości w próżnym chwyтaniu nie dających się pochwycić promieni słonecznych; aby dać za wygraną temu, co nie dla nas istnieje na świecie, i w gonitwie za cnotą, miłością, szacunkiem ludzkim lub tym podobnymi bardzo pięknymi rzeczami — nie umrzeć z głodu...

— Tak — ledwie dosłyszalnym głosem wymówiła Marta — nie umrzeć z głodu... oto najwyższe dobro, o jakim marzyć, jakie osiągnąć wolno ubogiej kobiecie!

— Doprawdy? — przeciągłym tonem zapytała Karolina i palcem, na którym właśnie błyszczał brylant, wskazując otaczające przedmioty dodała:

— A jednak... zobacz, obejrzyj się...

Marta nie obejrzała się, tylko otworzyła usta, jakby zadać chciała towarzyszcze pytanie jakieś, które jednak powściąg-

nęła szybko. Obie kobiety milczały dość długo. Karolina kołysała się wciąż z wolna, chrupała cukierek po cukierku, nie odrywała wzroku od twarzy Marty, która, pogrążona w zamyśleniu, siedziała ze skronią opartą na rękę i ze spuszczonej powiekami.

— Czy wiesz, Marto — przerwała milczenie kobieta w atłasach — że jesteś prawdziwie piękną. Co za pyszny wzrost! Musisz być przynajmniej o pół głowy wyższą ode mnie. Bieda nie zeszcpecila cię dotąd wcale, chociaż różowy odbłysek żaru, który w tej chwili pada na twarz twoją i naśladuje delikatny rumieniec, podnosi bardzo piękność twą i prześlicznie wygląda przy twych kruczych, olbrzymich włosach! Cóż by to było, gdybyś jeszcze zamiast tej brzydkiej, wełnianej, zrudziałej sukni włożyła ubranie żywej barwy i wykwintnego kroju, zamiast tego płóciennego gładkiego kołnierza otoczyła szyję swą przezroczystą koronką, żebyś warkocze twe podniosła wyżej nieco i ubrała je pasową różą lub złotymi szpilkami... Byłabyś prześliczną, moja droga, i trzeba by ci było tylko parę razy ukazać się w łoży pierwszego piętra na reprezentacji modnej jakiej komedii, aby młodzież całej Warszawy zapytała jednogłośnie: „Kto ona? gdzie mieszka? czy pozwoli, abyśmy hołdy nasze u jej nóg...”

— Karolino! Karolino! — przerwała Marta prostując się i wzrokiem pełnym zdumienia patrząc na towarzyszkę — po co ty mówisz to wszystko? Jakiż związek słowa twoje mieć mogą z położeniem, w jakim zostaje, z boleścią wdowy, z trwogą matki? Po co mi piękność? po co mi stroje bogate?

— Po co? po co? o! o! o!

Wykrzykniki te padały w przestrzeń wraz z urywkowymi spadami krótkiej, suchej gamy śmiechu i wraz z nią umilkły.

Obie kobiety milczały znowu dłużej jak wprzódy.

— Marto! ile ty masz lat?

— Dwudziesty piąty zaczęłam niedawno.

— A ja dwudziesty czwarty. O rok więc młodsza jestem, o ileż mędrsza od ciebie! ileż dalej zaszłam w życiu niż ty, biedna ofiario marzeń i złudzeń!

Znowu milczały chwilę. Marta z wyrazem stanowczości na twarzy podniosła głowę.

— Tak, Karolino, widzę sama, że mędrszą być musisz ode mnie, że dalej w życiu zaszłaś. Posiadasz dostatek, jesteś zapewne spokojna o swe jutro; gdybyś, jak ja, miała drobne dziecię, nie potrzebowałabyś oddawać je na poniewierkę ludzką ani patrzeć, jak ci w oczach słabnie, blednie, nikiem... Znam cię tak dawno, jak dawno sięgnąć mogę pamięcią; byliśmy razem dziećmi i młodymi dziewczętami, lubiliśmy się wzajemnie... a jednak jam dotąd nie śmiała zapytać cię, skąd się wziął u ciebie ten dostatek, którym cię widzę otoczoną, jakim sposobem zdołałaś wybrnąć z ubóstwa, z nędzy, o której napomykałaś mi w swej rozmowie... Nie śmiałam zapytać cię o to, bo widziałam, żeś unikała pytań moich, ale, wybac mi, Karolino, źle to z twojej strony... dawnej towarzysze zabaw twych dziecinnych, niezbyt dawnej jeszcze powiernicy rojeń twych młodych powiedzień powinnaś, jak zwalczyłaś fatalizm ten, który czepia się kroków i przygniata głowy kobiet ubogich... rzuci to może i na moją drogę światło jakie...

— O, rzuci, rzuci to niezawodnie na drogę twoją światło bardzo jasne, bardzo oświecające! — wymówiła kobieta z rozpuszczonym płowym włosem. Oczy jej wyglądały znowu jak dwa odłamy zimnego kryształu, w których przeglądają się barwy tęczowe, na drobnych ustach drżał migotliwy uśmiech, ale głos posiadał brzmienia pewne i spokojne.

Marta mówiła dalej:

— Kiedym po raz pierwszy sama jedna w świat weszła, aby walczyć o życie swoje i dziecka, powiedziano mi, że kobieta wtedy tylko z walki takiej wyjść może zwycięsko, jeśli posiada wyborną jakąś umiejętność, prawdziwy i wydoskonalony talent... Czyś ty posiadała umiejętność jaką, Karolino?

— Nie, Marto, nie posiadałam żadnej. Umiałam tylko tańczyć, gości bawić i ubierać się ładnie.

— O talencie nie słyszałam nigdy, abys go miała...

— Nie miałam żadnego wcale talentu.

— Możesz miała bogatych krewnych, którzy ci majątek dali?

— Bogatych krewnych miałam, ale nie dali mi oni nic.

— A więc... — zaczęła Marta.

— A więc — przerwała kobieta w atlasach i nagle podniosła się z ruchomego swego siedzenia. Włóczkowy piesek zakotłosał się za nią gwałtownie, bieguny kolebki ze stukiem uderzyły o posadzkę. Ona sama stanęła wyprostowana przed kozetką na której siedziała Marta.

— Byłam piękną — wymówiła — i... i zrozumiałam, jakie jest jedyne możliwe dla mnie miejsce na ziemi.

— Ach — z cicha zawołała Marta i uczyniła poruszenie takie, jakby porwać się chciała z siedzenia. Ale stojąca przed nią kobieta trzymała ją przykutą do miejsca siłą swego wzroku. Stała z nieruchomą postacią i twarzą, płowe włosy jej i gibka cienka kibić nurzały się w różowej łunie pożaru. Podniosła brwi lekko i w twarz Marty patrzyła głęboko i upornie oczami, w których teraz palił się ciemny blask posępnego zapalu.

— Cóż? — zaczęła po chwili — przelekłaś się, naiwna istoto, chcesz uciekać? dobrze, idź sobie! masz wszelkie prawo podjąć z ziemi garść błota i w twarz mi ją cisnąć. Któż ci prawa tego odmówić dziś może? dziś posiadasz je jeszcze...

Marta oczy dłonią przesłoniła.

— Zasłaniasz oczy; nie chcesz patrzeć na mnie. Zapytujesz swej myśli, czyliż to ja doprawdy jestem tą niewinną, naiwną, idealną Karolcią, która biegła z tobą po kwiecistej łące twego ojca i fruwała w zawrotnym walcu po lśniących posadzkach domu pani Herminii; która lubiła namiętne białe róże i konwaliowe wonie, a w powodzi księżycowych promieni widziała pływające szafirowe oczy pana Edwarda?... O, ja to jestem, ja sama... ale jeśli cię widok mój zbyt razi, możesz nie patrzeć na mnie... posłuchaj tylko...

Postąpiła parę kroków i usiadła na kozetce obok Marty.

— Posłuchaj — powtórzyła. — Czyś ty zapytywała siebie kiedy i czyś zdała kiedy przed sobą dokładną sprawę o tym, czym jest na świecie kobieta? Pewno nie. Otóż ja ci powiem. Nie wiem już, jak tam jest według praw boskich, o których mówiłaś przed chwilą... ale wedle praw i obyczajów ludzkich kobieta nie jest człowiekiem, kobieta to rzecz. Nie odwracaj

ode mnie głowy. Mówię prawdę, względną może, ale prawdę. Czy chcesz widzieć ludzi? Patrz na mężczyzn. Każdy z nich żyje na świecie sam przez się, nie potrzebuje, aby dopisywano doń jakąś cyfrę dlatego, aby przestał być zerem. Kobieta jest zerem, jeśli mężczyzna nie stanie obok niej jako cyfra dopełniająca. Kobięcie dają błyszczącą oprawę, aby jak w sklepie jubilera kunsztownie wypolerowany diament ściągała na siebie oczy jak największej liczby nabywców. Jeżeli nie znajdzie dla siebie nabywcy albo znalazłszy utraci go, pokrywa się rdzą wiecznej boleści, plamami bezradnej nędzy, staje się na powrót zerem, ale zerem chudym z głodu, trzęsącym się z zimna, rozszarpującym się na szmaty w nadaremnych próbach ruszania się i dźwigania. Przypomnij sobie wszystkie stare panny, opuszczone lub owdowiałe kobiety, jakie znałaś w swym życiu, spójrz na koleżanki swe z zakładu Szwajcercowej, spójrz na samą siebie. Co znaczą wszystkie na świecie? jakie są wasze nadzieje? gdzie możność, abyście wygrzęzły z trzęsawisk i poszły tam, dokąd dążą ludzie? Jesteście roślinami, których łodygi wyhodowane w cieplarniach nie mają siły opierać się wiatrom i burzom, i tak być musi przecież, skoro wieszczce i mędrzy świata nazwali kobietę „najpiękniejszym z kwiatów przyrodzenia”. Kobieta to kwiat, kobieta to zero, kobieta to przedmiot nie obdarzony siłą samodzielnego ruchu. Nie ma dla niej ani szczęścia, ani chleba bez mężczyzny. Kobieta musi koniecznie uczepić się, w jakikolwiek sposób uczepić się mężczyzny, jeśli chce żyć. Inaczej idzie do szwalni Szwajcercowej i umiera z wolna. A cóż uczyni wtedy, jeśli ogarnie ją namiętne pragnienie życia? Zgadnij! zgadujesz? dobrze! zasłoń sobie oczy drugą dłonią, abyś już ani rąbka sukni mojej widzieć nie mogła, ale słuchaj mię dalej...

— Byłam młodą, piękną, przyzwyczajoną do zbytku i próżnowania; gdy wygnano mię z domu bogatych krewnych, za całą własność posiadałam parę sukien, złotą bransoletkę po matce i ten pierścionek z niebieską emalią, któryś ty mi dała, Marto, w dzień twego ślubu. Sprzedałam bransoletkę i pierścionek. Myślałam, że wystarczy mi to, dopóki nie znajdę zarobku. Wyobraziłam sobie, że jestem człowiekiem, i przez

tę głupią omyłkę cierpiałam kilka miesięcy męki piekielnej. Cierpiałabym je może dłużej jeszcze, gdybym na szczęście nie spotkała na chodniku Nowego Świata pana Edwarda. Kochałam go jeszcze. Kiedy minął mnie bez powitania, przekonałam się ostatecznie, że jestem rzeczą, którą wolno jest brać i rzucać dowolnie. Czyż ktokolwiek postąpiłby z człowiekiem, jak postąpił ze mną ten, o którym marzyłam w dniach spokoju, którego rysy przywoływałam przed pamięć moją w godzinach głodu i męczarni? Od chwili, w której utraciłam wiarę w człowieczeństwo moje, skończyły się moje cierpienia. Słyszałaś może o młodym panu Witalisie, który ma starą żonę, wielkie dobra pod Warszawą? Piękny dom w Warszawie. Zachodził on często do sklepiku przy ulicy Ptasiej, w którym wyręczałam właścicielkę w sprzedawaniu świec i mydła, otrzymując w zamian od niej siennik zastłany w kącie izby dziecinnej w nocy, misę krupniku i szklanek mleka w dzień. Po prawdzie, praca moja wartą była daleko większego wynagrodzenia, ale poczciwa kobięcina wyzyskiwała robotnicę, którą podjęła z bruku znużoną, głodną i w łachmanach. W dwa dni po owym spotkaniu pana Edwarda, po dwóch nocach, o których nie potrafiłabym już dziś i opowiedzieć, przestałam sprzedawać świece i mydło... Panu Witalisowi powiedziałam: „Dobrze!”, opuściłam sklepik i izbę, w której wrzeszczało i biło się pięcioro brudnych dzieciaków; zamieszkałam tutaj.

Marta siedziała jak skamieniała. Spod dłoni, którą przykrywała sobie oczy, widać było twarz jej marmurowo bladą i nieruchomą. Ledwie dostrzegalne drgnienie przebiegło ją od stóp do głowy, kiedy prawie przy uchu jej zadźwięczał suchy, krótki śmiechek podobny teraz do grzechotki nocnego stróża.

— Nie wiem już, jak się to stało, ale uważam, że wpadłam w deklamację! — rzekła śmiejąc się kobieta z rozpuszczonymi płowymi włosami. — To twoja żałobna suknia, Marto, zaciemniła mi salon. Nie lubię ciemności, kocham się w blaszkach, lubię śmiać się na komedii, a w domu jeść cukierki... Wierz mi, tak lepiej...

Wzięła rękę wdowy zwisającą wśród fałd czarnej sukni i przysunęła się do niej bliżej.

— Słuchaj, Marto — zaczęła przechylając się do ucha prawie towarzyszki. — kochałam cię kiedyś, dziś **żał mi cię wielki...** Pierścionek, który mi dałaś, żywił mnie przez kilka tygodni, teraz ja cię wesprę radą i pomocą... **Dotąd wypowiadałam ci samą teorię tylko, teraz przechodzę na pole praktyki...** Obok mieszkania mego są do wynajęcia trzy pokoje, takie prawie jak te... **chcesz? jutro będziemy sąsiadkami.** Przeprowadzisz tu twoje dziecko, będzie **mu ciepło i wygodnie...** Pojutrze zdejmiesz tę żalobną brzydką suknię...

Marta odjęła dłoń od oczów i podniosła głowę.

— Karolino! — rzekła powstając — dosyć już, **nie mów ani słowa więcej...**

— Cóż? — zawołała kobieta w atlasach — **czy nie?**

Kobieta w żalobie nie odpowiadała chwilę. Twarz jej mieniła się śmiertelną bladością i krwawym rumieńcem, głos drżał i urywał się w piersi, gdy mówić zaczęła:

— Niedawno jeszcze, niedawno, gdyby ktokolwiek **ośmielił się mówić ze mną tak, jak ty mówiłaś, Karolino, uczyłabym śmiertelną obrazę...** może gniew szalony... **teraz nie czuję nic prócz wielkiej boleści, większego jeszcze wstydu.** Muszę być doprawdy czymś mniej niż człowiekiem, **skoro nie zawiniwszy nic, nie uczyniwszy cienia złego, nie szukając na świecie niczego, niczego prócz uczciwej pracy,** spotkałam to, co... spotkałam... **Och, jakże nisko, nisko upadłam! I za cóż? i za jakąż winę?**

Stała chwilę nieruchoma, z oczami posepnie **wlepionymi** w ziemię. Po chwili łagodniej trochę rzekła:

— Nie pogardzam tobą, Karolino, nie **cisnę na ciebie,** jak mówiłaś, garścią błota. **Boże mój! wszakże ja wiem,** czym jest życie kobiety ubogiej... **kosztuję go od kilku miesięcy...** dziś połknęłam kroplę jego **najbardziej gorzką.** Nie pogardzam więc tobą, ale **pójść w twoje ślady nie mogę...** nie, nigdy, nigdy... nigdy...

Umilkła znowu i tym razem jasnym **wzrokiem patrzała** w jeden punkt przestrzeni. Tam oczami **wyobraźni ujrzała** jeden z obrazów swej przeszłości.

Nie był to przecież żaden z obrazów minionego wesela i **szczęścia, odzwierciedlał, owszem, w sobie chwilę boleści bez granic.** Marta ujrzała na łożu choroby **spoczywającego jedyne**go człowieka, którego kochała na ziemi.

Twarz jego sztywniała pod dłońią śmierci, oddech ustawał **w** **schorzałej piersi, ale oczy jego spoczywały na jej twarzy, rozpromienione ostatnim blaskiem życia, ręka poruszana spazmem konania w drętwiejących palcach ścisłała jej rękę.** „Biedna Marto moja, jak ty żyć będziesz beze mnie!” **Ze słowami tymi na zsiniałych ustach opuścił ją na wieki.**

— O! jakże kochałam go! jak kocham go jeszcze! — **szepnęła wdowa; zarazem ręce jej załamane opadły na czarną suknię, a pierś uniosła się ogromnym westchnieniem.** — Nie, Karolino! przez Boga, nie! — **zawołała podnosząc wysoko twarz oblaną promienną bladością — byłam szczęśliwszą od ciebie. Człowiek, którego ukochałam, nie uczynił ze mnie rzeczy. Poślubił mnie, kochał, szanował. Konając myślał jeszcze o mnie i o mej przyszłości. Kocham go jeszcze, choć go nie ma już na ziemi, szanuję imię jego, które noszę. Miłość dla niego i pamięć o nim wznoszą się we mnie jak ołtarze; przed nimi pali się lampka napełniona łzami mego serca i oświeca smutną moją drogę...**

— Którą postępując dostaniesz się wkrótce na elizejskie pola, **kędy biali aniołowie połączą cię z nieboszczykiem twoim mężem!** — zabrzmiał przenikający i gamą ostrego śmiechu spleciony głos Karoliny.

Marta stała już o kilka kroków od niej i **zarzucała na głowę swoją czarną wełnianą chustkę.**

— Bądź zdrowa, biedna Karolino, bądź zdrowa! — **zawołała stłumionym głosem i wybiegła do sąsiedniego pokoju, gdzie nad okrągłym mahoniowym stołem paliła się już różowa lampa. Była blisko drzwi, gdy uczuła się przytrzymaną za ramię. Obok niej stała Karolina z wargami drżącymi od śmiechu, ze zwiędłym swym czołem falującym drobnymi zmarszczkami i z ciemnym połyskiem w źrenicach.**

— Słuchaj! — rzekła — **śmiać mi się chce, doprawdy, z ciebie! Jesteś egzaltowana, przedziwnie naiwna, jesteś,**

moja droga, wielkim jeszcze dzieckiem. A jednak żal mi cię! nie wiem nawet dlaczego, bo i cóż mi na koniec obchodzić może, co się z tobą stanie? Dla mnie i lepiej, iż nie będziesz moją sąsiadką, jesteś zbyt piękną... Ale... ale pierścionek twój żywił mię przez parę tygodni... nie jest przecie koniecznym obowiązkiem powołania mego bytu, abym była niewdzięczną.

Jedną ręką silnie przytrzymała ramię młodej kobiety, drugą wyciągnęła ku oknu.

— Pomyśl — mówiła — tam tak zimno, ludno i zarazem pustko. Tłumy cię zdeptają, pustka cię pochłonie... Wróć się...

— Puść mnie — szepnęła gwałtownie Marta — nie złorzeczę ci, ale mówić z tobą nie mogę... przyszedłam tu po chwilę przyjaźni i spoczynku, znalazłam nową boleść i największy wstyd życia... puść mię!

— Jedno jeszcze słowo posłyszec musisz... Młody ten człowiek, który szedł dziś ze mną ulicą, kocha się w tobie szalenie... odda wszystko, co ma...

— Puść mnie! — głośno już i z jękiem krzyknęła Marta i ze spazmatyczną siłą targnęła ramię swe objęte ręką pochylonej ku niej kobiety. Ręka ta opadła. Marta rzuciła się ku drzwiom.

Przebyła już kilka stopni rzeźsicie oświetlonych wschodów, kiedy usłyszała za sobą szelest atłasu.

— Wróć się! — zawołał na nią głos z góry — będziesz zebrazką!

Kobieta w żalobie biegła po wschodach nie odpowiadając.

— Będziesz kradła! — powtórzył głos.

Kobieta nie odwróciła głowy i zstąpiła kilka wschodów niżej.

— Umrzesz z głodu razem z twoim dzieckiem.

Na dźwięk ostatniego wyrazu kobieta stanęła, odwróciła twarz śmiertelnie bladą i oczy rozpalone ponurym ogniem wlepiła w postać stojącą u szczytu wschodów. Obfite światło gazowe oblewało postać tę, malując srebrem fiolety jej sukni; wielka kamea świeciła u szyi błękitną barwą, złote kolce drżały pomiędzy gęstwiną długich włosów, podnoszących się lekko od przewiewu wiatru wnijkającego

otwartymi na ulicę drzwiami. Stała z pochyłą naprzód głową i postacią, z wargami drżącymi śmiechem, z zimnymi oczami, rzucającymi tęczowe połyski spod zwiedłego czoła. Marta wlepiła w nią przez chwilę wzrok suchy, rozpalony, przerażony i ponury, potem odwróciła się nagle, poskoczyła naprzód i w mgnieniu oka znikła w półmroku ulicy.

Kilka minut zaledwie upłynęło, gdy tymi samymi drzwiami, za którymi zniknęła Marta, wbiegł wesoly Oleś, kilku skokami przebył wschody i wpadł do mieszkania Karoliny.

— I cóż? — zapytał z kapeluszem w rękę stając na progu salonika. — Poszła? Zdaje mi się, że poznałem ją idącą przeciwnym chodnikiem. Kiedyż wróci?

Zadawał to pytanie tonem krótkim, pośpiesznym; w czarnych błyszczących oczach jego malowała się niecierpliwość człowieka bez woli i rozwagi poddającego się doznanemu wrażeniu.

— Nie wróci wcale — odpowiedziała kobieta siedząca przed kominkiem, na tym samym miejscu, na którym przed kilku minutami siedziała Marta. Ramiona jej skrzyżowane były na piersi, oczy utkwione w żarzące się węgle. Nie zwróciła wzroku na wchodzącego młodego mężczyznę i na niecierpliwie pytanie jego odpowiedziała tonem krótkim, więcej niż obojętnym, bo niechętnym.

— Nie wróci? — zawołał Oleś rzucając kapelusz swój na sprzęt najbliższy i postępując w głąb pokoju — jak to nie wróci? czyliż nie jesteście, panie, przyjaciółkami od dzieciństwa?

Kobieta milczała. Młody mężczyzna niecierpliwił się coraz bardziej.

— Cóż powiedziała? — zapytał nagle.

— Powiedziała — odparła z wolna kobieta nie zmieniając postawy ani kierunku wzroku — powiedziała, że dotąd jeszcze kocha swego męża...

Oleś szeroko roztworzył oczy.

— Męża? — wymówił, jakby nie dowierzając uszom własnym — nieboszczyka męża?

Parsknął śmiechem, podniósł twarz ku sufitowi i śmiał się głośno i długo.

— Męża! — powtórzył — i czegoż ona chce jeszcze od tego biedaka? wszakże on już nie żyje! O! wierne serce... niepokieszona wdowa, jakże to czuła!

Śmiał się wciąż, ale w śmiechu jego zadźwięczały przy końcu fałszywe nuty. Drgnęło w nich coś na kształt żalu i przykrego rozdrażnienia.

— Dalibóg! — zaczął znowu, szerokimi krokami przebiegając salonik — kobieta to niepospolita! Kochać nieboszczyka męża w kilka miesięcy jeszcze po jego śmierci? Jakże to wzniośle! Cóż by to było dopiero, gdyby pokochała teraz kogoś żyjącego! O, gdybym mógł być tym szczęśliwcem!

— Bardzo być może, iż mógłbyś pan być tym szczęśliwcem — odezwała się kobieta, siedząc przed kominkiem. Nie odwróciła jednak głowy i nie uczyniła poruszenia żadnego. On przyskoczył ku niej. Żywe rumieńce pokrywały jego policzki.

— Mógłbym być! — zawołał — a więc nie wydarła mi wszelkiej nadziei! O piękna, śliczna, złota, brylantowa pani Karolciu, zlituj się nade mną! Jestem naprawdę szalenie zakochanym! mógłbym być tym szczęśliwcem, jeżelibym... powiedz pani, błagam, zaklinam, jeżelibym co?!

Kobieta po raz pierwszy podniosła na niego oczy. Na dnie źrenic jej, w podniesionych nieco brwiach, w ruchomych kątach warg delikatnych leżał nieopisany wyraz szyderstwa.

— Jeżelibyś pan — wyrzekła powoli — jeżelibyś starał się o jej rękę i chciał z nią ożenić się.

Słowa te wywarły na Olesiu wpływ ogłuszający i odurzający. Przez chwilę stał nieruchomy, osłupiały, z otwartymi nieco ustami i z oczami wlepionymi w twarz upornie patrzącej na niego kobiety.

— Ożenić się! — powtórzył głosem zdławionym.

Wargi jego zadrżały, jakby się wnet miał roześmiać; nie roześmiał się jednak, tylko machnął ręką, wzruszył ramionami i na wpół gniewnie, na wpół obojętnie rzekłszy: „Żartujesz pani!” — odszedł od kominka. Kobieta wiodła za nim przez chwilę wzrokiem zimnym i urągliwym. Po

twarzy jej przebiegło w jednej minucie tysiąc figlarnych, szyderskich, wzgardliwych uśmiezków. Wesoły Oleś stanął znowu przed nią.

— Jesteś okrutną, pani Karolino! — zawołał — mówisz mi o ożenieniu! Jesteż co nedorzeczniejszego? Wiązać się na całe życie z osobą, którą znam za ledwie, z wdową, która kocha jeszcze swego nieboszczyka męża? Stać się od razu ojcem jakiegoś dzieciaka, świat sobie zawiązać, wziąć na plecy tyle odpowiedzialności, tyle kłopotów? i to w moim wieku? z moją szczęśliwą na świecie pozycją? Jest to pomysł godny, doprawdy, poczciwego mieszczanina stęsknionego do smacznej domowej kuchni i tuzina pyzatyh dzieciaków. Sądzę, że pani nie powiedziałaś tego na serio: wiem, że żartować lubisz! jest to jeden z głównych twoich wdzięków.

Karolina wzruszyła ramionami.

— Naturalnie, że żartowałam — rzekła krótko i znowu patrzyła w rozżarzone węgle.

Wesoły Oleś coraz bardziej był wzburzony.

— W jakimże humorze jesteś dziś pani — sarknął. — Czy nie dowiem się niczego już więcej?

— Nudzisz mię pan śmiertelnie — odrzekła kobieta.

— Gdzie ona mieszka? — nalegał młody człowiek.

— Nie wiem, zapomniałam ją spytać o to.

— A to wyborne! Cóż ja teraz zrobię? Przyjdzie mi ją szukać, ale miasto jak las, nim ją znajdę, znowu o niej zapomnę...

Wymówił to z nadzwyczajnym wzruszeniem, z gniewem prawie i zalem w głosie. Obawiał się, aby niestałość pamięci i codzienna wielka liczba wrażeń nie odebrały mu tego, co go w tej chwili zajmowało namiętnie. Nagle strzepnął palcami, wydał okrzyk radości i poskoczył znowu w stronę kominka.

— Eureka! — zawołał — wszakże jest szwaczka? gdzie? czy w jakim zakładzie? Piękna, śliczna, złota, pani Karolciu, powiedz...

Kobieta wstała i szeroko ziewnęła.

— A tam... przy Freta ulicy, w szwalni Szwejcowej —

rzekła z wyrazem najwyższego zdudzenia — idźże już pan sobie teraz, muszę ubierać się do teatru...

Oleś zdawał się być uszczęśliwionym.

— U Szwejcowej! wiem! wiem! bywam u niej! Jedna córka, ta, co kraje — straszdyło, ale druga, mężatka młodziasia, za mężem piwowarem, i wnuczka po synie, panna Eleonora, wcale niczego... Tam to więc przebywa moja bogini! O, jutro... jutro... biegnę, pędzę, leczę.

Pochwycił kapelusz i stał już na progu.

— Do widzenia! — zawołał.

Zza progu wrócił jeszcze.

— Pani Karolcia idzie dziś do teatru. A co dają?

Kobieta stała przy drzwiach swej sypialni ze świecą zapaloną w ręku.

— Flik i Flok — rzekła.

— Flik i Flok! — zawołał człowiek wiekuiestego śmiechu — muszę być i zobaczyć Laurę w tańcu egipskim! Ale czy to nie późno? Mam jeszcze zajść do Bolka! Do widzenia! do widzenia! biegnę, pędzę, leczę!

Wszystkie wielkie miasta w ogólności posiadają, Warszawa w szczególności posiada w swym łonie pewną liczbę mężczyzn różnego wieku cieszących się doskonale ustaloną i szeroko głośnie reputacją zjadaczy serc kobiecych i niszczyteli czci niewieściej. Ludzie ci, odkąd tylko matka-natura zwierchnię ich wargę osypie puszką wąsika, aż do chwili, a czasem i poza chwilę, w której też matka powszechna ustroi im głowy w białawy szronik siwizny, czynią sobie niejako fach i codzienną praktykę życia z admirowania wdzięków niewieścich, platonieznego, gdzie indziej nie można, nieplatonieznego wszędzie, gdzie tylko można. Bywają to ludzie bardzo przyjemni, ożywieni, dowcipni, weseli, usłużni, w towarzystwach poszukiwani, w koleżeńskich kółkach wielbieni. Miewają oni też często nie tylko czułe, ale i dobre serca; z rozważą, z zastanowieniem i umyślnie za nic nie chcieliby zaszkodzić nikomu, a jeśli

obok tego częste wyrządzają krzywdy, umysł wyrozumiały i dokładnie ich rozumiejący nie może bez niesprawiedliwości zastosować do nich innych wyrazów jak ewangeliczne: „Panie, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią!” Ze względu zresztą na pospolitość zjawiska, jakie przedstawiają, na wszystko, co zwykle spełniają, i to, do czego w życiu i znaczeniu społecznym dochodzą, są to w ogóle figurki w społeczności i dla społeczności bardzo mało znaczące, drobne pionki na wielkiej szachownicy ludzkości, mikroskopijne owadki, ślizgające się swobodnie na rozpiętych skrzydełkach po chropowatej dla innych korze życia. Uwzględniając tedy tę ich maluczkosć, można by w rozważaniu zjawisk społecznych całkowicie pominąć tych wesołych biedaków, a nawet z uśmiechem trawestować na ich widok ów sławny okrzyk poety o puchu marnym, gdyby ten puch marny, te malutkie pionki wiecznie ruchliwe, te niewinne owadki wiecznie radosne nie były śmiertelnie niebezpiecznymi dla pewnej klasy istot ludzkich. Klasą tą są kobiety ubogie. Nie idzie już tu nawet o serca, bo te, tak pod jedwabnymi, jak pod wełnianymi i perkalowymi stanicami, są u tak zwanej płci pięknej drażliwym i zarazem bezbronny miejscem; byle co zranić je może, byle co zawojować. Stąd bóle i żale, łzy i jęki, targania włosów i zgrzytania zębów, tak w salonach, jak na poddaszach. Ale przedmiotem, który w salonach niezmiernie rzadko uszkodzonym bywa przez owych przyjemnych swawolników, na poddaszach zaś, w suterrenach, szwalniach i różnych rękodzielniach w zupełnej ich pozostaje mocy i śmiertelnie przez nich szwankuje — to reputacja kobiety. W tym względzie bywają pomiędzy nimi tak potężni mocarze, iż bez długich nieraz starań, bez intencji niekiedy, jednym zbliżeniem się, kilku krokami uczynionymi obok kobiety, kilku na nią rzuconymi spojrzeniami zabijają dobrą sławę, stwarzają w głowach ludzkich złe podejrzenia. Jest to błogi owoc dobrze ustalonej i szeroko głośnie ich chwały. Błogi zaprawdę dla nich, bo dowodzi przed światem prawdziwie męskiej ich energii, olbrzymiej potęgi wpływów na świat wywieranych, ogromnego bogactwa wrażeń dozna-

wanych i sprawianych, czynów dokonywanych; niezbyt błogi może dla tych, na których wypadkiem zatrzyma się oko pana stworzeń...

Pan stworzeń idzie ulicą wielkiego miasta, laseczką giętką jak berłem wywija. Błyszczy na głowie jego kapelusz, błyszczy na rękach rękawiczki z podwójnym szwem, błyszczy u piersi złoty łańcuszek i kołysz się z gracją na ciemnym tle tużurka sporządzonego dostojnymi rękami arcykrawca Chabou. Co za świetność! Nuci półgłosem piosenkę z Pięknej Heleny, bystrymi oczami rzuca dokoła. Brzegu kapelusza często dotyka, wszystkim się kłania, wszyscy mu się kłaniają, wszystkich zna, wszyscy go znają. Co za dostojna w społeczeństwie pozycja! Przerywa sobie nucenie, szyję wyciąga i nogę w powietrzu zatrzymuje na kształt wyżła, który stropił zwierzynę, wzrok wysiła, uśmiecha się... Tam, na rogu ulicy przemknął ładny buziaczek, białe liczko zaświeciło, czarne oczy zamigotały... Dalej! dalej w pogoń! Bacność! zwierzyna już blisko! co prędzej osaczyć ją trzeba, bo gotowa się wymknąć! Zachodzi z boku, kapelusza uchyla, pełen uszanowania (o ironio) ukłon składa i głosem, który jest wiernym echem słyszanego wczoraj na scenie głosu Parysa, zapytuje:

— Czy pozwoli pani towarzyszyć sobie?

Pozwala? idzie z nią. Nie pozwala? idzie także. Nie jestże panem stworzeń? Po drodze spotyka znajomych (posiada ich tylu, ile morze kropel wody), mruga figlarnie i ukazuje oczami na towarzyszkę. Chwilami serce ze zwiększoną mocą uderza mu w piersi. Są to pierwsze drgania budzącej się motylowej miłości lub może upojenia tryumfu? I jedno, i drugie najczęściej. Pan stworzeń, ilekroć ujrzy piękny, a nawet choćby ładny egzemplarz twarzy kobiecej, przysięga przed wszystkimi i sam przed sobą najpierw, że jest szalenie, śmiertelnie zakochanym. Czyni to w zupełnej dobrej wierze. Serce jego to wulkan, który kilka razy na dzień wybucha. Obok tego czuje on dobrze, iż oczy ludzkie ścigają z zajęciem nowy epizod wielkiej epopei jego życia. Oczy te ludzkie tak przywykły widzieć go niezwyciężonym,

że od pierwszej zaraz kartki odgadują na ostatniej — zwycięstwo!

Zbliżył się, a więc zachwycił. Spojrzał, a więc zawojował. Ani on, ani nikt z tych, którzy go znają, nie przypuszcza, by mogło być inaczej. Sława dzielnego chłopca wzrasta; reputacja ubogiej kobiety tonie. W koronie, która wieńczy wesołą jego głowę, wyrasta nowy liść wawrzynu, na jej smutne czoło występuje plama... Takim był wesoły Oleś... jeden z wielu... Samo zbliżenie się jego kompromitowało kobietę, rozmowa z nim była dla niej dekretem niestawy...

Szwajcowa miała trzy córki i kilka młodych wnuczek, a więc znała Olesia. Bywał on w jej domu, a nawet sama głosiła, że jedna z panien Szwajcówien, ta, która wspólnie z matką zajmowała się krojem, z jego powodu na koszu osiadła. Jakkolwiek bowiem brzydka, ładną mając figurkę i obrotny języczek, zwróciła była na siebie kiedyś oko pana stworzeń. Cóż więc dziwnego, że wobec takich okoliczności Szwajcowa okulary swe blisko ku oczom przysunęła i twarz do szyby przykleiła, ujrawszy pewnego poranku jedną ze swych robotnic przebywającą dziedziniec w towarzystwie niezwyciężonego Olesia. Dziewczęta w podartych sukniach, z żółtymi twarzami i spłowiałymi kokardami we włosach zerkwały też przez szyby, oczami i palcami przesyłały sobie wzajem znaki porozumienia i uśmiechały się. Spozobrzała to wszystko i córka Szwajcowej stojąca przy okrągłym stole. Podniosła się na palce i rzuciła wzrokiem za okno. Z miejsca, na którym stała, zobaczyć mogła wąsik i bródkę Olesia... a że były to wąsik i bródka jego... uczuła się ogarniętą wrażeniem i wspomnieniem. Bardziej jeszcze wyprężyła szyję i tym razem ujrzała czarną wełnianą chustkę, pokrywającą wyraźnie głowę kobiecą.

— Mamol z którąż to z robotnic idzie pan Aleksander? Szwajcowa odjęła twarz od szyby.

— Z panią Świcką — wymówiła zbliżając się do stołu. Czoło poważnej matrony zaszło gęstymi chmurami: ś i c zawierające się w nazwisku Marty zasyczały przeciągle, z ust jej wychodząc.

Młodsze robotnice zamieniły ukradkowe spojrzenia. Wy-

raz twarzy i brzmienie głosu naczelniczki nie wróżyły przyjemnych rzeczy.

Jedna z nich rzekła z cicha:

— Będzie bural!

— Może odprawi ją? — zapytała inna ciszej jeszcze.

— Oho! — szepnęła trzecia najciszej — ona już teraz może i nie dba o to!

W tej chwili do pracowni weszła Marta. Sam wyraz twarzy jej był dnia tego taki, że mógłby na nią zwrócić spojrzenia wszystkich obecnych osób, gdyby spojrzenia te i tak już nie były przygotowanymi do ciekawego na nią patrzenia. Oczy jej były ciemnymi kręgami otoczone, źrenice zagasłe. Na zapadłych policzkach leżały okrągłe plamy krwistych rumieńców, brwi rozdzielała głęboka bruzda. Wchodząc podniosła ciężkie, nabrzmiałe powieki i spotkała się z utkwionymi w nią kilkunastu spojrzeniami. Nie okazała przecież zdziwienia ani żadnego innego uczucia; zdjęła chustkę z głowy i wzięwszy robotę, która przygotowana już leżała na jej stołku, usiadła w milczeniu. Ręce jej drżały jak w febrze, kiedy rozwijała płótno i nawlekała igłę. Pochyliła nisko głowę owiniętą potarganymi nieco dnia tego warkoczami i pogrążyła się w swej robocie. Drżąca i zaczerwieniona od chłodu jej ręka podnosiła się i opadała szybko jakby w takt gorączkowej, zawrotnej myśli. Oddychała szybko i ciężko, kilka razy otworzyła wargi, aby zachwycić powietrza, którego znać wciąż niedostawało jej piersi. Przy okrągłym stole dwie pary nożyc dzwięczały ostro i przeciągle.

Szwejcowa rzucała spod okularów na świeżo przybyłą robotnicę ukośne wejrzenia. Kąty wydętych warg jej zwiślały w sposób objawiający zły humor. Przestała krajać i z pomarszczonych palców nie wypuszczając nożyczek wymówiła przeciągłym tonem i przyciszonym głosem:

— Pani Świcka nie była u nas wczoraj.

Marta usłyszawszy nazwisko swe wymówione podniosła głowę.

— Czy pani mówiła co do mnie?

— Pani Świcka nie była u nas wczoraj.

— Tak, pani, załatwiałam interesa moje na mieście i przyjść nie mogłam.

— Nieakuratność robotnic w przychodzeniu na robotę szkodzi wielce zakładowi.

Marta pochyliła nisko głowę. Szyła znowu i milczała.

Jedna już tylko para nożyc przy okrągłym stole dzwoniła i skrzypiała, ale coraz ostrzej.

Panna, która osiadła na koszu z powodu niezwytyżonego Olesia, czuła się znać coraz więcej wzburzoną.

Matka jej stała z twarzą zwróconą ku grupie robotnic, z nieruchomymi nożycami w ciemnoskórej ręce.

— Ja wczoraj widziałam panią Świcką na mieście. Pani Świcka stała wtedy przy wschodach świętokrzyskiego kościoła z dwoma osobami.

Marta nie odpowiadała jeszcze. Cóż miała mówić?

Fakt, o którym mówiła Szwejcowa, był zupełnie prawdziwym.

— Znam także osoby, z którymi pani Świcka rozmawiała wczoraj na ulicy. Jedna z nich parę lat temu pracowała nawet czas jakiś w naszym zakładzie. Niedługo jednak, bo spostrzegłam zaraz, że towarzystwo jej może być niebezpiecznym przykładem dla naszych robotnic. Czy pani Świcka zna dobrze tę kobietę? Towarzystwo jej może być bardzo niebezpiecznym.

— Nie dla mnie, pani — po raz pierwszy odezwała się Marta.

Nie podniosła głowy znad roboty, ale drżący głos jej dzwięczał głuchym i powściągliwym buntem dumy kobiecej, która czuje się deptaną.

— Ach! — przeciągle westchnęła Szwejcowa — nie można to tak bardzo ufać sobie. Pycha jest matką wszystkich grzechów. Lepiej unikać, lepiej daleko niebezpiecznych towarzystw unikać... A pan Aleksander Łacki czy jest także bliskim znajomym pani Świckiej?

Dzwoniąca dotąd wciąż i skrzypiąca praca nożyc dzwonić i skrzypieć przestała. Panna z nieładną twarzą, która jednak ściągnęła była kiedyś na siebie spojrzenie pana stworzeń, podniosła głowę.

— Musi być, mamó, dobrze i z bliska znajomym, skoro pani Świcka spaceruje z nim codziennie.

Można by myśleć, że słowa te były węzami, które owinęły Martę od stóp do głowy i zapuściły żądła we wszystkie punkta jej ciała, tak nagle wyprostowała się ona, głowę znad kawałka płótna na kolanach rozpostartego podniosła i oczy szeroko otwarte w twarzy mówiącej panny utkwiała.

— Co to znaczy? — wyrzekła ciężkim, zdławionym szep-tem. Zarazem powiodła spojrzeniem dokoła. Wszystkie robotnice, te nawet, które zazwyczaj najnieczulej i najnieru-choziej wyglądały, siedziały teraz z podniesionymi głó-wami i oczami w nią utkwionymi. Na twarzach ich najróż-niejszych malowały się uczucia: żal, ciekawość, szyderstwo. Marta pozostała przez chwilę jak skamieniała. Pąsowe plamy, leżące na jej policzkach, rozszerzały się z wolna, aż zabar-wiły purpurą czoło i szyję.

— Nie ma się za co gniewać, moja pani, nie ma się za co gniewać — zaczęła Szwajcowa. — Jestem od lat dwudziestu kilku naczelniczką zakładu, w którym po dwadzieścia i wię-cej młodych osób pracowało zawsze, nabyłam więc dużo doświadczenia. Wiem przy tym, jakie są obowiązki moje względem dusz, które Opatrzność powierza mojej opiece; nie mogę obojętnie patrzeć, jeżeli która z nich dobrowolnie naraża się na niebezpieczeństwa. Do tego jeszcze mam córki, młodzieńki wnuczki. Cóż by ludzie i o nich pomyśleć mogli, gdyby zakład nasz przedstawiał, broń Boże, jakie-kolwiek przykłady zepsucia. Na koniec, na dziedziniec wy-chożą okna mieszkania pewnej możnej i bogobojnej damy, która jest prawdziwą protektorką i dobrodziejką naszego zakładu. Święta pani! cóż by pomyślała ona, gdyby zobaczyła jedną z moich robotnic przechadzającą się tuż pod jej i mymi oknami z młodym i światowym kawalerem? Może już zresztą i zobaczyła! Obawa mię, doprawdy, przejmuje na myśl, co powiem protektorce naszej, gdy mię o to zapyta? Czy że robotnicę odprawiłam? Ależ zgadzać się to może nie będzie z miłosierdziem chrześcijańskim?...

— Powiesz jej pani, że robotnica, która miała nieszczęście

spotkać na dziedzińcu tym owego młodego i światowego kawalera, odeszła stąd sama i dobrowolnie.

Słowa te rozległy się po wielkiej izbie, wymówione głosem dźwięcznym i przenikającym. Marta powstała z siedzenia i z podniesionym czołem, z drżącą wargą patrzyła prosto w twarz Szwajcowej.

— Jestem kobietą biedną, bardzo biedną — mówiła da-lej — ale jestem uczciwą i nie miałam pani żadnego prawa mówić do mnie w ten sposób. Nie Opatrzność to oddała mię opiece pani i przyprowadziła tutaj, ale własna moja nieudolność. Przyszłam tu, bo gdzie indziej pracować nie umiałam: pani wiesz o tym bardzo dobrze i potrafiłaś zrobić dla siebie dobry użytek z położenia mego. Praca moja kilka razy więcej warta niż to, co mi pani za nią dajesz... Ale nie o tym mówić chciałam. Zawarłam dobrowolną umowę i dopełniłam jej warunków. Nędzę cierpieć muszę, ale znosić obelgi... pomimo wszystkiego... nie mogę... nie, jeszcze nie mogę! Żegnam panią!

Przy ostatnich słowach zarzuciła chustkę na głowę i zwró-ciła się ku drzwiom. Robotnice ściagały ją spojrzeniami, młodsze z sympatią i rodzajem tryumfu na twarzach, star-sze z politowaniem i większym jeszcze zdumieniem.

Wszystko, co działo się z Martą od wczoraj: zawód doświadczony u księgarza, gorzkie uczucie zazdrości, które po raz pierwszy owładnęło nią na widok Kaźmirowskiego Pałacu i uczącej się, pełnej nadziei młodzieży męskiej; odwie-dziny przy ulicy Królewskiej, posępna propozycja, jaką jej tam uczyniono, noc bezsenna, spędzona w potokach łez i płomieniach wstydu, nade wszystko zaś spotkanie się z człowiekiem, o którym wiedziała, że oczekiwał tam na nią z hańbiącą ją myślą w głowie — wszystko to wprawiło ducha jej w ten stan gorączkowego naprężenia, który długo trwać nie może, w cichości i za lada dotknięciem wybucha niepowstrzymaną burzą. Dotknięcie zaś, sprawione słowami Szwajcowej i jej córki, nie było lada jakim. W piersi Marty struna uczuć wyprężona do ostateczności pękła i wydała z siebie żalostnego jęku krzyk buntowniczy. Czy dobrze uczyniła ulegając niemożonemu wybuchowi dumy nie-

wieściej i godności człowieczej, rzucając pod nogi kobiecie, która jej ubliżyła, ostatni swój kęs chleba? Nie myślała o tym, nie zdawała sobie sprawy z postępu swego biegnąc przez długi dziedziniec ku bramie wiodącej na ulicę.

Zaledwie jednak wstąpiła w tę bramę, cofnęła się jakby przed ohydny widmem jakim, wyraz śmiertelnej obrazy twarz jej okrył. W bramie stał jeszcze Oleś i rozmawiał półgłosem z młodym jakimś mężczyzną, stojącym u dołu wschodów, z których znać zstąpił przed chwilą, aby udać się na miasto. Marta rzuciła się w stronę. Widocznym było, że usiłowała nie spostrzeżona przemknąć pod ścianą, ale kiedyż zwinna sarna ująć mogła oka wprawnego myśliwca?

— Pani! — odwracając się zawołał Oleś — co za niespodzianka! Nie myślałem, abyś tak wcześnie opuściła dziś tę jamę, która — tu głos jego zniżył się — od pewnego czasu stała się dla mnie rajem, do którego tęsknię!

Mężczyzna, z którym Oleś rozmawiał przed chwilą, zbiegł z ostatnich wschodów i wybiegł na ulicę, rzucając przelotne spojrzenie na kobietę, do której zwracał się jego towarzysz, i uśmiech dwuznaczny ukrywając piosenkę z Flik i Flok. Marta stała pod ścianą blada jak marmur, z wyprostowaną kibicią i błyskawicami w oczach. Wesoły Oleś zbliżył się ku niej z uśmiechem na ustach i marzącym spojrzeniem.

— Czego pan chcesz ode mnie? — zawołała kobieta.

— Pani! — przerwał jej mowę pan stworzeń — przed kwadransem odepchnęłaś mię od siebie bardzo surowym słowem, ale ja nie tracę nadziei, że słabość moja...

— Czego pan chcesz ode mnie? — powtórzyła kobieta odzyskując głos, którego zabrakło jej na chwilę. — Tak — mówiła dalej — opuściłam tę jamę, w której jednak znajdował się ostatni mój zarobek, ostatni kawałek chleba dla mnie i dziecka mego. Uczyniłam to z powodu pana. Jakim prawem zachodzicie, panowie, drogę nam, którym i bez tego iść tak ciężko? Macieź choć trochę serca i sumienia, aby ścigać istoty, które i bez tego nie wiedzą, kędy mają podziąć się na świecie? O! wam zapewne nie stanie się przez to nic złego! Wam ludzie dadzą za to pochwałę, nam obelgę.

My utracimy poczciwe imię, a często i ostatni kawałek chleba, wy ubawicie się wybornie...

Mówiła to wszystko pośpiesznie, bez odetchnięcia prawie, z przeszywającym szyderstwem w głosie i w oczach.

— Ubawicie się — powtórzyła z przykrym śmiechem — ale pozwól pan, aby kobieta, którą obrać raczyłeś za przedmiot swej zabawy, powtórzyła ci słowa starej bajeczki: „Złe, o, złe się bawicie, wam to zabawa, nam idzie o życie!”

Rzekłszy to, minęła ostupiałego ze zdziwienia młodzieńca i znikła za bramą.

Pan stworzeń pozostał sam jeden, spuścił głowę, ręką dotknął wąsika, zmącony wzrok utkwiał w ziemi i stał tak długo. Na twarzy jego było zawstydzenie i rozżalenie. Wstydił się swej porażki, żałował powabnego i opornego (tym powabniejszego, że opornego) zjawiska, które zniknęło mu sprzed oczu. Może też na widok kobiety z rozpaloną źrenicą, z chmurą na czole i drżącą od dumnego żalu wargą drgnęło w nim poważniejsze uczucie jakieś, może uczuł, że źle uczynił, że komuś niechcący wyrządził krzywdę. O tak! niechcący! „Nam idzie o życie” — powiedziała ona.

Co za myśl! miałaby on intencję zabijać kogoś? Nic na świecie nie było bardziej obcym czułem sercu jego, nic bardziej nieprzystępnym myśli, wcale do dramatów wszelkich nie skłonnej, jak intencja jakiegokolwiek morderstwa. A jednak z jaką siłą przemawiała ona do niego! jaka bolesna błyskawica strzelała z jej źrenic, jak była bładą i jak piękną! Oleś oddałby w tej chwili bez wahania parę lat swego skrzydlatego, błogiego życia, aby móc zobaczyć ją, błagać o przebaczenie, wynagrodzić krzywdę, jeśli zadał jej jaką, i... odprowadzić ją do jej mieszkania.

Bał ale gdzie było to jej mieszkanie? nie wiedział. Zmarszczył czoło, strzepnął niecierpliwie palcami i podnosząc głowę zawołał prawie ze złością:

— Teraz już ją chyba nie znajdę!

W tej samej chwili wbiegła z ulicy w bramę młodzieńca panienka, podłotek jeszcze prawie, w obcistej szubce i przedziwnie zgrabnym buciku. Na widok jej wyraz twarzy Ole-

sia zmienił się nagle. Zdjął z pośpiechem kapelusz i kłaniając się ładnemu podlotkowi wymówił z uśmiechem:

— Jakże dawno nie miałem szczęścia widzieć panny Eleonory.

Podłotek nie wydawał się niezadowolonym ze spotkania.

— A! już to pan Aleksander bardzo grzeczny, doprawdy! bardzo grzeczny! z miesiąc już u nas nie był. Babcia i ciocia kilka razy mówiły, że pan Aleksander jest niegrzeczny.

Pan Aleksander marzącym okiem ścigał ruch różowych usteczek, które szczebiotały te wyrazy.

— Pani! — rzekł — serce ciągnie ku domowi pani, ale rozum odradza.

— Rozum! ciekawa jestem, dlaczego rozum ma odradzać panu bywać u nas?

— Lękam się o mój spokój! — szepnął pan stworzeń.

Podłotek zarumienił się po włosy i uszy.

— No, niech się pan nie lęka i przychodzi do nas, bo inaczej babcia i ciocia gniewać się będą naprawdę.

— A pani?

Chwila milczenia. Oczy podlotka patrzy na gwóźdź sterujący w podłodze bramy, oczy zdobywcy rachują złote loczki wysypujące się spod kapelusika na białe czoło.

— I ja także będę się gniewać na pana.

— O! jeżeli tak, przyjdę, przyjdę z pewnością!

Podłotek wbiega na dziedziniec, kędy pan stworzeń iść za nim nie śmie. Z ubogą robotnicą to co innego, ale z wnuczką kobiety, w której domu się bywa, z panną Szwejcówną, która, jak powiadają, mieć będzie ze sto tysięcy złotych posagu, przechadzać się ni stąd, ni zowąd po dziedzińcu nie wypada.

Oleś wychodzi na ulicę, a przed oczami jego przesuwają się dwie postacie kobiece: biednej wyrobnicy z płomieniem w oburzonym oku i ładnego podlotka ze złotymi loczkami wkóło białego czoła. Sam już nie wie, która z nich piękniejsza i powabniejsza. „Tamta — myśli — to dumna i płomienna bogini; ta — śliczniuchna mała boginka! Prawdę mówią uczeni! cóż to za nieprzebrane bogactwa rozlane są po tym państwie natury! Ile odcieni, ile rodzajów! Jak przy-

uzie człowiekowi wybór czynić, to mu aż w głowie się kręci, a w sercu taje. Ale na co tam wybór, tous les genres sont bons, hors le genre — vieux et laid!”

„Mężczyźno! puchu marny! ty wietrzna istoto!”

A Marta?

Marta po silnych doświadczonych wzruszeniach zapadła znowu całkiem w rachunek groszowy. Sześć rubli otrzymane od księgarza oddała rządcy domu, spłacając tym sposobem dług, dotąd nie opłacony, i kupując zarazem prawo mieszkania w izbie na poddaszu przez dwa jeszcze tygodnie.

— Należy się jeszcze za sprzęty — rzekł rządca biorąc z jej rąk pieniądze.

— Zabierz je pan z mojej izby, bo za używanie ich płacić nie mogę.

Dostatni jacyś państwo, mieszkający na pierwszym piętrze, potrzebowali do kuchni swej czy przedpokoju stołu, kilku krzesel i łóżka. Nad wieczorem sprzętów tych nie było już w izbie Marty. Rozciągnęła ona uszczuploną wielce pościel swą na nagiej podłodze i usiadła na ziemi przed pustym kominem. Z drugiej strony komina usiadła Jancia. Postawa matki była nieruchoma aż do sztywności, dziecka — skurczona i drżąca od chłodu, a może i żalu. Dwie twarze blade, otoczone półmrokiem zapadającego wieczora i głęboką ciszą samotnej izby, przedstawiały widok posępny. Był to także widok tajemniczy. Dwie dole nieszczęsne siedziały tam przed zinnym otworem okropnego komina. Jakiż będzie ich koniec?

Jancia miała tej nocy sen niespokojny i przerywany.

Dotąd, jeśli często płakała w dzień, w nocy spała przy najmniej spokojnie. Ale wieczoru tego wyniesiono z izby ostatni przedmiot jej zabawy: dwa stare kulawe krzeselka. Żalowała ich jak dobrych przyjaciół, z którymi bawiła się w chwilach swobodniejszych, którym cichutko powierzała swe biedy i żale: głód, chłód i szturchańce Antoniowej, wtedy gdy wiedziona instynktem dobrego dziecka nie chciała skarg swych zanosić przed matką. Dziecię rzewnie pła-

kało widząc, jak wynoszono jej ukochanych, kalekich starszusków, potem położywszy się na ziemi przypomniało sobie może swoje dawne mahoniowe łóżecko galeryjką otoczone, przykryte włóczkową kołderką, z której różnobarwnych szlaków uczyło się rozróżniać kolory i podziwiać piękność...

Północ już była bliska. Dziecię rzucało się na swoim niskim posłaniu, stękało niekiedy i płakało przez sen. Marta siedziała wciąż na ziemi u komina, pogrążona w ciemności i gorzkich wyrzutach samej sobie czynionych.

Gorzko, boleśnie wyrzucała sobie postępek swój ze Szwecową. Po co uniosła się obrażoną dumą? Po co opuściła to miejsce, w którym miała jakąkolwiek możliwość jakiegokolwiek zarobkowania? Obelga wprawdzie, jaką jej tam w oczy rzucono, była nie zasłużoną, wielką, krwawą może, ale i cóż stąd? Czyż kobiecie w jej położeniu wolno w zamian obelgi rzucać komuś w oczy kęs chleba czarny, twardy, gorzki, ale ostatni? Nie umieć uczynić nic, aby dźwignąć się z upośledzonego położenia, i zarazem nie móc cierpliwie przenieść ciosów i poniżeń tego położenia, co za niekonsekwencja! Przez własną nieudolność oddawszy się w ręce kobiety wyszukującej tę nieudolność, wymagać od niej dla siebie szacunku i wymiaru sprawiedliwości? Co za bezrozum!

„Nie! — myślała Marta — jedno z dwojga. Trzeba być na świecie albo silną i dumną, albo słabą i pokorną. Trzeba umieć dźwigać i chronić godność swą osobistą albo zrzec się do niej wszelkiej pretensji. Jestem słabą, powinnam być pokorną. Nie mogę czynami mymi podnieść się do takiego położenia, aby nakazać ludziom szacunek dla mnie, nie powinnam go też wymagać. I zresztą, za cóż ludzie szanować mnie mają? Jaż sama czy naprawdę szanuję siebie? Czy mogę bez wstydu i wyrzutów sumienia patrzeć na to dziecko, któremu powinnam być opieką i podporą, a jestem niczym? Czy mogę bez najgłębszego upokorzenia myśleć, że na kształt owcy bezbronnej i głupiej pochylam kark mój przed nieuczciwą ręką, pozwalając, prosząc nawet, aby z pracy dni moich, z potu mego czoła tworzyła ona dla siebie i dzieci swych bogactwo? Za kogo zresztą ma mnie świat

cały, ludzie? Jeden odrzuca pracę moją, bo jest nieudolną; inny z góry już jej nie przyjmuje w przekonaniu, że musi ona być nieudolną; inny jeszcze wyzyskuje ją niktzemnie, dlatego właśnie, że jest nieudolną; inny na koniec nie widzi we mnie nawet człowieka równego mu w czci i cnocie, ale tylko niebrzydka kobietę, którą można... kupić! Dlaczegoż wymagałam od Szwecowej tego, czego cały świat mi odmawia, czego zdobyć sobie u ludzi, u samej siebie — nie potrafiłam?”

Noc ustępowała przed szarym zimowym świtem. Marta siedziała wciąż na jednym miejscu, z łokciami opartymi o kolana, z głową w dłoniach. Czuła się teraz pokorną, bardzo pokorną, uśmiechała się sama z siebie na myśl, że wczoraj jeszcze mogła rościć jakieś pretensje do szacunku ludzkiego, była pewną, że nigdy już nie zadziwi się nad położeniem własnym i nie sarknie przeciw ponizającej ją ręce.

Wraz ze światłem dnia wstąpiły do izby na poddaszu przypomnienia potrzeb codziennych. Marta wyjęła z kieszeni złotówkę. Więcej pieniędzy nie miała i zarobku żadnego.

„Trzeba iść prosić!” — pomyślała.

Wyszła na miasto i skierowała się ku znajomej sobie księgarni. Szła do człowieka, którego litościwa ręka obdarzyła ją raz już pracą, drugi raz jałmużną.

Otwierając drzwi księgarni Marta doświadczyła pewnego uczucia zdziwienia. Przed wyjściem z domu wyobrażała sobie, że z wielką ciężkością przyjdzie jej próg ten przestąpić, że tak jak dawniej przed wymówieniem słowa prośby spłonie wstydem, utraci na chwilę głos. Myliła się. Serce jej nie uderzało mocniej, rumieniec nie oblał czoła, kiedy spotkała wzrokiem spojrzenie księgarza.

Stał on jak zwykle za kontuarem, pochylony nieco nad sporym stołem notat i rachunków. Kiedy usłyszawszy dzwonek podniósł twarz, czoło jego mniej pogodne było jak dawniej, w oczach malował się lekki niepokój czy zmartwienie. Był widocznie zakłopotany czymś czy zasmucony. Nie powiodło mu się może przedsięwzięcie jakieś, z którego obiecywał sobie wiele, albo chory mu był ktoś z rodziny, z przy-

jaciół? Z widoczną trudnością oderwał myśl od przedmiotu swego zajęcia i zwrócił na wchodzącą kobietę wzrok mniej jasny, mniej dobry i uprzejmy jak wprzód. Marta spostrzegła to. Kilka dni temu byłaby się cofnęła albo przynajmniej zataiła cel swego przybycia; teraz jednak zbliżyła się do koutuaru i zamieniwszy ukłon z księgarzem rzekła:

— Byłeś pan tak dobry, że wspomogłeś mię poradą i datkiem, przyszedłam więc znów do pana...

— Czymże pani służyć mogę?

Przemawiał grzecznie, ale zimniej jak wprzód. Roztargnione jego oczy zwracały się co chwilę ku leżącym na stole papierom.

— Utraciłam zajęcie w szwalni, w której zarabiałam czterdzieści groszy dziennie. Czy nie wiesz pan o jakim miejscu stosownym dla mnie, o jakimkolwiek...

Księgarz spuścił oczy i stał chwilę w milczeniu.

Do uprzedniego zakłopotania jego dołączyło się teraz trochę zmieszania, a nawet zniecierpliwienia.

— Al — rzekł po chwili, czyniąc obu rękami gest oznaczający pożałowanie — trudno, panil trzeba coś umieć, trzeba koniecznie coś umieć...

Nie dokończył swej myśli i umilkł. Marta ścisnęła w obu dłoniach końce chustki, którą miała na głowie.

— A więc — rzekła po chwili — cóż ja uczynię?

Powiedziała to w taki sposób, że księgarz podniósł wzrok i popatrzał na nią uważnie. Głos jej posiadał dźwięki krótkie i nieco ostre, w zapadłych oczach palił się ogień, ale nie boleści jak dawniej, nie milczącego, przejmującego błagania, lecz jakby tłumionego głośnego gniewu. Patrząc na nią i słuchając jej głosu, można by rzec, że do człowieka tego, z którym rozmawiała, czuła jakąś urazę, że czyniła go w duchu odpowiedzialnym po części za to, czego doświadczała.

Księgarz chwilę jeszcze pomyślał.

— Smutno mi — rzekł — bardzo smutno widzieć w takim położeniu żonę człowieka, którego znałem i poważałem. Zdaje mi się, że będę mógł jeszcze coś dla pani uczynić... chociaż będzie to tylko nowa próba. Znajomi moi,

państwo Rzętkowscy, potrzebują teraz właśnie kogoś... kogoś do... pokojowej usługi... jeśli byś pani miejsca takiego życzyła sobie.

— Proszę o nie pana — bez chwili namysłu rzekła Marta.

— W takim razie napiszę kilka słów do państwa Rzętkowskich. Jeżeli pani będziesz życzyła sobie, udasz się do nich z tą kartką...

— Udam się z pewnością — wymówiła kobieta.

Księgarz napisał pośpiesznie kilkanaście słów na ćwiartce papieru i wręczył ją oczekującej kobiecie. Śpieszył się, niespokojny był i ciągle jakby zmartwiony. Natychmiast po oddaniu listu ukłonił się...

Uklon ten był wyraźnie pożegnalnym, znaczył tyle, co „nie mam czasu i nic więcej uczynić nie mogę!” Marta wyszła z księgarni. List, który trzymała w ręku, nie był zamkniętym. Rozłożyła złożoną we dwoje ćwiartkę papieru i obróciła ją kilka razy w ręku. Zdawało się, że pomiędzy cienkimi kartkami szukała czegoś. W istocie, przebiegła przez głowę jej myśl, że jak onegdaj w zeszycie z jej rękopismem, tak teraz w ćwiartce papieru księgarz umieścił może dla niej datek jakiś. Datku jednak nie było. Marta pomyślała:

„Szkoda, że nic nie dał!”

Księgarz był dobrym człowiekiem i miał bardzo litościwą rękę. Ale litościwe ręce tym są niedogodnymi dla tych, którzy ich potrzebują, że nie zawsze w jednostajnym bywają usposobieniu. Najlepszy nawet człowiek nie może być w każdej chwili swego życia jednostajnie skłonny do spełniania dobrych uczynków. Dobre uczynki są rodzajem zbytku dla ducha, którego chlebem codziennym jest obowiązek. Litościwa ręka w chwili pilnego spełniania obowiązku może być bardzo nieusposobioną do wykonywania litościwych czynów.

Jakaż zmiana! kilka miesięcy temu Marta jęknęła z bólu, że wstydu otrzymawszy jałmużnę, teraz żalowała, że jej nie otrzymała!

Spojrzała na adres trzymanej w ręku kartki i skrzyżowała

na Świętokrzyską ulicę. W kilka minut potem znalazła się w kuchni należącej do obszernego i porządnego mieszkania. Znalazła tam kucharkę, której wręczyła kartkę od księgarza otrzymaną. Kucharka udała się w głąb mieszkania. Marta usiadła na drewnianej ławce. Siedziała tam dobre dziesięć minut. Państwo Rzętkowscy namyślali się znać czy naradzali. Po dziesięciu minutach weszła do kuchni niemłoda kobieta z przyjemną powierchownością, w ubraniu oznaczającym dostatek. Trzymała w ręku kartkę księgarza. Zbliżyła się do Marty, która na widok jej powstała i kilka sekund patrzyła na nią uważnie.

— Przepraszam panią — rzekła z trochę zmieszania w głosie — przed kilku dniami potrzebowaliśmy w istocie pokojowej, ale teraz już nie potrzebujemy... bardzo żałuję... przepraszam.

Rzekłszy to niemłoda pani ukłoniła się stojącej przed nią kobiecie daleko grzeczniej, niż się to czyni zwykle względem kandydatki na pokojową, i opuściła kuchnię.

W pokoju, do którego weszła, siedział z fajką przy ustach szpakowaty mężczyzna i dwie młode panienki haftowały przy oknie.

— Cóż? — zapytał niemłody mężczyzna — nie przyjęłaś jej?

— Naturalnie, że nie przyjęłam... Wdowa po urzędniku... wymagałaby zapewne dla siebie szczególnych jakichś względów... taka szczupła, delikatna... gdzie by jej tam pokoje wymiatać albo godzinami całymi stać nad żelazkiem... pewnie nawet i nie umie prac ani prasować. Mielibyśmy z nią kłopot tylko i nic więcej.

— To prawda — rzekł mąż niemłodej pani — a jednak szkoda, żeś ją tak z niczym odprawiła. Musi być bardzo biedna, skoro, tak delikatna, jak mówisz, i wdowa po urzędniku, chce służyć za pokojową. Należałoby może spróbować...

— Ależ, mój Ignacy, pan Laurenty pisze, że ona ma dzieckol! Żeby już nie co innego, możemyż przyjmować służę z dzieckiem?

— To prawda, to prawda! z dzieckiem nie sposób, koszt wielki i kłopot... Bóg wie, jakie jeszcze dziecko... Tylko, że to Laurenty nam ją rekomendował. Obawiam się, aby się nie obraził na nas, żeśmy ją tak z niczym odprawili, aby nie wziął nas za ludzi bez serca...

— No! to dać jej tam trzeba cokolwiek! Wolę już dać jej raz choćby rubla, jak nabawić się ciągłego kłopotu... subiekcji... i jeszcze przyjmować do domu cudze dziecko.

Marta była już na wschodach, gdy usłyszała za sobą szybkie kroki i dwa razy powtórzony wykrzyk:

— Pan! proszę pan! —

Obejrzała się i zobaczyła ładną, młodą panienkę, która otulając się ciepłym kaftanikiem biegła za nią.

— Proszę pani — zaczęła młoda panienka zatrzymując się przed wdową. — Mama moja kazała mi panią bardzo przeprosić, że fatygowałaś się do nas nadaremnie... dziś tak zimno, a pani fatygowała się idąc do nas... mama kazała bardzo przeprosić...

Mówiła to prędko i ze zmieszaniem; przy ostatnich wyrazach nieśmiałym trochę gestem wyciągnęła rękę z rublową asygnatą. Marta wahała się sekundę, ale tylko sekundę, po czym wzięła z ręki ładnej panny szeleszczący papierek, rzekła: „Dziękuję!” i odeszła. W drodze do domu kupiła wiąznię drzewa, trochę czarnego chleba, grubej mąki i mleka. Chleb przeznaczyła dla siebie, mleko i mąkę dla dziecka.

Tego dnia nie wyszła już na miasto. Zgotowała strawę z mleka i mąki złożoną, nałata ją na glinianą miszkę i posadziła przed nią Jancję.

Ale dziewczynka jadła niewiele. Milcząca była i wyjątkowo poważna. Mała główka ciążyła jej znać dolegliwie, bo podierała ją ciągle chudą rączką, potem usiadła na ziemi przy matce, położyła się na jej kolanach i usnęła snem ciężkim, długim.

Nazajutrz Marta przeleżała się spojrzawszy przy świetle poranku na twarz swego dziecka. Jancia bledszą jeszcze była jak wczoraj, z zapadłych i podkrążonych jej oczów przemawiała cicha, lecz przejmująca skarga. Młoda kobieta odwróciła się ku oknu i kurczowo załamała dłonie.

„Jeżeli nie dam jej lepszych wygod — myślała — zachowuje... Lepszych wygod, co za szalona myśl! za dni dwa, trzy nie będę miała za co izby ogrzać i ciepłej stawy dla niej zgotować!”

— A! — rzekła do siebie po chwili — nie ma co czynić! trzeba iść i przeprosić Szwejcową!

Poszła na ulicę Freta. Otwierając drzwi posespnej pracowni zdziwiła się nad sobą więcej jeszcze niż wtedy, gdy wchodziła do księgarni. Czuła się wprawdzie upokorzona nieco, ale uczucie to było niczym w porównaniu z panującą w niej żądzą zostania na powrót przyjętą w to miejsce, które przed dwoma dniami opuściła dobrowolnie.

Szwejcowa nie okazała na jej widok najmniejszego zdziwienia. Po obwisłych wargach poważnej matrony przemknął tylko szybki uśmiech i oczy jej błysnęły ostro zza okularów. Robotnice popodnosiły głowy i patrzyły na przybyłą, jedne z ciekawością, inne z ironią i złośliwym zadowoleniem. Pod spojrzeniami dwudziestu przeszło par oczów Marta uczuła gorący płomień na policzkach i czole.

Była to męczarnia straszna, ale trwała zaledwie sekundę. Naczelniczka zakładu i jej córka przestały krajać płótno. Oczekiwały znać od dawnej swej robotnicy pierwszego słowa.

— Pani! — zwracając się do Szwejcowej rzekła Marta — dwa dni temu byłam porywczą, nieuwważną... obraziłam się tym, co mi pani mówiłaś, i odpowiedziałam niegrzecznością. Przepraszam panią. Jeżeli można... chciałabym znowu pracować u pani.

Jak wprzódki zdziwienia, tak teraz triumfu nie znać było na twarzy Szwejcowej. Owszem, uśmiechnęła się ona słodko i skinęła głową uprzejmie.

— O, moja pani Świcka! — zaczęła słodkim, miodowym głosem — ja się nie gniewam, wcale nie gniewam... i cóż tam, dobry Boże, tak bardzo ważnego usłyszeć jakąś niegrzeczność... znieść przykre słowo. Wszak Odkupiciel nasz rozkazał, abyśmy rano i wieczór powtarzali: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy!” Byłabym nieposłuszną słowu bożemu, jeślibym gniewała się na panią

Świcką... ale przyjąć pani Świckiej do zakładu mego nie mogę, bardzo żałuję, ale doprawdy już nie mogę, bo na miejscu pani Świckiej mam od wczoraj inną robotnicę.

Przy ostatnim wyrazie wskazała nożycami młodą kobietę, która siedziała na dawnym miejscu Marty.

— Zakład nasz posiada, chwala Bogu, jak najlepszą reputację... nie używamy przy tym maszyn, które tak okropnie niszczą siły i nadwężają zdrowie osób pracujących. Toteż robotnice cisną się do nas, cisną. Prawdziwy natłok. Nie ma dnia, w którym by dwie lub trzy osoby nie zgłaszały się z prośbą o robotę. Nie brakuje, chwala Bogu, robotnic, nie brakuje, nadto zaś ich nabierać nie możemy, bo ja i moja córka nie życzymy sobie obarczać ich pracą zbyt ciężką. Teraz więc, kiedy jest komplet robotnic, więcej nawet niż komplet, dla pani Świckiej miejsca...

— A może, mamu, znalazłaby się jeszcze robota i dla pani Świckiej — szepnęła nieładna panna pochylając się ku matce.

Od kilku chwil przypatrywała się ona Marcje z uwagą i ciekawością. W małych, zezowatych trochę jej oczach zjawiało się coś na kształt politowania.

Ale Szwejcowa wzruszyła ramionami.

— Nie — rzekła — nie ma roboty, nie ma! Nie możemy przecież dlatego, aby przyjąć panią Świcką, która dobrowolnie nas opuściła, odprawić przyjętą pannę Zofię?

Usłyszawszy ostatnie wyrazy kobieta siedząca na dawnym miejscu Marty podniosła głowę znad roboty i spojrzała na naczelniczkę zakładu prawie z przestachem.

— Pani mnie już nie przyjmie? — zapytała Marta — nie mogę mieć żadnej nadziei?

— Żadnej, kochana pani Świcka, żadnej! Bardzo żałuję, ale miejsca już zajęte... nie mogę.

Marta ledwie dostrzegalnym ruchem skinęła głową i wyszła z pracowni. Otwierając drzwi na ulicę usłyszała za sobą szmer złożony z cichych bardzo szeptów, a jeszcze cichszych chichotów. Zrozumiała, że jest przedmiotem szyderstwa lub jałowego politowania dwudziestu przeszło osób, i uczuła znowu płomień w piersi i na czole. Znalazłszy się

jednak na ulicy opanowaną została zaraz jedyną wyłączną myślą.

„Nie mogę przecież wrócić tak z pustymi rękami. Muszę dziś koniecznie izbę ciepłej ogrzać, a jutro urządzić dla dziecka mięsną jakąś potrawę... inaczej zachoruje...”

Przez chwilę szła tak, jakby nie wiedziała dobrze, dokąd idzie; skręcała na lewo i na prawo, zatrzymywała się śród chodnika; ze spuszczoną głową myślała. Potem pewnie już i w prostym kierunku zaczęła iść ulicą Długą. Idąc, dłuższe i ważniejsze spojrzenia zatrzymywała na wystawach sklepowych. Przed jedną z nich stanęła. Był to sklep jubilerski, niezbyt obszerny i niezbyt wytworny. Takiego znać szukała młoda kobieta, bo po chwilowym namyśle otworzyła drzwi szklane, parą wschodkami nad poziom wyniesione. Zewnętrzność sklepu omyliła ją. Nie był on tak skromny, jak wyglądał. Owszem, w dość obszernym pokoju znajdowała się znaczna ilość wyrobów ze złota i drogich kamieni. Tylko że istotna zamożność wskutek nieumiejętności wykazywania jej albo i umyślnej intencji nie występowała na pokaz przechodniom. Ze zewnętrzna prostota sklepu pochodziła z umyślnej intencji jego właściciela, można było na pewno prawie przypuszczać widząc, jak w otoczeniu pomocników swych i zapewne uczniów pracował on własnoręcznie. Był to człowiek przysadzisty, rumiany, szpakowaty, z dobrodusznym uśmiechem i wielkim sprytem w małych burych oczach. Na widok wchodzącej kobiety powstał i z grzecznością zapytał, czego żąda.

— Przepraszam pana, jeżeli źle trafiłam — rzekła Marta — sądziłam, że nabędziesz pan może u mnie pewien złoty przedmiot...

— Dlaczegożby nie, pani dobrodziejko, dlaczegożby nie? — odpowiedział jubiler ze sprytnymi błyszczącymi oczami — jakież to jest przedmiot...

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Marta stała na środku sklepu z oczami nieruchomie utkwionymi w ziemię. Rysy jej, powleczone bladeścią marmuru, sztywne były i wyprężone. Można by rzec, iż skończyła rozmowę z własnym wnętrzem swym rozpoczętą i że zdobywała się właśnie na ostatnie

słowo rozmowy tej, mające wyrażać jakies z ciężkim trudem wywalczone postanowienie.

— Jakież to jest przedmiot? — zapytał powtórnie jubiler i niecierpliwe trochę spojrzenie rzucił na pierwszą swą robotę.

— Obrączka ślubna — odpowiedziała kobieta.

— Obrączka ślubna! — powtórzył przeciągle jubiler.

— Obrączka ślubna — podnosząc głowę szepnęła z cicha pomocnicy jubilera.

— Obrączka ślubna — wymówiła raz jeszcze Marta, wysunęła spod grubej chusty rękę zziębniętą i z cienkiego palca ściągnęła złoty pierścień.

Zarazem zachwiała się na nogach i jak osoba bliska omdlenia bezwiednym ruchem szukała czegoś, na czym by wesprzeć się mogła.

— Niech pani siada, niech pani dobrodziejka siada! — zawołał jubiler, z którego ust zsunął się bez śladu dobroduszny uśmiech. Jeden z pomocników jubilera podsunął w stronę kobiety taboret. Ale Marta nie usiadła. Przebyła ona jedną z najcięższych, najcięższą może chwilę ze wszystkich, którymi znaczył się mozolny jej pochód po drogach ubóstwa. Gdy ściągała z palca złotą obrączkę, wydało się jej, że raz jeszcze i ostatecznie rozstaje się z jedynym człowiekiem, którego kochała na ziemi, ze szczęśliwą niezapomnianą przeszłością. Serce jej ścisnęło się kurczowo, w głowie zaszumiało. Ale chwilę tę już przebyła. Siłą woli pochwyciła umykającą jej przytomność umysłu, wytrzeźwiała całkiem i podała jubilerowi obrączkę.

— Czy to konieczne? mój Boże, czy to konieczne? — zapytał jubiler tonem politowania.

— Konieczne — krótko i sucho odpowiedziała kobieta.

— Al jeśli pani życzysz sobie tego, lepiej już, że zbędziesz przedmiot ten mnie niż komu innemu. Otrzymasz pani przynajmniej całą jego wartość.

Mówiąc to stał już za stołem pokrytym oszklonymi pudłami złotniczych wyrobów i rzucił obrączkę na niewielkie mosiężne szale. Dwa metale spotykając się ze sobą wydały dźwięk czysty i przeciągły.

— Dobre złoto — szepnął jubiler.

Marta odwróciła twarz od kołyszących się szalek. Wzrok jej przyłgął teraz do widoku, na który dotąd nie zwracała uwagi. Był to widok bardzo prosty. Z dwóch stron podłużnego stołu siedziało pięciu młodych mężczyzn, od lat piętnastu do dwudziestu pięciu, z delikatnymi narzędziami w ręku. Jedni z nich szlifowali i polerowali drogie kamienie różnej wielkości; inni topili złoto przy małych płomykach liżących brzegi żelaznych trójnóżków; jeden rysował wzory łańcuszków, bransolet, brosz, kolców, kopert do zegarków i tym podobnych kunsztownych wyrobów. Marta wlepiała wzrok w każdą z kolei parę rąk poruszających się przy podłużnym stole. Oczy jej, zgasłe przed chwilą, zaczęły płonąć silnym ogniem. Odmalowała się w nich gorączkowa ciekawość, chciwa nieledwie żądza. Przez parę minut takiego patrzenia dostrzegła więcej szczegółów jubilerskiej sztuki, pojęła lepiej rodzaj jej i naturę, niżby kto inny w innych okolicznościach zostający dostrzec i pojąć mógł w przeciągu długich godzin.

— Proszę pani dobrodziejki — ozwał się zza stołu jubiler — obrączka pani dobrodziejki warta jest rubli srebrem trzy i pół.

Na głos ten Marta odwróciła twarz od robotników i szybko przystąpiła do stołu, za którym stał jubiler.

— Pani! — rzekła — wszakże panowie ci są pańskimi pomocnikami?

— Tak, pani — zdziwiony trochę niespodziewanym pytaniem odpowiedział jubiler.

— I pańskimi uczniami zapewne...

— Tak, pani, po części i uczniami.

Marta błyszczący wzrok zatopiła głęboko w twarzy stojącego przed nią człowieka.

— Czy nie możesz pan przyjąć mnie za uczennicę swą i pomocnicę?

Małe oczy jubilera rozszerzyły się szeroko.

— Pani! pani! — wyjąkał — jakże to... dlaczego to... ależ to...

— Tak, mnie — powtórzyła kobieta pewnym głosem.

— Jestem bez żadnego sposobu do życia... Widzę, że robota jubilerska nie ma w sobie nic, co by przechodziło me siły, owszem, zdaje mi się, że spełniałabym ją dobrze, ponieważ trzeba tu dobrego smaku, a ja kiedyś miałam możność wyrobić go sobie... Wprawdzie, musiałbyś pan mię uczyć z początku, ale nie trwałoby to długo... ręczę panu, że pracowałabym usilnie i pojętnie... przyjęłabym zresztą zapłatę mniejszą, choćby jakąkolwiek... jakąkolwiek...

Jubiler ochłonął ze zdziwienia. Zrozumiał już, o co szło kobiecie, która przyniosła mu do sprzedania obrączkę ślubną. Niskie jego czoło zmarszczyło się jednak dość wyraźnie, bystre oczy migotały zmieszaniem.

— Widzi pani dobrodziejka — zaczął — ja właściwie uczniów w sklepie moim nie miewam; ci panowie są już usposobieni, wyuczeni...

Marta spojrzała w stronę stołu, przy którym siedzieli robotnicy. Jeden z nich, ten, który rysował, wstał właśnie i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

— Umieć rysować — rzekła Marta — to jest — poprawiła się szybko — umieć rysować o tyle, aby móc wykonywać dla jubilerskich wyrobów odpowiednie wzory.

Wymawiając te słowa z rodzajem gorączkowego pośpiechu, postąpiła ku podłużnemu stołowi i usiadła na miejscu tylko co przez jubilerskiego rysownika opuszczonym. Młodzi ludzie przy stole pracujący usunęli się nieco z krzesłami, przerwali swą robotę i patrzyli na zasiadającą wśród nich kobietę ze zdziwieniem połączonym z ironią. Bez ironii, ale z wielkim także zdziwieniem patrzył na nią jubiler. Ona nie zważała na nic, nie widziała. Pochwyciła ołówek i na ćwiartce białego papieru, którą przed sobą znalazła, rysować zaczęła. Cisza zupełna panowała w sklepie. Na pochyloną twarz kobiety występował rumieniec, pierś jej oddychała powoli i głęboko, ręka pewnym ruchem, bez najmniejszego drżenia, rzucała na papier lekkie, krótkie lub powłóczyście rysy.

Rysownik, który przed chwilą wyszedł był do sąsiedniego pokoju, wracając do sklepu, ale ujrawszy miejsce swe zajęte, zatrzymał się w progu. Był to dwudziestotrzyletni może mężczyzna, starannie ubrany, z ufrizowanymi włosami

i wymuskany wąsik. Zapuścił ręce w kieszenie, oparł się niedbale o róg ściany i z uśmiechem na ustach zamieniał wzrokiem z towarzyszami żartobliwe znaki porozumienia.

— Ależ, pani dobrodziejko... — ozwał się zniecierpliwiony trochę jubiler.

— Zaraz, zaraz! — odpowiedziała Marta nie odrywając oczu od swej roboty.

Po chwili wstała i podała jubilerowi kartkę, na której rysowała.

— Oto jest wzór na bransoletę — rzekła.

Jubiler wlepił oczy w rysunek. Wzór wykonany był bardzo pięknie. Składał się z wieńca szerokich, kształtnych liści, spiętych kłamrą okrągłą, gładką, dwoma tylko krętymi łodygami oplecioną.

Bransoleta według wzoru tego wykonana łączyłaby w sobie dwie główne zalety podobnego rodzaju wyrobów: prostotę i wykwićność.

— Ładnie! nie ma co powiedzieć! Bardzo ładnie! — mówił jubiler przechylając głowę na obie strony i z miną zadowolonego nabywcy przyglądał się rysunkowi.

— Ładnie, bardzo ładnie! — powtórzył, ale tym razem trochę zmieszany. — Rysunki pani mogłyby mi być bardzo użytecznymi, ale... ale...

Umilkł i biedząc się widocznie nad stosownym wypowiedzeniem swej myśli, potarł dłonią gęstą swą, szpakowatą czuprynę.

Młody człowiek stojący we drzwiach uśmiechał się ciągle.

— O mój Boże! — wymówił wzruszając ramionami — jeżeli pan wstrzymujesz się z przyjęciem tej pani na rysowni... jakże tu powiedzieć... no, na rysownicę...

Siedzący przy stole piętnastoletni chłopak parsknął śmiechem. Młody człowiek z ufryzowanymi włosami mówił dalej:

— Jeżeli tedy wstrzymujesz się pan od spełnienia żądania tej pani przez wzgląd na mnie, nie rób sobie, proszę, żadnej subiekcji. Wiesz pan przecie, że i bez tego nie będę już pracował u pana dłużej nad parę tygodni, mam pewność

bowiem, że w tym czasie otrzymam posadę w biurze budowniczego miasta Warszawy...

Mówił to z trochę ironii i z zupełną niedbałością. Znać w nim było człowieka, dla którego sklep jubilerski był tylko stacją na drodze ku miejscom wyższym i zyskowniejszym.

— Tak, tak — rzekł jubiler — wiem o tym, że pan opuścisz mię wkrótce... ale nie mogę przecie...

— Ile pan płacisz temu panu? — wpadła mu w mowę Marta.

Jubiler wymienił cyfrę zapłaty, jaką codziennie udzielał ufryzowanemu młodzieńcowi.

— Poprzestaną na połowie zapłaty tej — rzekła kobieta.

Tym razem jubiler obydwojma już dłońmi potarł czuprynę.

— Aj! aj! — zawołał przechodząc od jednego stołu do drugiego — toż mi pani dopiero klina wbijasz w głowę.

Spojrzał mimochodem na wyrysowany przez Martę wzór bransolety.

— Ładnie! nie ma co mówić! bardzo ładnie!

— Aj! aj! — powtórzył, a bystre oczy jego biegały niespokojnie po sklepie. Widocznie walczył z sobą, czyli walczyły w nim chęci posiadania dobrej i bardzo taniej pracownicy z obawą wprowadzenia do zakładu niebywałej dotąd nowości.

Stanął na środku sklepu i patrząc na swych pomocników wymówił pytającym tonem:

— Ha? co?

Prawdopodobnie lakoniczne pytania te zadawał samemu sobie, ale niby z widomą odpowiedzią spotkał się oko w oko z czterema twarzami siedzących przy stole robotników. Na twarzach tych malowało się trochę zdziwienia, ale daleko więcej szyderstwa. Co zaś do młodzieńca z ufryzowanymi włosami, ten zaśmiał się prawie głośno i jakby w intencji wyśmiania się do woli cofnął się z poskokiem do sąsiedniego pokoju.

Czego ludzie ci uśmiechali się i śmiali?

Trudno by na to odpowiedzieć, a raczej długo by o tym mówić. Jubiler wszakże w uśmiechach tych znalazł znać

potwierdzenie obaw swych i wstrętów. Obu rękami uczynił gest wyrazisty i patrząc na Martę zawołał:

— Ależ, pani dobrodziejko! pani dobrodziejka jesteś kobietą!

Wykrzyk ten był w zupełności dobrodusznym. Zadzźwięczał w nim nawet żal przemysłowca, który dla względów nie obchodzących go bezpośrednio tracił dobry interes.

Marta uśmiechnęła się.

— Jestem kobietą — rzekła — tak, to prawda. I cóż stąd? Umiem rysować wzory...

— No, tak! tak! — trąc czuprynę i siadając pomiędzy pomocnikami swymi zawołał jubiler — ale widzisz pani, byłaby to rzecz nowa, całkiem nowa... Ja, przyznam się, nie bardzo lubię wszelkich nowości!... Jak pani widzisz, pracują tu u mnie młodzi ludzie... świat jest złośliwy... rozumiesz pani?

— Rozumiem — przerwała Marta — i dziękuję panu za objaśnienia, które nie są dla mnie żadną nowością. Czy nabywasz pan moją obrączkę?

— Nabywam, pani dobrodziejko, nabywam...

Zerwał się z krzesła, pobiegł do innego stołu, wysunął szufladkę i stał nad nią przez chwilę trochę zamyślony.

— Oto są pieniądze — rzekł podając kobiecie dwie asygny.

Marta skinęła głową i zmierzała ku drzwiom. Od progu już zwróciła się twarzą ku jubilerowi.

— Mówiłeś mi pan, że obrączka moja warta rubli trzy i pół, a dałeś mi cztery. Otrzymałam tedy pół rubla nadto.

— Ależ, pani dobrodziejko — wyjąkał jubiler — myślałem... sądziłem... chciałem... pani dobrodziejka wyrysowała mi wzór...

— Rozumiem — przerwała Marta — i dziękuję panu!

Któryż to już raz od czasu, gdy od drzwi do drzwi ludzkich ciągać poczęła biedę swą i gwałtowne potrzeby, w zamiar żądanej pracy otrzymywała jałmużnę?

Marta opuściwszy sklep jubilera nie płakała, nie spieszała i nie zwalniała kroku.

Bez łyzy, bez uśmiechu i bez westchnienia szła prosto

ku swemu mieszkaniu krokiem równym, wciąż jednostajnym.

Przed godziną myślała, że po otrzymaniu pieniędzy za sprzedaną obrączkę kupi dziś jeszcze drzewa dla lepszego ogrzania na noc izby, wiktuałów dla sporządzenia dziecku posilnej strawy. Nie spełniła jednak tych zamiarów swoich, nie poszła do sklepiku z wiktuałami, można by rzec, że albo zapomniała o wszystkim na świecie, albo nie miała siły zejść dalej lub odwagi pójść gdzie indziej, jak tylko do tej wysoko wzniesionej, nagiej i zimnej nory, która była jej mieszkaniem. Do dnia tego, ile razy wracała do domu, biegła zawsze śpiesznie po wschodach; teraz wstępowała na nie powoli, parę razy potknęła się o stromy stopień nie widząc go wśród zapadającego zmroku lub nie widząc nic przed sobą. Niema i zimna jak grób weszła do izby, przelotne tylko spojrzenie rzuciła na skurczoną przed kominem dziewczynkę, nie przemówiła do niej, zdjęła z głowy chustkę i przystąpiła do leżącego na ziemi pośłania. Czy jej szklancko patrzyła w przetrzeń.

— Wyrzutek społeczeństwa! — szepnęła, osunęła się na ziemię i legła nieruchoma, z twarzą ukrytą w poduszkę, z rękami splecionymi nad głową.

Jancia przypelzła raczej, niż przyszła ku miejscu, na którym spoczęła milcząca jej matka, usiadła u nóg pośłania, chudymi, zziębniętymi ramionami otoczyła swe podniesione kolana i oparła na nich ciężącą widocznie małą główkę.

Milczenie głębokie zalegało izbę, tylko za oknem, nisko, na szerokiej przestrzeni szumiało i gwarzyło wielkie miasto, głucho, falujące odgłosy swych gwarów posyłając w to miejsce, w którym opuszczone, zda się, przez Boga i ludzi kamieniały w objęciach niedoli i z wolna wyziewały ducha — kobieta i dziecko.

Marta leżała na twardej pościeli w nieruchomości kamiennej, bez żadnej myśli w głowie, bez żadnego innego uczucia, jak śmiertelne z mordowaniem. Praca, umiejętnie podejmowana i sprawiedliwie wynagradzana, jest najdzielniejszym, jedynie może dzielnym, higienicznym środkiem przeciw chorobom ciała i ducha. Ale nic tak szybko i do dna

nie wyczerpuje sił fizycznych i moralnych, jak rzucanie się na różne drogi pracy, gorączkowe szukanie jej i rozpaczne nieznajdowanie.

Marta nie widziała już teraz przed sobą żadnej drogi. Była wprawdzie jedna, zawsze dla niej otwarta, ale ta zaprowadziłaby ją tam, do owego mieszkania przy Królewskiej ulicy, i kazałaby jej, kobiecie owej ze zwiędłym czołem i rozwianymi włosami powiedzieć: „Wracam! mówiłaś prawdę! nie jestem człowiekiem, jestem rzeczą!” Ale w piersi młodej kobiety były instynkty, uczucia, wspomnienia, które ją od drogi tej odwracały, które ją do niej uniemożliwiały. Nie myślała też o niej, tak jak nie myślała w tej chwili o niczym. Nagle usłyszała jakby przez śen chrapliwy, zanoszący się kaszel. Odgłos ten wstrząsnął ją dreszczem i w jednym okamgnieniu wyrwał z kamiennej nieruchomości. Zerwała się na postaniu i usiadła wyprostowana:

— Czy to ty kaszlałaś, Janciu?

— Ja, mamol!

Głos matki był drżący i zdławiony, dziecka — cichy i chrapliwy.

Porwała dziecię na ręce i posadziła je na swych kolanach. Dłonią dotknęła czoła, które grzało, przyłożyła rękę do piersi, w której dziecięce serduszko uderzało mocą spazmatyczną, rozrywającą.

— O mój Boże! — jęknęła kobieta — tylko nie to. Wszystko już, wszystko, tylko nie to!

W głębokim zmroku nie mogła wyraźnie dojrzeć twarzy córki. Zapaliła małą lampkę i czteroletnią dziewczynkę jak drobne niemowlę unosząc w ramionach, wystawiła głowę jej na światło. Na policzkach dziecięcia leżały czerwone piętna gorączki, rozszerzone źrenice patrzyły z głęboką, choć niemą skargą. Zakaszłała po raz drugi i w zniemożeniu pochyliła ciężką główkę na ramię matki.

O północy z wysokich wschodów kamienicy zbiegała kobieta w czarnej chustce na głowie. Zupełna prawie ciemność panowała wokoło niej, a jednak nie chwiała się ona jak przed kilku godzinami, nie potykała się o strome stopnie

i nie stawała śród drogi dla nabrania oddechu. Można by rzec, że miała skrzydła u ramion, i nie byłaby to wcale metafora próżna. Niosły ją w istocie i nad ziemią prawie podnosiły boleść i przestrach.

W niespełna pół godziny wracała, ale nie sama.

Szedł z nią dość młody jeszcze mężczyzna, w kapeluszu i dostatnym futrze. Weszli do izby i oboje przybliżyli się do leżącego na ziemi postania. Dziecię z rumianą od gorączki twarzą rzuciło się na nim nieprzerwanym kaszlem i niewyraźnymi skargami.

Lekarz obejrzał się, za krzesłem zapewne. Nie ujrawszy go, przykłęknął na ziemi. Kobieta stała u nóg postania, niema i nieruchoma, z ponurym ogniem w oczach.

— Jak tu zimno! — rzekł powstając mężczyzna.

Kobieta nic nie odpowiedziała.

— Na czymże pisać będę?

Na oknie stała flaszka z atramentem, leżały pióra i arkusz papieru.

Lekarz, zgięty na wpół, zapisał receptę.

— Dziecko ma zapalenie kanału oddechowego, inaczej bronchit. Ogrzej pani izbę i lekarstwo dawaj pilnie.

Powiedział jeszcze słów kilka i podjął z ziemi kapelusze.

Kobieta sięgnęła do kieszeni i w milczeniu podała mu rękę z pieniędzmi w dłoni. Lekarz raz jeszcze szybkie spojrzenie rzucił dokoła i nie wyciągnął swej ręki.

— Nie trzeba — rzekł już przy progu — nie trzeba! Dziecko słabe jest i wyniszczone. Choroba będzie długa i lekarstwa zapewne liczne. Jutro przyjdę.

Odszedł. Wdowa upadła na kolana przed niskim postaniem, przyłgnęła piersią do piersi dziecięcej.

— O moje dziecko! jedyne dziecko moje! — szeptała — przebacz twej matce, przebacz! Nie potrafiłam ogrzać cię i wyżywić, dałam cię na pastwę zimnu i głodowi! Jesteś słaba, wyniszczona... jesteś chora... o dziecko moje...

Zsunęła się bezwiednie z pościeli, czołem uderzyła o ziemię, ręce zatopiła we włosach.

— O, jakam ja nikczemna, niegodziwa, występna!

W godzinę potem przyniesione już z miasta lekarstwo

stało obok chorego dziecka, równo ze świtem i otworzeniem się sklepów z wiktuałami obfity ogień palił się na kominie i napełniał izbę orzeźwiającym ciepłem.

Sprawdziły się słowa lekarza. Choroba Janci trwała długo. Lekarz, powtarzający odwiedziny swe co dzień, przyszedł już po raz dziesiąty. Dziecko pogrążone było jeszcze w silnej gorączce; mozolny i chrapliwy oddech jego, podobny do zgrzytu piły, rozlegał się po podłodze.

Marta stała znowu niema i nieruchoma u nóg posłania. Lekarz zwrócił się do niej.

— Nie trać pani nadziei — rzekł łagodnie — dziecko może wyzdrowieć, ale teraz, szczególnie dziś, jutro, trzeba mu starań wyjątkowo pilnych. Dziś jest tu znowu za chłodno. Temperatura powinna być ogrzana przynajmniej o sześć stopni lub więcej. Lekarstwo zaś, które przepisałem, przynieś pani jak najprędzej i dawaj je dziecku przez noc całą bez przerwy. Jest może trochę za drogim, ale już — jedynym.

Odszedł. Marta stała na środku izby ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Ogrzać temperaturę izby! Czym? Kupić lekarstwo! Za co?

Nie miała już w kieszeni ani grosza. W pierwszym dniu choroby dziecka posiadała cztery ruble i parę złotych; skarb ten pożarł komin, w którym ogień palił się co dnia, i aptekarska retorta, do której Marta przybiegała parę razy na dobę.

Nie targała już teraz włosów swych, nie padała na ziemię i nie uderzała się w piersi z bezdenną pokorą. Była zaledwie cieniem dawnej Marty. Wychudła i żółkła twarz jej powlekła się wyrazem cierpienia, które, stawszy się normalnym stanem ducha, przeniknąwszy sobą najdrobniejsze fibry ciała, wrzało w piersi i w głowie głucho i niemo, ale nieustannie. Zsiniałe wargi kobiety ściśnięte były silnie jak u kogoś, kto nawykł za zwartymi zębami powstrzymywać jęki i okrzyki, zagasłe źrenice jej szklannym spojrzeniem obiegały dookoła izbę.

Może było co jeszcze do sprzedania?

Nie, nic nie było prócz poduszki, na której wspierała się

głowa chorego dziecka, wełnianego okrycia, pod którym dyszała pierś jego ochrypła, dwóch koszulek i starych sukienek dziecięcych, za które nikt nie da tyle nawet, ile za więź drzewa zapłacić trzeba.

Kobieta bezwładnie opuściła ręce.

— Cóż ja uczynię? — szepnęła — coż uczynić mogę, niech umiera! położę się przy niej i umrę z nią razem!

W tej chwili dziecię rzuciło się na posłaniu i wydało słaby okrzyk. W okrzyku tym zabrzmiał jakby śmiech radości i niewyraźny jęk żalu.

— Ojczel! — zawołało dziecię wyciągając w powietrzu obie ręce chude i rozpalone. — Ojczel! ojczel!...

O boleści! mordercza gorączka przyniosła przed oczy dziecięcia obraz jego ojca, uśmiechnęło się ono do niego, zajęczało przed nim skargą i zawołało o ratunek.

Marta podniosła schyloną przedtem głowę, do oczu jej, przed chwilą suchych i zgasłych, z nagłym gwałtem rzuciły się łzy. Załamała dłonie i przez szklistą osłonę utkwiała wzrok w twarzy dziecięcia.

— Przyzywasz ojca — wyszeptwała ze wzdętej i falującej piersi — on by ci pewno mógł przynieść ratunek! On pracowałby dla ciebie na ciepło i pożywienie wprzód, na lekarstwo teraz...

Stała chwilę i milczała. Nagle rzuciła się ku posłaniu i stanęła nad nim.

— Ach! — zawołała — i ja także nie pozostawię cię bez ratunku! Ojciec pracowałby dla ciebie... Matka — pójdzie zebrać!

Plomienny rumieniec okrył żółtkę jej policzki, w oczach zapłonął ogień silnego postanowienia.

Zarzuciła na głowę czarną chustkę i zbiegła na dół do mieszkania stróża. Tam przed ogniem, przy którym gotowała się strawa, siedziała kobieta w wielkim czepcu i grubym obuwiu.

Marta stanęła przed nią zdyszana biegiem.

— Pani! — zawołała — przez litość... przez miłosierdzie...

— Pewno pieniędzy! — fuknęła kobieta — nie mam, nie mam, skąd ja ich tam mfeć mogę...

— Nie, nie, nie pieniędzy! pójdę po nie do miasta! posiedź pani tymczasem przy moim chorym dziecku!

Kobieta skrzywiła się, choć nie tak gniewnie jak wprzód.

— Albo to ja mam czas siedzieć przy acani chorym dziecku...

Marta pochyliła się, pochwyciła wielką, grubą, twardą rękę kobiety i przyłożyła ją do ust.

— Przez litość, pani, przez miłosierdzie posiedź przy niej... Ciągłe pić chce... rzuca się i zrywa, nie można dziś zostawić ją samą...

Całowała tę rękę, która niedawno jeszcze zadawała razy ciału jej dziecka.

— No, no, co tam acani robisz! pójdę już, pójdę i posiedzę, tylko nie baw długo, bo za godzinę dziecko mi przyjdzie ze szkoły i muszę je nakarmić!...

Ciemna postać kobiety mknęła śród zmroku pod sklepioną bramą kamienicy.

— Pójdę... wyciągnęła rękę... wyżebrzę... — szeptała do siebie Marta.

Wybiegła na ulicę, stanęła, pomyślała jeszcze chwilę i popędziła w kierunku Świętokrzyskiej ulicy. Płomieniste skrzydła, z których jednym była boleść, drugim przestrasz, niosły ją znowu z szybkością zadziwiającą. Ślepa, głucha, nie czująca potrażeń przechodniów, nie zważająca na ich sarkania i oglądania się, jak błyskawica przerzynała zachodzące jej drogę tłumy ludności i mknęła chodnikami ku miejscu, w którym była jedna ze spotkanych przez nią rąk litościwych.

Stanęła na koniec przed bramą, do której niegdyś wchodziła z radością, nadzieją, dumą, odetchnęła głęboko, wstąpiła szybko po oświetlonych wschodach i trzęsącą się ręką dotknęła rączki elektrycznego dzwonka. Drzwi otworzyły się, młoda, ustrojona, fertyczna służąca stanęła w progu, zarazem fala światła rzuciła się w oczy i fala gwaru złożonego z głosów ludzkich uderzyła słuch przybywającej kobiety. Przedpokój obficie był oświetlony, za drzwiami prowadzącymi do salonu szemrało, gwarzyło, śmiało się kilkanaście, kilkadziesiąt może głosów ludzkich.

— Czego pani życzy sobie? — zapytała służąca.

— Mam interes do pani Rudzińskiej.

— O! to chyba niech pani jutro przyjdzie. Dziś u moich państwa tygodniowy wieczór, goście tylko co się zebrali, pani moja nie może wyjść z salonu...

Marta cofnęła się na wschody. Służąca drzwi za nią zamknęła. Za drzwiami tymi mieszkała istotnie dobra, szczerze miłosierna kobieta. Litościwa ręka jej nie mogła przecieżyć w tej chwili otworzyć się dla Marty. I było to rzeczą bardzo naturalną. Litościwe ręce posiadają w sobie w ogóle okrutny żywioł niepewności. Najlepszy bowiem człowiek nie może każdej chwili życia swego poświęcić dobrym uczynom. Nie tylko zatrudnienie pilne i troski osobiste, ale bezwinnie skądinąd, obowiązkowe, nawet niekiedy towarzyskie zajęcia ku innym celom i czynnościom zwracają litościwą rękę, nie pozwalając, aby dla biedy ludzkiej była bezzawodną opoką.

Marta szła teraz, biegła raczej ku Krakowskiemu Przedmieściu. Miała zapewne na myśli dobroczytnego księgarza. Za ledwie przecieżyć stanęła przed drzwiami księgarni i spojrziała przez szyby, cofnęła się na chodnik. Zobaczyła w księgarni kilka osób, parę pań wystrojonych, dwóch mężczyzn z wesołymi twarzami, którzy wybierali i kupowali książki.

Było to pomiędzy godziną wieczorną siódmą i ósmą, a więc w porze, w której wewnątrz i zewnątrz wielkie miasto wre najzawrotniejszym ruchem, jaśnieje najbogatszym strojem, do nieskończoności prawie mnoży w sobie zjawiska cywilizacji, które obejmują w posiadanie swe wnętrza gmachów i szlaki ulic, szerokie przestrzenie zalewają rześkim światłem, muzyką, tłumami, gwarem. Życie wieczorne to połowa życia, większa może dla ludności grodu, na którego niebie przez długie miesiące słońce kilka za ledwie godzin jaśnieje codziennie.

Krakowskie Przedmieście wrzało ruchem, kipiało życiem i pośpiechem, któremu sprzyjała pogoda wieczorna. Drobnym

śnieżek marcowy spadł na zmarzniętą jeszcze ziemię i oczyścił niebo z białawych obłoków. Teraz namiot niebieski rozciągał się nad miastem, głęboki, ciemny, gwiazdzisty.

Nieustanny turkot kół, niby grzmot nieskończony, biegł środkiem szerokiej ulicy. Na chodnikach falowało tysiące głów ludzkich. Widno tam było tak prawie jak w dzień, bo prócz rozsypanych gazowych latarni mnogie okna magazynów rzucały na szeroką przestrzeń powódnie światła.

Na chodnikach głównych ulic Warszawy nigdy nie bywa tak tłumnie, jak w tej właśnie porze. Jest to bowiem pora i pracowitych, i próżniaków. Pracownicy śpieszą ku spoczynkowi lub rozrywce, próżniacy lubują się właściwymi sobie żywiołami: wrzawą, w którą wsłuchują się bezmyślnie, rozmaitością widoków, na które się gapią, blaskiem pieszczącym zmysł ich wzroku, a może i tajemniczym półcieniem wieczoru. W biegnącym tym, śpieszącym, gwarzącym tłumie znajduje się zapewne wiele dusz litościwych, ale dusze te czym innym teraz niż litowaniem są zajęte. Pochwylił je wir świata, dzień kończący się wezwał do pośpiechu; zabawy, interesa, uczucia w tej porze porwały wyobraźnię, zajęły myśli, dały cel pośpiesznym krokom. Oprócz tego przy świetle sztucznym mniej wyraźnie niż przy dziennym występują bruzdy na twarz cierpiącego, w zagąstłych źrenicach przeglądają się promienie lamp naśladując blaski zdrowia i życia, turkot i wrzawa głąszą głosy zmęczonych piersi. Litościwe zaś dusze i ręce zatrzymują się tam nade wszystko i najdłużej, gdzie szkielet nędzy najgłośniej dzwoni nagimi kośćmi, najstraszniej spogląda trupimi oczami.

Od kwadransa już Marta była na Krakowskim Przedmieściu.

Od kwadransa? Od roku, do wieku, od początku czasów!

Nie biegła już teraz, ale szła powoli, sztywna, niema, z nieruchomą twarzą i oczami szklannym wejrzaniem sunącymi po twarzach przechodniów.

Płomieniste skrzydła, które godzinę temu miała u ramion, opadły, czuła się ogarniętą znowu śmiertelnym zmordowaniem. Szła jednak po smugach światłości; w półmroku przed nią, nad nią, obok niej, pomiędzy gwiazdami nieba

i twarzami ludzkimi na ziemi unosiła się i z milczącą skargą patrzyła na nią twarz jej dziecka. Szła, bo na widok ludzi w głowie jej po raz pierwszy wyraźnie oswalała się myśl obwiniająca. Żal do ludzi zawrzał w jej piersi wszystkimi łzami, które w niej skrzące, a teraz przemieniały się z wolna w kipiący wrzątek. Po raz pierwszy myślała, że ludzie to winni są bezbrzeżnej jej niedoli, że powinni oni dźwigać ciężar życia jej i jej dziecka. W tej chwili zagasło w niej do szczętu uczucie osobistej odpowiedzialności. Czuła się słabą jak dziecko, bezsilną i znużoną jak istota konająca.

„Ci silni — myślała — ci umiejętni, ci szczęśliwi niech dzielą się tym, co im daje świat, ze mną, której on nic dać nie chciał.”

A jednak nie wyciągnęła jeszcze ręki ani razu.

Za każdym razem, gdy rozmijała się z jaką lekką, zgrabną, strojną postacią kobiecą, wyjmowała rękę zza fałd swej grubej chusty, ale jej nie wyciągała, otwierała usta, ale nic nie wymawiała. Zesłabły głos jej cofał się ze strachem przed wrzawą uliczną, w której utonąć by musiał nie usłyszany, w rękę uderzała moc niewidzialna i w dół ją rzucała.

Byłaż to jeszcze moc wstydu?

A jednak jęczało tam ono, biedne, chore dziecię ubogiej kobiety, rzucało się na swej twardej pościeli i spalonymi gorączką ustami, piersią ochryplą i zamierającą wzywało ojca!

Dwie panie w aksamitnych okryciach, wspierając się wzajem o siebie, szły pośpiesznie i rozmawiały wesoło. Jedna z nich młoda była i piękna jak anioł.

Marta stanęła na ich drodze.

— Pani! — wymówiła — pani!

Głos jej był cichy, ale nie jęśliwy. Nie umiała dostroić go, nie myślała może o tym, aby go dostrajać do tonów żebractwa. Toteż idące panie znaczenia wykrzyku jej nie zrozumiały. W pośpiechu minęły ją parę kroków, lecz potem przystanęły, a jedna z nich odwracając głowę zapytała:

— A co tam takiego, moja pani? czyśmy co zgubiły?

Nie było odpowiedzi, bo Marta zwróciła się w stronę przeciwną i poszła dalej tak szybko, jakby uciec chciała i od tych kobiet, i od tego miejsca, na którym do nich wołała.

Zwolniła kroku, na żółtkę, zwiędłe, zapadłe jej policzki występować zaczęły krwiste plamy rumieńców. Były to piętna palącej pierś jej gorączki. W zagastych żrenicach migotały ostre, przeszywające błyski. Była to luna tego pożaru ciemnych myśli, który obejmował jej głowę.

Zwolniła kroku, przystanęła znowu. Chodnikiem szedł mężczyzna, zgarbiony trochę pod ciężarem, zbyt czynnym dlań pewno, dostatniego futra. Marta wzrok przenikliwy zapuściła w twarz przechodnia. Dobroduszną była ona, łagodną, ozdobioną bujnym, jak mleko białym wąsem.

Wyjęła znowu rękę z grubych fałd chusty, nie wyciągając jej jednak głośniejsz jak wprzód wymówiła:

— Panie! panie!

Mężczyzna miał już ją minąć; zatrzymał się przecież nagle, spojrział w twarz kobiety, na którą padł blask lamp z za szerokiego okna, zrozumiał, czego chciała. Zapuścił rękę w kieszeń surduta, wyjął z niej małą sakiewkę, zdawał się szukać czegoś pomiędzy drobną monetą, znalazł, czego szukał, wcisnął w dłoń kobiety mały pieniążek i odszedł. Marta spojrzała na otrzymany datek i zaśmiała się głucho. Wyżebrała dziesięć groszy.

Siwy zgarbiony przechodzień miał litościwą rękę. Mógłże przecież wiedzieć, jakimi były potrzeby wzywającej go o pomoc kobiety, a gdyby o nich wiedział, chciałżeby, mógłżeby zadość im uczynić? A ileż razy zebrzącej kobiecie przyjdzie dłoń wyciągnąć, nim z datków podobnych utworzy się najwyższe teraz dla niej bogactwo — wiązka drzewa, flaszka lekarstwa?

Zebrząca kobieta szła dalej, sztywna, niema, z drobnym pieniążkiem w ściśniętej dłoni. Stanęła znowu. Nie na przechodniów patrzyła teraz, ale zapuszczała wzrok na przezroczyste, szerokie, rozpalone światłem okno. Było to okno sklepu, który przy oświetleniu sztucznym miał pozór czarodziejskiego pałacu.

Przyozdabiały go w głębi marmurowe filary, wśród nich zwieszały się bogate zwoje purpurowych firanek, rozwieszane po ścianach wzorzyste kobierce pieściły wzrok barwami róż i zielenią traw, na tle ich białały rzeźbione kształty posągów. Na brązowych podstawach gałęziste ramiona rozwijały tam złotem błyszczące świeczniki, wznosiły się srebrne wazy i puchary, porcelanowe kosze i kryształowe dzwony przykrywające grupy marmurowych posągów. Nie na te wszystkie przecież piękności i bogactwa zwracało się czarne, rozpalone oko spoglądające z ulicy we wnętrze sklepu.

Przed długim palisandrowym stołem, zawieszonym niby wieńcami olbrzymiego kwiecica szlakami puszystych i wzorzystych kobierców, stali dwaj mężczyźni. Jeden z nich był sprzedającym, drugi kupującym. Rozmawiali z ożywieniem; sprzedający miał twarz rozjaśnioną, kupujący zamyśloną i nieco zafrasowaną, wyborem pewno, jaki mu czynić przychodziło pomiędzy przedmiotami, z których każdy był arcydziełem przemysłu i smaku.

Oszklone drzwi otworzyły się powoli, do bogatego sklepu weszła kobieta z szeroką białą taśmą u dołu czarnej sukni, w czarnej wielkiej chuście przykrywającej głowę i skrzyżowanej na piersi. Żółtkę i pomarszczone czoło tej kobiety na wpół było zarzucone potarganymi, spod chustki wydobywającymi się włosami; na policzkach leżały ciemne rumieńce, usta za to białe były prawie jak papier.

Na odgłos, jaki wydały otwierające się drzwi, dwaj mężczyźni spojrzeli w stronę wchodzącej. Ona stanęła u drzwi, w pobliżu konsoli z marmurową płytą, stojącej poniżej wielkiego zwierciadła. Do tego przybytku bogactwa wsunęła się jak widmo i jak widmo stała pod ścianą nieruchoma, niema.

— Czego pani życzysz sobie? — zapytał kupiec przechylając nieco głowę i zza bukietu sztucznych kwiatów spoglądając na ciemną, nieruchomą postać.

Ale ona nie patrzyła na niego. Wlepiała oczy w twarz kupującego pana, który w bogatym futrze niedbale zawie-

szonym na ramionach, z białą ręką złożoną na wzorzystym kobiercu spoglądał na nią roztargnionym wzrokiem.

— Czego pani sobie życzysz? — pytanie swe powtórzył kupiec. Długim spojrzeniem od stóp do głowy okrył ciemną postać i dodał surowiej:

— Czemu pani nie odpowiesz?

Ona patrzyła wciąż na mężczyznę w bogatym futrze.

Można by rzec, że w piersi jej była ręka jakaś okrutna, szarpiąca, a głowę obejmowały płomienie, bo oddech jej stawał się coraz szybszym, a policzki i czoło zachodziły ciemną barwą purpury. Nagle wyjęła rękę zza fałd chusty i wyciągnęła ją nieco przed siebie. Usta jej, zsiniałe, drżące, otwierały się i zamykały kilka razy.

— Paniel! — wymówiła na koniec — dobry paniel! na lekarstwo dla mego chorego dziecka!

Ręka jej, chuda i zziębnięta, trzęsła się jak liść osiny, w przeszywającym jej głosie brzmiały już przeciągłe i żalosne dźwięki żebracza.

Mężczyzna w bogatym futrze popatrzył na nią chwilę i wzruszył lekko ramionami.

— Moja pani! — rzekł sucho — czy nie wstydzisz się żebrać? Jesteś młoda i zdrowa, możesz pracować!

Wyrzekłszy to zwrócił się ku palisandrowemu stołowi, na którym leżały kobierce i stały srebrne kosze.

Kupiec z uśmiechem na ustach rozwijał jeden jeszcze kobierzec. Ciągnęli dalej przerwana rozmowę.

Ciemna postać kobieca stała wciąż u drzwi, jakby zakłęła ją siła jakaś złowroga i niezmierzona. Złowrogo też w istocie wyglądała w tej chwili twarz jej i postać. Słowa, które usłyszała, były kroplą przepelniającą tę czarę jadowitych wpływów, z której piła od tak dawna. Kropla ta spadała w głąb jej piersi, z siłą narkotyku wyprężającego nerwy, oślepiającego myśl, ogłuszającego sumienie. „Możesz pracować!” Czyż człowiek, który wyrzekł te słowa, mógł choćby w części wiedzieć, jakie znaczenie szyderskie, niemilosierne posiadały one w stosunku do tej kobiety, która zmordowała śmiertelnie ducha, sterała siły ciała w daremnych próbach pracowania? która utraciła szacunek dla samej

siebie, przed samą sobą rozsypała się w proch nikczemny dlatego, że pracować nie mogła? Człowiek ten nie mógł wiedzieć o tym. Postępek jego z tą kobietą nie mógł służyć złym świadectwem o mierze dobroci i litości zawartej w jego sercu. Bardzo być może, iż był dobrym i litościwym, iż otwarłby dłoń hojną przed bezsilnym kalectwem, zgrzybiałą starością, obalającą chorobą. Ale kobieta, która wyciągnęła ku niemu rękę żebrzącą, była młoda i nie dotknięta fizycznym kalectwem żadnym, choroba nie wybiła się na jej zewnętrznosc widzialnymi dla wszystkich znakami.

O moralnym zaś jej kalectwie, które przywiodło ją przed niego, o trawiącej gorączce, która od tak dawna paliła piersi jej, stopniowo w proch i zgłiszczą zamieniając najlepsze uczucia człowiecze, obejmowała głowę jej, napelniając ją coraz gęstszym, duszącym dymem ciemnych, trujących myśli, on nie wiedział, a więc wyrzekł: „Jesteś młoda i zdrowa, możesz pracować!” Słowami tymi wypowiedział rzecz całkiem słuszną, a jednak zarazem bezwiednie popełniał niesprawiedliwość okrutną.

Przed kilku miesiącami, przed parą jeszcze tygodniami może Marta pojęłaby wszystko, co było słusznym i prawdziwym w zwróconych ku niej słowach mężczyzny. Ale bo też wtedy, jeśliby stanęła przed nim, wołałaby o pracę, o nic więcej, tylko o pracę; teraz błagała jałmużny, teraz w słowach usłyszanych nie usłyszała nic prócz szyderczej niesprawiedliwości.

Płomienne rumieńce, które miała na twarzy i czole, gdy wyciągnęła rękę, zniknęły bez śladu. Śród śmiertelnej bladeści, jaką pokryły się jej rysy, zapadłe źrenice, czarne i głębokie jak otchłań, paliły się jak wulkany. Wulkan też wybuchnął w piersi jej, podnoszącej się i opadającej gwałtownie, wulkan gniewu, zawiści i — pożądliwości.

Gniewu, zawiści, pożądliwości? Możeż to być, aby Marta, to dziecię cichej, uroczej zagrody wiejskiej, ta niegdyś szanowana małżonka, szczęśliwa matka, ta prawa istota, która za cenę życia spełniać nie chciała pracy, do której nie czuła się zdolną, aby ta energiczna robotnica, w pocie oblicza

i boleści serca szukająca po wszystkich drogach ziemi uczciwego kawałka chleba, aby ta dumna dusza wyciągająca niegdyś dłonie do Boga z błaganiem, aby usunął od niej dolę żebracza, stać się mogła pastwą tych okrutnych, piekielnych, w piekło złych żądz i czynów wiodących uczuć?

A jednak mogło tak być. Niestety! niestety! nie tylko mogło, ale i musiało, musiało mocą niezłomnej, wiekuiście logicznej i w logiczności swej niczym na ziemi zmącić się nie dającej natury człowieczej. Ona nie była bezcielesnym aniołem, nie była napowietrznym ideałem, którego nie dotykają i nie obalają podmuchy wichrów ziemskich, dlatego że go nie ma na ziemi. Ona była człowiekiem, a w naturze człowieczej, jeżeli są szczyty wyniosłe, na których rozwijają się rozum, cnoty poświęcenia, bohaterstwa, są także i dna przepaściste z przyczajonymi w ciszy i milczeniu gadami groźnych pokus i ciemnych instynktów. Nie należy żadnej istoty ludzkiej mordować tak śmiertelnie, wstrząsać tak gwałtownie, aby poruszyć się w niej mogło to dno tajemnicze z zaczajonymi na nim w milczeniu zadatkami występków. W naturze człowieczej są potęgi olbrzymie, ale są także bezmiary niemożliwości. Należy każdą istotę ludzką obdarzać miarą praw i oręży, ściśle odpowiednią mierze ciężących nad nią obowiązków i odpowiedzialności, inaczej bowiem nie uczyni ona, nie przetrwa tego, nie ostoi się przed tym, co uczynić i przetrwać, przed czym ostać się nie będzie mogła.

Trująca gorycz, od tak dawna kropla po kropli zbierała się w piersi Marty, podniosła się w niej teraz ogromną falą, a wraz z nią wypłynęły śpiące dawniej głęboko, budzące się potem stopniowo, obudzone teraz całkiem i wściekłe miotające się gady pokus i węże namiętności.

Młody pan w bogatym futrze wybierał kobierce, kosze srebrne, porcelanowe wazony i marmurowe posążki. Kupował wiele, myślał zapewne o urządzeniu pięknego domu, do którego może wprowadzić miał młodą żonę.

On i kupiec pochłonięci byli swym wspólnym zajęciem, zapominali o kobiecie w nieruchomości kamiennej i ciszy grobowej stojącej pod ścianą. Ona nie odrywała oczu od

ręki kupującego trzymającej duży, gruby pugilares napełniony pieniędzmi.

„Czemu on ma tak wiele, a ja nic nie mam? — myślała. — Jakim prawem odmówił mi on jałmużny? mnie, której dziecko kona w chłodzie i bez ratunku, on, który trzyma w dłoni tak wielkie bogactwo? On skłamał mówiąc, że młoda i zdrowa! jestem więcej niż stara, bo przeżyłam samą siebie. Alboż wiem, gdzie się podziała dawna Marta? Jestem chora okropnie, bo bezsilna jak dziecko... Dlaczego ludzie wymagają, abym żyła o własnej sile, skoro mi jej nie dali? Dlaczego mi nie dali siły, skoro jej teraz wymagają ode mnie? On jest jednym z krzywdzicieli moich, jednym z dłużników! powinien dać!”

Myśli kobiety tej były okropne, bezrozumnie niesłuszne, a jednak zarazem i względnie do niej samej jakże konieczne, jakże zrozumiałe. Rodowodem ich były te same krzywdy, te same koleje, te same bezsilności z jednej strony, a odpowiedzialności i potrzeby z innej, które zrodziły wszystkie szalone doktryny, wybuchające w świecie od czasu do czasu pożogą i mordami, wszystkie wściekłe namiętności, które powstałe z braku sprawiedliwości tracą samej jej zmysł i z krzywdy zrodzone zadają krzywdy.

— A więc — mówił pan kupujący — trzysta złotych kobierzec, a pięćset te kosze, wazon porcelanowy dwieście i...

Wyjmował pieniądze, aby należną sumę wypłacić kupcowi; nagle zatrzymał się.

— A! — zawołał — o mało nie zapomniałem! Miałeś mi pan dać tę grupę brązową i tamtą oto...

Kupiec poskoczył, uśmiechnięty, usłużny.

— Czy tę? — zapytał.

— Nie, tamtą, Niobe z dziećmi...

— Niobe? zdaje mi się, że chciałeś pan Kupidyna z Wenerą?

— Być może, muszę przypatrzeć się im raz jeszcze.

Niedbałą ręką, nawykłą znać do rozrzucania bogactw, rzucił rozwartą pugilares na marmurową płytę konsoli, a sam poszedł za kupcem w głąb sklepu, kędy na palisandrowych półkach, pod kryształowymi dzwonami, stały mitolo-

giczne, z brązu lane lub z marmuru rzeźbione grupy posążków.

Pugilares niedbale rzucony rozтворzył się szerzej, na marmurową płytę wypadło z niego kilka asygnat różnej wartości.

Na asygnaty te patrzyły rozpalone oczy stojącej pod ścianą kobiety. Jak pewne gatunki węzów na ptaki, tak różnobarwne papierki te wywierały na czarne przepaściste źrenice czar przykuwający.

Jakie myśli krążyły po głowie kobiety, gdy patrzyła ona w ten sposób na cudze bogactwo? Trudno wszystkie je zliczyć, trudniej jeszcze wyprząść z nich wątek równy. Nie były to myśli, ale był to chaos; gorączka ciała zrodziła go, burza ducha wzmagiała. Po dwóch sekundach takiego patrzenia Marta drzeć zaczęła na całym ciele, spuszczała powieki i wnet podnosiła je znowu, wyjmowała rękę zza fałd chusty i wnet ją chowała; walczyła znać jeszcze, ale niestety! nie było dla niej nadziei zwycięstwa! Nie było tej nadziei, bo nie było już w niej dość siły, aby oprzeć się mogła haniebnej pokusie; bo nie było już w niej dość przytomnej myśli, aby haniebność pokusy zrozumieć mogła; bo nie było już w niej sumienia, które utonęło w morzu goryczy zebranej w jej piersi; bo nie było już w niej wstydu odegnanego pogardą, którą czuła dla samej siebie, długim szeregiem przenoszonych upokorzeń i po tylekroć przyjmowaną jałmużną... Nie było dla niej na koniec nadziei zwycięstwa, bo nie była ona przytomną, bo ciało jej paliła gorączka z głodu, zimna, bezsenności, łez i rozpaczny powstała, a ducha porwały i oplątały ciemne furie z dna jej wzburzonej istoty wylęte.

Nagle kobieta uczyniła szybki ruch ręką, jeden z papierków zniknął z marmurowej płyty, zarazem drzwi szklane otworzyły się i zamknęły z gwałtownym trzaskiem.

Na ten silny i niespodziewany odgłos dwaj ludzie w głębi sklepu zajęci wybieraniem grup mitologicznych odwrócili twarze.

— Co to było? — zapytał pan kupujący.

Kupiec poskoczył na środek sklepu.

— To ta kobieta tak nagle wybiegła! — zawołał — pewno ukradła cokolwiek.

Młody pan zwrócił się także ku drzwiom.

— W istocie — rzekł z uśmiechem spoglądając na marmurową płytę — ukradła mi trzyrublową asygnatę. Jedną tylko miałem taką, a teraz nie ma jej tu...

— Ach, niegodziwa żebraczka! — krzyknął kupiec — jak to? w moim sklepie kradzież? tuż pod moimi oczami? ach, bezczelna!

Przyskoczył do drzwi i otworzył je na oścież.

— Rewirowy! — stojąc na progu krzyknął donośnym głosem — rewirowy!

— A czego pan życzy sobie? — ozwał się głos z ulicy. Żółta blacha błysnęła na piersi człowieka, który stanął na chodniku pod strugą światła buchającego ze sklepu.

— Tam — rzekł kupiec dysząc z gniewu i palcem wskazując ulicę — tam pobiegła kobieta, która przed minutą ukradła w sklepie trzy ruble!

— A w którą stronę pobiegła?

— W tamtą — rzekł przechodzień jakiś, który słyszał słowa kupca, zatrzymał się przed sklepem i wskazywał w stronę Nowego Światu. — Spotkałem ją; cała w czerni, leciała jak szalona, nic nie widząc przed sobą; myślałem, że wariatka!

— Trzeba ją schwytać! — mówił kupiec do rewierowego.

— Naturalnie, proszę pana! — zawołał człowiek z żółtą blachą, poskoczył naprzód i krzyknął donośnie:

— Hej! ludzie! łapajcie tam, ku Nowemu Światu pobiegła złodziejka!

Drzwi sklepu zamknęły się, młody pan z uśmiechem wymawiał kupcowi, że dla tak małej straty jego tyle sobie zadał kłopotu.

Ulica zaś przedstawiała po kilku sekundach scenę gwarną i tłumną.

Jak błyskawica przerzyna chmury, tak kobieta ubrana w czerni przesywała tłumy przechodniów pędząc na oślep, zda się, w stronę Nowego Światu. Prawdopodobnie nie wiedziała ona, w którą stronę biegła ani w którą biec jej na-

leżało; była nieprzytomną, na wpół obłąkaną. W tej chwili resztą myśli świadomej siebie żałowała może, iż popełniła czyn haniebny, ale już go popełniła i ogarnął ją przestraszony. Wiedzioną instynktem zachowawczym uciekała od ludzi, a oni byli za nią, przed nią, wokoło niej; zdawało się jej zapewne, że bieg szybki, ślepy, beznamiętny zaniesie ją, kędy ich nie będzie...

Spotykający ją, potrąceni przez nią przechodnie oglądali się za nią zrazu ze zdziwieniem i przestraszeniem, usuwali się jej nawet z drogi, przypuszczając w niej obłąkanie lub gwałtowną jaką potrzebę pośpiechu. Wkrótce jednak rozległ się po ulicy wyraz:

— Łapajcie!

Wnet za nim zabrzmiał inny:

— Złodziejka!

Wyrazy te nie były wymówione jednym głosem, ale toczyły się z tej samej strony, z której biegła kobieta, rzucane z ust do ust, wzrastające wciąż, przybierające mocy gwałtu, niby kule ogniste rzucone potężną ręką i toczące się wzdłuż drogi ze wzrastającym szumem. Kobieta, która zaczęła już tracić szybkość biegu i w zniemożeniu zatrzymała się była na sekundę, usłyszała goniące ją złowrogie okrzyki.

Przyłączał się do nich zarazem coraz rozgłośniejszy tętent nóg ludzkich biegnących po kamieniach chodnika. Straszne drżenie wstrząsnęło ją od stóp do głowy, popędziła dalej z taką szybkością, jakby skrzydła miała u ramion. Miała je znowu w istocie, tylko że teraz żadne z nich nie było boleścią, oba wyrosły z przestraszenia.

Nagle uczuła, że bieć jej trudno, nie dlatego, aby sił jej nie stawało — wszak unosiły ją prawie nad ziemię skrzydła przestraszenia — ale dlatego, że ludzie idący w przeciwnym kierunku zaczęli zachodzić jej drogę, wyciągać ręce, aby pochwytać jej suknię. Skrzydła jej stały się nie tylko już szybkie, ale elastyczne, rzucały ją w rozmaite kierunki, z zadziwiającą sprężystością i lekkością ruchów unikała rąk przechodniów, ocierała się o nich, a jednak im umykała.

Tam jednak, o kilka kroków, nie pojedyncze już spotykają

ją postacie, ale idzie kilku razem ludzi i całą szerokość chodnika zalega; wyminąć ich niepodobna, raz znalazłszy się przed nimi będzie przez nich schwytaną.

Zeskoczyła z chodnika; na środku ulicy kół i kopyt końskich wiele, ale ludzi pieszo idących mniej daleko, wcale prawie nie ma. —

Biegła ulicą, wymijała teraz koła i kopyta końskie z tą samą zręcznością jak przedtem przechodniów. Ale w tej samej chwili, gdy rzuciła się na środek ulicy, rzuciła się tam za nią ciemna masa złożona z goniących ją ludzi. Kim byli ludzie ci? Na czele ruchomego orszaku połyskiwały żółte blachy; za nimi pędziła krzycząc i śmiejąc się gawiedź uliczna, zawsze skora do uczestniczenia w każdej scenie ruchliwej, za gawiedzią jeszcze ciągnęli wolniej nieco uliczni próżniacy, w każdym widoku tłumnym skorzy zawsze szukać dla siebie rozrywki.

Dorożki i powozy przerzedziły się nieco. Kobieta stanęła pośród ulicy i obejrzała się za siebie.

Kilkadziesiąt kroków oddzielało ją jeszcze od czarnej masy, złożonej z postaci ludzkich, krzyczącej głosami ludzkimi! Stała parę sekund tylko i puściła się znowu prosto przed siebie. Wtedy i naprzeciw niej także ukazała się masa czarna, ruchoma, jak ta, która była za nią, innego tylko kształtu, bo podłużna, wysoka, z wielkim okiem płonącej u góry purpurowej latarni. Dzwonek srebrny, przezroczysty, donośny zadzwieczał w powietrzu, dzwieczał długo, przenikliwie, ostrzegawczo, purpurowe oko szybko sunęło naprzód, ciężkie koła turkotały głucho, kopyta końskie wydawały metaliczne odgłosy, uderzając o rozesłane na ziemi sztaby żelazne, po których toczyły się koła.

Był to olbrzymi omnibus kolei żelaznej ciągniętej czterema wielkimi, dzielnymi końmi, napelniony ludźmi, obciążony pudowymi brzemionami.

Kobieta biegła wciąż środkiem ulicy, za nią i przed nią biegły dwie masy czarne, jedna z krzykiem i pośmiewiskiem, druga z przeciągłym dzwonkiem, głuchym turkotem i purpurowym ogromnym okiem, sunęły one obie w prostym kierunku ku pędzącej pomiędzy nimi kobiecie. Jeżeli nie

zeskoczy na bok, jedna lub druga pochłonąć ją musi. Zboczyła z prostej linii, którą biegła dotąd, stanęła i obejrzała się.

Teraz goniący ją tłum ludzi był już o kilkanaście zaledwie kroków od niej, takąż przestrzeń dzieliła ją od toczącego się wciąż olbrzymiego wozu. Ale tłum biegł wolniej od wozu, który toczył się bardzo szybko.

Nie biegła już dalej. Sił jej zabrakło czy postanowiła w jakikolwiek już sposób położyć koniec tej strasznej gonitwie. Stała piersią zwrócona w stronę, z której nadbiegali ludzie. Teraz było w jej oczach światło przytomnej myśli. Mogło się здаwać, że czyniła wybór. Jakież wybór? Z tej strony hańba, pośmiewisko, więzienie, długie, nieskończone może męczarnie, z tamtej śmierć... okropna śmierć, ale nagła, piorunująca.

A jednak instykt zachowawczy nie opuścił jej całkiem; śmierć wydawała się jej straszniejszą od ludzi, bo przecież przed chwilą zboczyła z tej prostej linii, po której wybawicielka ta biegła ku niej.

Tak, ale teraz znowu ku linii tej cofać się zaczyna; człowiek z żółtą blachą u piersi wyprzedził lecącą za nim gawieź, wyciągnął rękę i dotknął brzegu jej chusty. Skoczyła, stanęła na jednej z szyn żelaznych. Z twarzą podniesioną ku ciemnemu sklepieniu wyciągnęła w górę obie ręce. Usta jej otworzyły się i wydały niewyraźny wykrzyk. Rzuciła ku gwieździstemu niebu skargę żalną czy słowo przebaczenia, czy może imię swego dziecka. Nikt nie dosłyszał. Człowiek z żółtą blachą, stropiony zrazu nagłym rzuceniem się kobiety, znalazł się znowu przy niej i porwał ją za skraj chusty. Ona błyskawicznym ruchem chustę zrzuciła i w rękę policjanta zostawiła, a sama na ziemię upadła.

— Stój! stój! — rozległ się w tłumie straszliwy okrzyk.

Ale purpurowe oko słuchać nie chciało, leciało wciąż w powietrzu, a kopyta końskie dzwoniły po sztabach żelaznych.

— Stój! stój! — krzyczał tłum nieustannie, przeraźliwie. Woźnica porwał się na koźle, stanął, zgarnął w dłoń długie

lejce i głosem ochrypłym od przerażenia krzyknął na konie, aby stanęły.

Stanęły, ale wtedy, gdy ciężkie koło z lekkim stukiem zsunęło się już z piersi rozciągniętej na ziemi kobiety.

W grobowym milczeniu stał tłum pośród wspaniałej ulicy, poblądłe od zgrozy twarze i dyszące przestraszonymi schylały się nad ciemną postać, która na kształt nieruchomej plamy leżała na białej pościeli śniegu.

Koło olbrzymiego wozu zgruchotało pierś Marty i wyгнаło z niej życie. Twarz jej pozostała nietkniętą i szklistymi oczami patrzyła na gwieździste niebo.



Redaktor
Halina Szal

Redaktor techniczny
Marek Łoś

WYDAWNICTWO LUBELSKIE · LUBLIN 1983

Wydanie XIV. Nakład 200 000+150 egz.

(I rzut 50 000+150 egz.)

Ark. wyd. 12,1. Ark. druk. 14.

Papier druk. mat. V kl. 70 g. 82×104

Podpisano do druku w grudniu 1982 r.

Druk ukończono w marcu 1983 r.

Cena zł 40.-

Skład: Rzeszowskie Zakłady Graficzne
w Rzeszowie, ul. Marchlewskiego 19.

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne
w Białymstoku, Al. 1000-lecia Państwa Polskiego 2

Zam. nr 1063/82. S-2